Tomasz Terlikowski
BOMBA WODOROWA W KOŚCIELE

Piotr Lisiewicz
WYPLUĆ GIPS WEPCHNIĘTY W GARDŁO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 15 020
indeks 211060
#151 10/2018

Wywiad z Antonim Macierewiczem

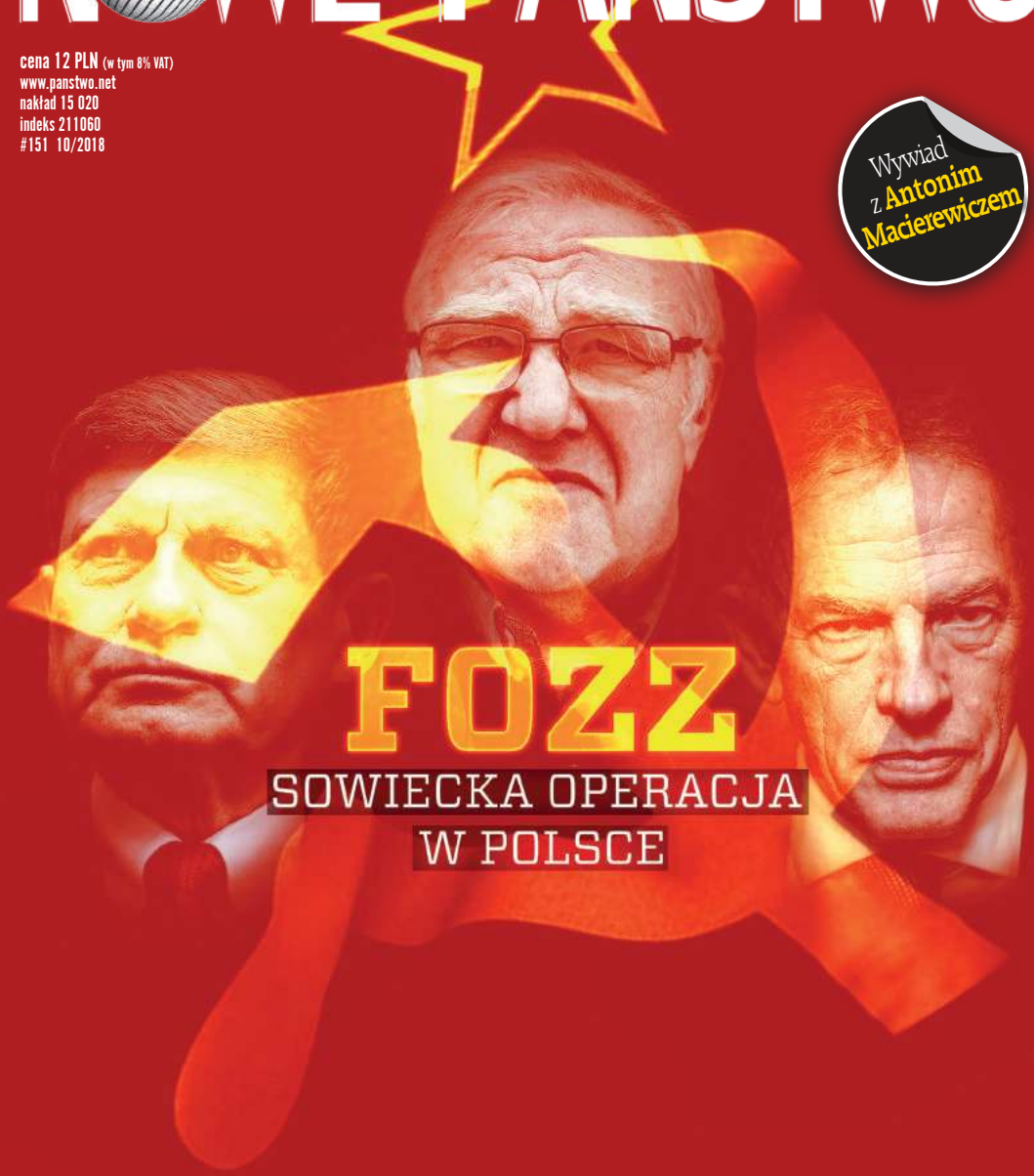

FOZZ
SOWIECKA OPERACJA W POLSCE

#151 10/2018 NOWE PAŃSTWO
ISSN 1895-4960
9 771895 496803 10

eprasa.pl 1fdc7c8e16

TEMAT NUMERU ▼ 4–19

fot. Marcin Kaliński/PAP, Paweł Supernak/PAP, Wojciech Pacewicz/PAP

Na służbie FOZZ / 4

IDEE ▼ 20–26

fot. MASSIMO PERCOSSI/PAP/EPA

Bomba wodorowa w Kościele / 20

HISTORIA ▼ 28–57

fot. NAC

Wypluć gips wepchnięty w gardło / 28

KULTURA ▼ 58–65

fot. Bartłomiej Nemirski

Ci rycerze nie chodzą za byle kim / 58

ŚWIAT ▼ 68–96

fot. Tasos Katopodis/PAP/AdMedia

Prawdziwy koniec zimnej wojny / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Dorota Kania
Na służbie FOZZ / 4

Z Antonim Macierewiczem rozmawia Dorota Kania
FOZZ – sowiecka operacja w Polsce / 8

Ryszard Czarnecki
FOZZ w USA / 11

Grzegorz Wierzchołowski
Grabież pod parasolem liberałów / 12

Daniel Wicenty
Afera FOZZ jako modelowy przykład funkcjonowania zakulisowych wymiarów transformacji ustrojowej w Polsce / 16

IDEE

Tomasz P. Terlikowski
Bomba wodorowa w Kościele / 20

Małgorzata Matuszak
Gdy gaśnie w nas płomień / 24

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Wypluć gips wepchnięty w gardło / 28

Magdalena Złotnicka
Ballada o synu premiera, co to w dzieje dawne uciekł / 34

Dariusz Jarosiński
Rodziny Ramotowskich drogi do niepodległości / 40

Agnieszka Kowalczyk
Psychologia więźnia. Ze wspomnień Józefa Piłsudskiego / 46

Ewa Polak-Pałkiewicz
List do króla / 52

KULTURA

Stefan Czerniecki
Ci rycerze nie chodzą za byle kim / 58

Sylwia Krasnodębska
„Kamerdyner" – polska superprodukcja / 64

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Prawdziwy koniec zimnej wojny / 68

Olga Doleśniak-Harczuk
Hitler, Syryjczycy, reparacje i niemiecka droga do gwiazd / 74

Reparacje nie ulegają przedawnieniu / 79
Z dr. Karlem Heinzem Rothem rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk

Hanna Shen
Dobra zmiana wkroczyła do Malezji / 80

Krzysztof Karnkowski
Pocztówka z kraju wina, koniaku i... Polaków / 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 92

oprac. Antoni Rybczyński
Do politycznej rewolucji jeszcze nie doszło / 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
W FOZZ widać wszystkie patologie III RP
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... obowiązek
KATECHIZM INTELIGENTA 27

Marek Kalinowski
Zaczarować publiczność
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 63

Kamil Goral
Czy wyciągnęliśmy wnioski z kryzysu?
SŁOWEM O GOSPODARCE 66

Ryszard Czarnecki
Polacy w Kazachstanie i... polityka imigracyjna Putina
CZARNECKO TO WIDZĘ 83

Olga Doleśniak-Harczuk
Alternatywny Oktoberfest
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Marcin Wolski
Historia alternatywna
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Żeby człowieka poznać, trzeba dać mu władzę
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Katarzyna Gójska

W FOZZ widać wszystkie patologie III RP

Na przykładzie FOZZ jak na dłoni widać najbardziej typową patologię postkomunistycznej IV władzy, która w tym konkretnym przypadku została powołana i – co ważne – sfinansowana z funduszy ukradzionych Polakom po to, by zabezpieczać bezkarność złodziei i stać na straży aktualności ich wpływów na polską rzeczywistość.

Dlaczego sprawa wyprowadzenia z Polski niebotycznych wręcz pieniędzy, upłynnienia ich w gąszczu spółek, a nawet śmierci tych, którzy odkryli zaledwie wierzchołek góry lodowej tego historycznego megaskandalu, nigdy nie została wyjaśniona? A wręcz przeciwnie – z roku na rok tonęła w morzu milczenia, stopniowo, konsekwentnie wyprowadzano ją z przestrzeni debaty publicznej? Dziś już niemal nie istnieje w świadomości Polaków, a nawet rozpoznawalni z imienia i nazwiska jej uczestnicy bez skrępowania pełnią ważne funkcje, komentują polską rzeczywistość, są wręcz obsadzani w roli autorytetów. Stało się tak dlatego, iż afera Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego nie tylko jest „matką" wszystkich afer, lecz jest także donatorką znacznej części najbardziej wpływowych mediów. Na przykładzie FOZZ jak na dłoni widać najbardziej typową patologię postkomunistycznej IV władzy, która w tym konkretnym przypadku została powołana i – co ważne – sfinansowana z funduszy ukradzionych Polakom po to, by zabezpieczać bezkarność złodziei i stać na straży aktualności ich wpływów na polską rzeczywistość. Ubabrane tego rodzaju kontraktem media nie miały żadnych skrupułów, aby robić na „demokracji" kolejne interesy – wynajmować się na ciecia doglądającego dobrostanu kolejnych grup interesu. Pod tym względem afera FOZZ była przedsięwzięciem bardzo przemyślanym na wiele kroków do przodu. Jeśli jeszcze ktokolwiek zastanawia się, jak to się dzieje, iż tak wielu przestępcom udaje się w naszym kraju zapewnić sobie ochronę ludzi podających się za dziennikarzy, to polecam wnikliwą lekturę tego numeru naszego miesięcznika. Kto miał dochodzić prawdy o FOZZ? Kto miał rozliczać instytucje ścigania i wymiar sprawiedliwości za bezczynność wobec sprawców? Kto w końcu miał chronić obywateli RP przed zmową tuszowania tego niewyobrażalnego wręcz złodziejstwa? Czy ci, którzy sami wyrośli na kroplówce dewiz z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego? Ważne, by sytuacja była zupełnie jasna – w tej sprawie nic się w mediach działających w naszym kraju nie zmieniło. Beneficjenci FOZZ zarządzają ogromną częścią przestrzeni wymiany informacji i opinii w Polsce. I stoją ciągle tam, gdzie ich postawiono na początku lat 90. W najnowszym numerze „Nowego Państwa" Czytelnicy znajdą m.in. rozmowę z ministrem Antonim Macierewiczem, którego wiedza na temat afery Funduszu jest bezcenna. Proszę jednak nie traktować naszego głównego tematu jako sprawy historycznej. Miliardy wyssane z Polski poprzez FOZZ nie rozpłynęły się. Anonimowi ciągle dla nas ich potężni zarządcy korzystają z nich, a media stoją niezmiennie na straży bezpieczeństwa ich przyszłości. ■

BENEFICJENCI FOZZ ZARZĄDZAJĄ OGROMNĄ CZĘŚCIĄ PRZESTRZENI WYMIANY INFORMACJI I OPINII W POLSCE. I STOJĄ CIĄGLE TAM, GDZIE ICH POSTAWIONO NA POCZĄTKU LAT 90.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Na służbie FOZZ

Dorota Kania

Główne postaci Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego oraz afery z nim związanej były zarejestrowane jako tajni współpracownicy komunistycznej bezpieki. Resortowe dzieci zaangażowane w FOZZ najpierw dbały o to, by afera nie ujrzała światła dziennego, a gdy się już to stało, zrobiły wszystko, by jej twórcy uniknęli odpowiedzialności karnej.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

FOT. MARCIN KALIŃSKI / PAP, PAWEŁ SUPERNAK/PAP, WOJCIECH PACEWICZ/PAP

eprasa.pl 1fdc7c8e16

W aferze FOZZ doszło do ścisłej współpracy między cywilnymi i wojskowymi służbami specjalnymi na niespotykaną wcześniej skalę. Dokładnie opisuje to dr Jerzy Targalski w swojej książce pt. „Służby specjalne i pieriestrojka" w tomie 4. (Wydawnictwo Antyk, Warszawa 2018). Co ciekawe, w instytucjach nadzoru dominowała cywilna bezpieka, czyli ludzie I Departamentu MSW, ponieważ to wywiad cywilny zajmował się „ochroną operacyjną" procesu oddłużeniowego.

Elity III RP

Elity, które doszły do władzy po 1989 roku, korzystały z pieniędzy FOZZ – by się o tym przekonać, wystarczy przeczytać Raport z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych. Dziś już wiadomo, że była to starannie przygotowana operacja, która rozpoczęła się niemal równocześnie z przygotowaniami do obrad Okrągłego Stołu. Ówcześni rządzący wiedzieli, że muszą zachować pozory oddania władzy, ale w rzeczywistości nie zamierzali tego robić. Do tego, by nadal rządzić, były potrzebne olbrzymie pieniądze, dlatego został wymyślony FOZZ. Pretekstem była fatalna sytuacja gospodarcza Polski, którą boleśnie odczuli Polacy już na początku lat 80., zwłaszcza w okresie stanu wojennego. W 1984 roku w raporcie Czesława Kiszczaka dotyczącym spraw gospodarczych napisano, że do zależności od państw zachodnich doprowadza Polskę „brak możliwości terminowego wypełniania zobowiązań płatniczych, skutkując zagrożeniem bezpieczeństwa państwa" .

Według Grzegorza Żemka – agenta komunistycznego wywiadu wojskowego o pseudonimie „Dik", który o kulisach powstania FOZZ mówił w prokuraturze – projekt ustawy o FOZZ przygotowywano m.in. podczas dyskrecjonalnych narad w zakonspirowanych lokalach. Uczestniczyli w nich oficerowie i współpracownicy służb, wysocy urzędnicy Ministerstwa Finansów oraz KC PZPR. Kluczowe role odegrali ludzie z komunistycznego wywiadu wojskowego, czyli Zarządu II Sztabu Generalnego. W 1991 roku bez żadnej weryfikacji przeszli oni do „nowej" formacji, czyli do Wojskowych Służb Informacyjnych. Dzisiaj, gdy o FOZZ wiemy coraz więcej, możemy być pewni, że ci sami ludzie, którzy stoją za aferą FOZZ, przez lata blokowali weryfikację Wojskowych Służb Informacyjnych oraz powołanie Instytutu Pamięci Narodowej. Gdy wreszcie powstał IPN, „wrażliwe" dla FOZZ dokumenty trafiły do zbioru zastrzeżonego i przez wiele lat były ukrywane.

TW z FOZZ

W organach kontrolnych FOZZ większość stanowili ludzie figurujący w archiwach IPN jako tajni współpracownicy komunistycznej bezpieki. Jak ujawnił dr Jerzy Targalski, przewodniczący rady nadzorczej FOZZ Janusz Sawicki został zarejestrowany jako kontakt operacyjny I Departamentu MSW, czyli wywiadu PRL o pseudonimie „Jasa" i „Kmityn". Sawicki jako wiceminister finansów nadzorował działalność FOZZ. Był również prezesem rady nadzorczej Banku Handlowego, a wcześniej był odpowiedzialny w Ministerstwie Finansów za obsługę polskiego zadłużenia zagranicznego.

Do rady nadzorczej FOZZ trafił Jan Boniuk, który na początku lat 80. ubiegłego stulecia był radcą finansowym w Ambasadzie PRL w USA w Waszyngtonie. Według akt IPN Boniuk został zarejestrowany jako kontakt służbowy Departamentu V MSW, czyli wywiadu gospodarczego, o pseudonimie „Bon". Jan Boniuk został także zarejestrowany jako kontakt operacyjny wywiadu cywilnego PRL o pseudonimie „Donek". Był on także dyrektorem Departamentu Zagranicznego Ministerstwa Finansów, sekretarzem egzekutywy PZPR w resorcie oraz sekretarzem FOZZ.

Kolejną osobą związaną z FOZZ, która figuruje w archiwach IPN jako tajny współpracownik, jest Dariusz Rosati – członek rady nadzorczej FOZZ. Został on zarejestrowany przez cywilną bezpiekę jako kontakt operacyjny „Buyer". Dariusz Rosati, obecny europoseł Platformy Obywatelskiej, w swojej karierze był dyrektorem Instytutu Koniunktur i Cen, członkiem zespołu doradców ekonomicznych premiera Mieczysława Rakowskiego, pracownikiem Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ w Genewie (1991–1995), ministrem spraw zagranicznych (1995–1997), członkiem Rady Polityki Pieniężnej (1998–2004).

W skład rady nadzorczej FOZZ wszedł także Grzegorz Wójtowicz, zarejestrowany jako kontakt operacyjny wywiadu PRL „Camelo" i „Camel". Wójtowicz był dyrektorem Departamentu Zagranicznego Narodowego Banku Polskiego, członkiem zarządu (1984–1989), wiceprezesem (1989–1990) i wreszcie prezesem NBP (1991), a w latach 1998–2004 członkiem Rady Polityki Pieniężnej.

Zdzisław Sadowski, członek rady nadzorczej FOZZ, został zarejestrowany pod pseudonimem „Robert" jako tajny współpracownik zajmującego się walką z opozycją Departamentu III MSW. Był wiceprezesem Rady Ministrów i przewodniczącym Komisji Planowania przy Radzie Mini-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

strów rządu Zbigniewa Messnera; przez lata pełnił funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

Kolejny członek rady nadzorczej FOZZ – Jan Wołoszyn – został zarejestrowany przez Departament I MSW jako kontakt operacyjny o pseudonimie „Okal". Wołoszyn to były prezes NBP, doradca prezesa NBP Grzegorza Wójtowicza i wiceprezes Banku Handlowego.

Żemek i Przywieczerski

Kluczowe role w aferze FOZZ odegrali Grzegorz Żemek (zarejestrowany jako tajny współpracownik o pseudonimie Dik"), dyrektor generalny Funduszu, oraz Dariusz Przywieczerski (zarejestrowany jako tajny współpracownik o pseudonimie „Grabiński"), prezes „Uniwersalu. Michał Falzmann, który wykrył aferę FOZZ, a w Najwyższej Izbie Kontroli zajmował się kontrolą FOZZ, tak w jednym ze swoich artykułów opisywał relacje Żemek–Przywieczerski:

„Decydent moskiewski każe łączyć pieniądze z Polski ze swoimi i płacić na odpowiednie konta. Każe dokonywać operacji polegających na ukryciu transakcji Funduszu poprzez innych kontrahentów. I tak prezes Funduszu, pan Żemek, podpisuje umowę z panem Przywieczerskim, dyrektorem przedsiębiorstwa Universal, o tym, że nie będą dokonywali wymaganej prawem dokumentacji umów na piśmie. Następnie Fundusz udziela pożyczek, udziela gwarancji, udziela poręczeń, a Universal zaciąga długi, płaci zobowiązania i ekspediuje pieniądze na prywatne konta poza granicą Polski".

Tajemnicze zgony

Po upublicznieniu afery w krótkim czasie zmarli ludzie, którzy znali tajemnice FOZZ. 19 czerwca 1991 roku zmarł Michał Falzmann, kontroler NIK, który wykrył aferę FOZZ. Oficjalną przyczyną jego śmierci był zawał. Michał Falzmann wykrył gigantyczne nieprawidłowości, pracując w warszawskiej Izbie Skarbowej. Kontrolował on firmę Universal należącą do Dariusza Tytusa Przywieczerskiego i bardzo szybko zorientował się, w jaki sposób i na jak ogromną skalę okradane jest państwo polskie. Swoje ustalenia i spostrzeżenia zawarł w artykule opublikowanym we wrześniu 1990 roku w „Głosie Wolnego Robotnika". Tekst ten uruchomił kontrolę NIK w styczniu 1991 roku – powstał specjalny zespół, do którego trzy miesiące po jego powstaniu dołączył Michał Falzmann.

Trzy miesiące po śmierci Michała Falzmanna, 9 października 1991 roku zginął tragicznie Walerian Pańko, prezes Najwyższej Izby Kontroli. Kilka dni przed śmiercią prezes Pańko zapowiedział ogłoszenie wyników kontroli FOZZ. Do dziś okoliczności wypadku budzą wątpliwości, chociaż prokuratura i sąd uznały go za zdarzenie losowe. Raport NIK w sprawie FOZZ został ogłoszony kilka dni po śmierci Waleriana Pańko – w raporcie wskazano osoby odpowiedzialne za nieprawidłowości występujące w FOZZ – m.in. członków rady nadzorczej Funduszu oraz Leszka Balcerowicza.

Kolejną osobą, która zajmowała się w NIK aferą FOZZ i która zmarła tragicznie, był Anatol Lawina. W 2006 roku, gdy ważyły się losy ostatecznego wyroku w sprawie afery FOZZ, Anatol Lawina został ciężko pobity przez nieznanych sprawców. Zmarł kilka miesięcy później.

Raport z weryfikacji WSI i oddział Y

Istotne kulisy afery FOZZ zostały opisane w Raporcie z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych, który powstał pod kierunkiem Antoniego Macierewicza, pierwszego szefa komisji weryfikacyjnej WSI. Dokument opublikował w 2007 roku prezydent RP prof. Lech Kaczyński. Raport został sporządzony na podstawie analizy dokumentów przekazanych przez WSI zespołowi likwidatorów oraz zeznań funkcjonariuszy WSI. Opisano w nim m.in. wpływy służb sowieckich i rosyjskich w Polsce, struktury i agenturę WSI, źródła nielegalnego finansowania WSI – przemyt sprzętu elektronicznego, przejmowanie majątków zmarłych Polaków za granicą, sprzedaż broni terrorystom arabskim oraz aferę FOZZ. Po raz pierwszy opisano utworzenie w 1983 roku w Zarządzie II Sztabu Generalnego oddziału „Y", który zajmował się rozbudową struktur nielegalnego finansowania służb. Tę tajną komórkę komunistycznego wywiadu wojskowego tworzyli oraz nadzorowali ludzie, którzy później trafili do WSI, często na stanowiska dowódcze, a klasycznym już przykładem jest Konstanty Malejczyk – w czasach PRL był w oddziale „Y", a w III RP jednym z szefów WSI. W raporcie opisano m.in. nominacje Grzegorza Żemka na funkcję dyrektora generalnego FOZZ.

– Żemek został dyrektorem generalnym FOZZ po konsultacjach przeprowadzonych przez wywiad wojskowy i wywiad cywilny – czytamy w raporcie, w którym ujawniono część transakcji przeprowadzonych za pomocą FOZZ, które w rzeczywistości posłużyły do budowania prywatnych imperiów. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Dorota Kania

Pieniądze FOZZ nadal są w obrocie, a wszyscy winni i ludzie, którzy byli rzeczywistymi konstruktorami, nie zostali osądzeni i skazani. Wystarczy przypomnieć, że niektóre osoby, które zasiadały w radzie nadzorczej FOZZ, pracują w NIK, kierują Platformą, a generałowie WSI i służb cywilnych, którzy powinni być sądzeni za aferę FOZZ, to dzisiejsi aktywiści opozycji. No i oczywiście ludzie mediów; zarówno wśród właścicieli mediów prywatnych, jak i wśród dziennikarzy – z Antonim Macierewiczem, wiceprezesem PiS, szefem Komisji Weryfikacyjnej w latach 2005–2008, rozmawia Dorota Kania.

FOZZ – SOWIECKA OPERACJA W POLSCE

▶ Dlaczego afera Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego jest nazywana „matką wszystkich afer", do których doszło po 1989 roku?

Przede wszystkim dlatego, że była to pierwsza afera o tak wielkiej skali finansowej. Bo choć nikt do dzisiaj nie obliczył całości strat skarbu państwa, to wiadomo, że chodzi o wiele miliardów złotych. Wiemy także o tym, że wielu wielkich operujących w Polsce oligarchów właśnie dzięki FOZZ zrobiło majątki.

▶ Czy chodzi wyłącznie o powstanie tych fortun?

Nie, problem jest znacznie głębszy. FOZZ jest aferą sowiecką, zaplanowaną, zrealizowaną i ukrywaną najpierw przez PRL, a później przez ludzi, którzy dzięki powiązaniom sowieckim utrzymywali się przez całe lata przy władzy. Nie wchodząc w szczegóły, czy chodzi o byłych prezydentów, polityków, funkcjonariuszy sowieckiego wywiadu wojskowego i cywilnego, czy też o ludzi tak zwanego wymiaru sprawiedliwości, FOZZ był wymierzony w podstawy działania naszego państwa.

▶ Jakie są na to dowody?

FOZZ nie był i nie jest przestępstwem złodziei czy bandytów, lecz wynikiem antypolskiego działania sowieckiego aparatu okupującego Polskę. Ma więc cechy zdrady stanu, nawet jeśli będzie to trudno udowodnić. Choć przecież żyją jeszcze urzędnicy PRL i „posłowie" PRL, którzy głosowali wiosną 1989 roku za powołaniem FOZZ, i żyje wicepremier, który był za jego funkcjonowanie odpowiedzialny. Na szczeblu organizacyjno-wykonawczym FOZZ był wynikiem działania zorganizowanej zbrojnej grupy przestępczej i tak powinien być sądzony.

▶ Czy coś więcej wiadomo o tej grupie?

Główną rolę w realizacji zadań FOZZ odgrywał sowiecki wywiad wojskowy działający w Polsce, czyli II Zarząd Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego, a zwłaszcza jego Oddział Y, czyli oddział wywiadu agenturalnego. I właśnie dlatego mówię o zbrojnej grupie przestępczej. Nie chciałbym wykluczyć z tej przestępczej działalności sowieckiego wywiadu cywilnego, czyli Departamentu I MSW. Ludzie tej formacji objęli stanowiska w Radzie Nadzorczej FOZZ, do dzisiaj mają się świetnie i udają, że nic nie wiedzieli i za nic nie odpowiadają.

▶ Czy to właśnie dlatego działania FOZZ były owiane tajemnicą?

Po roku 1991 działania FOZZ były ukrywane przede wszystkim dzięki wpływom i sile działania Wojskowych Służb Informacyjnych i jego kolejnych szefów. Jest więc FOZZ matką afer formacji powstałej pod okrągłym stołem, gdyż zrealizował ją aparat parapaństwowy i on ją do dziś chroni.

▶ Kiedy dowiedział się Pan, że FOZZ to w rzeczywistości operacja wojskowych służb specjalnych?

Będąc ministrem spraw wewnętrznych w rządzie premiera Jana Olszewskiego powołałem Wydział Studiów, którego zadaniem było zbadanie wpływów agentury sowieckiej na polskie życie polityczne i gospodarcze. W maju 1992 roku szef tej jednostki Piotr Woyciechowski przyniósł mi raport pokazujący stopień agenturalizacji ówczesnego aparatu państwowego. Raport przekazałem premierowi Janowi Olszewskiemu, a następnie został on opublikowany w książce „Agenci są wśród nas...". Znalazł się tam także fragment poświęcony FOZZ, stwierdzający m.in, że dyrektor generalny Funduszu, czyli Grzegorz Żemek, który był w randze wiceministra finansów, jest tajnym współpracownikiem Zarządu II Sztabu Generalnego LWP. Oczywiście informacje o samej aferze docierały do mnie wcześniej, ale po pierwsze nie zawierały tej kluczowej informacji, a po drugie nie miałem jeszcze wówczas żadnych narzędzi działania.

▶ Już po „nocnej zmianie", czyli po odwołaniu rządu Jana Olszewskiego, afera FOZZ została nagłośniona, ale nie odbyło się to bez problemów.

Tak rzeczywiście było. W 1992 roku ukazała się książka Mirosława Dakowskiego i Jerzego Przystawy pt. „Via bank i FOZZ. O rabunku finansów Polski" wydana przez Marcina Dybowskiego. W związku z wydaniem tej książki miał on sporo problemów – m.in. doszło do napaści na niego, podobnie jak na Piotra Bączka, który jako dziennikarz ujawniał kulisy afery FOZZ.

▶ Marcin Dybowski był też zatrzymany na 48 godzin przez policję – stracił wówczas cenne dokumenty i było to w czasie, gdy był Pan ministrem spraw wewnętrznych.

Gdy się o tym dowiedziałem, natychmiast wdrożyłem postępowanie służbowe i w związku ze stwierdzonymi nieprawidłowościami zostało ukaranych dyscyplinarnie dwóch policjantów. Zostało wszczęte także śledztwo, ponieważ działania policji wobec Marcina Dybowskiego nie były niczym uzasadnione. Jestem przekonany, że panu Dybowskiemu próbowano wszelkimi sposobami uniemożliwić publikację książki ujawniającej niektóre aspekty działania FOZZ.

▶ Kilka tygodni temu do polskiego aresztu trafił Dariusz Przywieczerski nazywany „mózgiem" FOZZ. Po latach Amerykanie wydali go Polsce na mocy ekstradycji. Czy jego zeznania mogą mieć jeszcze jakieś znaczenie?

Tak, ponieważ posiada on ogromną wiedzę związaną z inwestowaniem funduszów FOZZ poprzez różne spółki rejestrowane m.in. w Panamie i zachodniej Afryce. Doskonale wie, jaki był przepływ pieniędzy i gdzie one trafiały.

FOT.: FILIP BLAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 1fdc7c8e16

▶ Czy afera FOZZ może być nadal zagrożeniem dla ważnych uczestników życia politycznego?

Oddziaływanie mafii FOZZ, która nadal funkcjonuje, ma niesłychanie szkodliwy wpływ przede wszystkim na polską gospodarkę, życie społeczne i polityczne. Wystarczy powiedzieć, że pieniądze FOZZ nadal są w obrocie, a wszyscy winni i ludzie, którzy byli rzeczywistymi konstruktorami, nie zostali osądzeni i skazani. Wystarczy przypomnieć, że niektóre osoby, które zasiadały w radzie nadzorczej FOZZ, pracują w Najwyższej Izbie Kontroli, kierują Platformą Obywatelską, a generałowie WSI i służb cywilnych, którzy powinni być sądzeni za aferę FOZZ, to dzisiejsi aktywiści opozycji. No i oczywiście ludzie mediów; zarówno wśród właścicieli mediów prywatnych, jak i wśród dziennikarzy.

▶ Jest Pan jedną z nielicznych osób, która w całości przeczytała akta sądowe z procesu w sprawie afery FOZZ, także te zastrzeżone, które znajdują się w tajnej kancelarii. Czego Pan się dowiedział z lektury tych wszystkich dokumentów?

To olbrzymia wiedza, której nie sposób streścić w jednym wywiadzie. Są tam nazwiska, nazwy firm, opis sieci agenturalnych w Polsce, Europie, USA, Ameryce Łacińskiej, a przede wszystkim pojawiają się instytucje sowieckie. Są opisane mechanizmy grabieży Polski i kreowania oligarchii, czyli tworzenia gospodarczego, politycznego i medialnego mechanizmu sowieckiej i rosyjskiej strefy wpływów w Polsce. Ciekawe są informacje dotyczące na przykład organizacji i finansowania prasy, w tym Trójmiasta.

▶ W czasie rozkwitu afery FOZZ, czyli w 1990 roku, ukazał się pierwszy numer „Gazety Gdańskiej", we władzach której zasiadał Donald Tusk – był on zastępcą redaktora naczelnego. Czy pieniądze FOZZ zasiliły też to medium?

Trzeba pamiętać, że w finansowaniu Kongresu Liberalno-Demokratycznego, którego politykiem był Donald Tusk, kluczową rolę odgrywał Wiktor Kubiak. Zarówno on sam, jak i jego interesy były ściśle powiązane z FOZZ-em: czerpał on dochody dzięki manipulacjom finansowym realizowanym przez dyrektora generalnego Funduszu, czyli Grzegorza Żemka. Dokumentacja tych operacji znajduje się w aktach śledztwa oraz częściowo w archiwach Wojskowych Służb Informacyjnych.

▶ Teraz, po wielu latach, gdy wiedza w sprawie FOZZ jest coraz większa, widać, że Grzegorz Żemek był jedynie pionkiem w całej operacji. Kto naprawdę stał za tą aferą?

Grzegorz Żemek nie był i nie jest pionkiem, lecz bardzo sprawnym wykonawcą poleceń sowieckiego wywiadu wojskowego. Za tą aferą stoją służby ościennego mocarstwa, a w kraju zalegalizowany przy Okrągłym Stole aparat polityczny. Szczególną odpowiedzialność ponosi Ministerstwo Finansów, aparat bankowy i oczywiście MON i służby wojskowe. Ale proszę pamiętać, że FOZZ powołał Sejm PRL na wniosek premiera PRL, a kontynuował to wsparcie wicepremier Leszek Balcerowicz w rządzie Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego.

▶ Co Pana zdaniem było najważniejsze w funkcjonowaniu Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego – kto miał największe wpływy, kto odpowiada za tę aferę?

Komunistyczny wywiad wojskowy, a w szczególności oddział Y, aparat bankowo-finansowy, media i „wymiar sprawiedliwości" kryjący tę przestępczą działalność. A także establishment polityczny bojący się podejmować tę kwestię. Warto przywołać raport Najwyższej Izby Kontroli, który został opublikowany jesienią 1992 roku. Tam wprost napisano, że odpowiedzialność za nieprawidłowości występujące w FOZZ w pierwszej kolejności ponosi dyrekcja FOZZ, czyli Grzegorz Żemek i jego zastępczyni Janina Chim, rada nadzorcza, w której zasiadał m.in. Dariusz Rosati, a z tytułu braku efektywnego nadzoru ówczesny minister finansów Andrzej Wróblewski i Leszek Balcerowicz.

▶ Jakie znaczenie miały ustalenia komisji weryfikacyjnej WSI w kontekście wyjaśniania rzeczywistego przepływu pieniędzy w FOZZ?

Olbrzymie, przede wszystkim dla pokazania grabieży polskiego przemysłu zbrojeniowego. Ale także dla pokazania mechanizmów demoralizacji części kadry wojskowej. Trzeba również pamiętać, że afera FOZZ polegała przede wszystkim na usankcjonowaniu gigantycznych długów zaciąganych przez Sowietów kosztem Polski i ukryciu ich rzeczywistego przeznaczenia. To dlatego śp. Michał Falzmann szacował nasze straty w wyniku działań FOZZ na kilkadziesiąt miliardów dolarów. Sprawa wykupywania gierkowskiego długu była tylko przykryciem tej sowieckiej operacji, o czym świetnie wiedzieli wszyscy zainteresowani.

▶ Czy dlatego oddano realizację tego „przedsięwzięcia" w ręce służb wywiadowczych?

Oczywiście że tak. Powierzono te działania służbom, a kluczową rolę odgrywał wywiad wojskowy. Grzegorz Żemek w jednym ze swych sprawozdań napisał, że z tej operacji wywiad może „wyciągnąć 500 mln". Wywiad bowiem otrzymał wówczas pełną kontrolę nad finansami, a dokładnie rzecz ujmując, nad operacją mającą ukryć sowiecką grabież naszych finansów. Jednym z narzędzi była możliwość ściągania funduszy, jakimi dysponowały na Zachodzie rodzime centrale handlu zagranicznego. Zgodę wydał Leszek Balcerowicz, a Grzegorz Żemek korzystał z tego bez ograniczeń. Dotyczyło to operacji realizowanych m.in. w Iraku, Etiopii, Nigerii, Angoli. Niektóre z nich mają konsekwencje do dziś, a świadomi tego ówcześni komunistyczni decydenci zasiadają w parlamencie w szeregach opozycji. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Ryszard Czarnecki

FOZZ w USA

USA. Końcówka rządów Ronalda Reagana, początek George'a Busha (seniora). Wybucha afera finansowa na olbrzymią skalę...

Government Accountability Office (GAO), czyli odpowiednik NIK, prowadzi intensywne śledztwo. Amerykańskie państwo poniosło straty rzędu 350 mln dolarów – tyle „wyparowało" na skutek operacji finansowych nadzorowanych przez służby. Zacieśnia się krąg podejrzanych. Akt oskarżenia obejmuje również – co jest sensacją – szefa FED (Federal Reserve System), czyli odpowiednika NBP. O aferze poinformowany zostaje prezydent Bush w obecności sekretarza skarbu i szefa FED. W „Washington Times" ukazuje się obszerna publikacja ewidentnie na podstawie przecieku od „głębokiego gardła" w GAO. Prowadzący śledztwo w GAO zostaje pod tym zarzutem odsunięty od sprawy, co w praktyce prowadzi do jej paraliżu. Niedługo potem umiera na zawał serca w podejrzanych okolicznościach. Wtedy rzucają się na to media. Staje się to tematem numer jeden dla CNN, NBC, Fox News i innych. Sprawa staje w prezydenckiej kampanii wyborczej, którą wygra potem William Clinton, zwany przeważnie Billem. Ale wybory nie są kresem afery. W wypadku samochodowym ginie szef GAO, który za punkt honoru uznał wyjaśnienie afery. Po pewnym czasie samobójstwo popełnia jego kierowca i „bodyguard" – oficer służb, mimo że po skazaniu go za spowodowanie śmiertelnego wypadku został... ułaskawiony przez nowo wybranego prezydenta-demokratę. Tę historię czyta się niczym streszczenie sensacyjnego filmu. Ale to nie scenopis rodem z Hollywood. To życie. Ale też śmierć. Kolejne tajemnicze śmierci. Topi się dwóch policjantów, którzy jako pierwsi przyjechali na miejsce wypadku, w którym zginął szef GAO (skądinąd wraz z nim jeden z wyższych urzędników amerykańskiego NIK). Pojechali na ryby, utonęli w wodzie sięgającej niewiele powyżej kolan. Media w Waszyngtonie stają na wysokości zadania: wszyscy już o tym mówią, a presja opinii publicznej wymusza skazanie winnych, wysokie wyroki, przepadek mienia skazanych (a były to fortuny).

Główny oskarżony trafia do więzienia o zaostrzonym rygorze, wychodzi na przepustkę ze względu na stan zdrowia i... znika. Odnajdzie się w Australii, ale Waszyngton błyskawicznie załatwia z Canberrą jego ekstradycję. W Stanach wyroki i medialny show upewniają Amerykanów, że ich państwo działa sprawnie i szybko.

Tak było w Ameryce. A raczej: tak NIE BYŁO w Ameryce. To przykład historii alternatywnej. To „political fiction". Tak po prostu NIE MOGŁO zdarzyć się w Stanach Zjednoczonych. Czy dlatego, że nie ma tam afer finansowych? Nie – bo się zdarzają. Czy dlatego, że nie dochodzi tam do tajemniczych wypadków śmierci? Nie, dochodzi, śmierć J.F. Kennedy'ego obrosła legendą, tak jak towarzysząca jej śmierć Lee Oswalda. Czy nie ma tam ludzi wykorzystujących państwowe posady do nielegalnego pomnażania prywatnego majątku? Są, bo USA nie są rajem na ziemi, zamieszkałym przez aniołów. Ale amerykańskie państwo – przy jego niemałych wadach – i amerykańskie media – przy mnogości ich grzechów, fobii, uprzedzeń – mają wbudowane mechanizmy kontroli, dzięki którym „amerykański FOZZ" nie mógł się wydarzyć. Jego potencjalni autorzy dość szybko byliby na celowniku wymiaru sprawiedliwości, a jeszcze szybciej znaleźliby się pod ostrzałem ciężkiej artylerii mediów. W USA jeśli nawet FOZZ by się wydarzył – choć wczesne mechanizmy ostrzegawczo-kontrolne zapewne spowodowałyby, że na dużo mniejszą skalę – to nikt nie śmiałby zamieść go pod dywan. Nie dlatego, że to naród świętych, lecz dlatego, że państwo Amerykanów to nie „ch.., dupa i kamieni kupa". Stany Zjednoczone to nie jest „państwo w abdykacji", jakim była III RP – twór układów polityczno-oligarchiczno-medialno-WSIowych.

Jak dobrze, że Rzeczpospolita dziś jest państwem „praktycznym", a nie teoretycznym. I że naszej RP bliżej do USA niż do sieroty po PRL. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Grzegorz Wierzchołowski

Grabież pod parasolem liberałów

Afera Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego – jeden z największych rabunków w historii Polski – obciąża nie tylko postkomunistów, ludzi aparatu PRL i służb specjalnych. Z głównymi bohaterami grabieży powiązane były także czołowe nazwiska środowiska liberałów, które tworzyły najpierw Kongres Liberalno-Demokratyczny i Unię Demokratyczną, a potem Platformę Obywatelską.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Grzegorz Żemek, Dariusz Przywieczerski, Janina Chim – te nazwiska najczęściej pojawiają się w artykułach i relacjach poświęconych antybohaterom afery FOZZ. Nikt chyba nie ma jednak wątpliwości, że wymienione osoby stanowiły jedynie parawan kryjący prawdziwych beneficjentów bezprecedensowego rabunku, jakiego dokonano na polskim państwie. Komunistyczni aparatczycy, tajni współpracownicy, funkcjonariusze służb specjalnych, wreszcie Moskwa – tam prowadzą sznurki, na których poruszały się marionetki w rodzaju Chim.

Ale ci, którzy na całej operacji zyskali miliony lub miliardy złotych, ci, którzy – odważmy się to powiedzieć – mają na swoich rękach krew śp. Michała Falzmanna, Waleriana Pańki i innych – nie mogliby swojej kryminalnej działalności prowadzić tak swobodnie, gdyby nie czuli się zupełnie bezkarni. A tę bezkarność zapewniali im ludzie tworzący od lat 90. trzon tzw. środowiska liberalnego w Polsce.

Żemek, Kubiak, Falzmann

Być może, gdyby inspektor Najwyższej Izby Kontroli Michał Falzmann miał bardziej giętki kręgosłup moralny lub po prostu nie był tak przenikliwy, jego życiowe i zawodowe losy potoczyłyby się inaczej, a afera FOZZ nigdy nie ujrzałaby światła dziennego. W drugiej połowie lat 80. – jeszcze zanim Falzmann zajął się FOZZ-em jako inspektor NIK – zgłosiła się do niego grupka osób z opozycyjnego pisma „Głos Wolnego Robotnika". „Mówili, że poznali biznesmena, który jest gotów dać na to powielaczowe pismo nawet kilka tysięcy dolarów. Mój mąż udał się z nimi na spotkanie, lecz postać »biznesmena« zrobiła na nim tak złe wrażenie, że wyszedł w trakcie. »To jakiś ubek« – mówił. Okazało się, że mecenasem tym był Wiktor Kubiak" – relacjonuje Izabela Brodacka-Falzmann, wdowa po inspektorze NIK.

„Głos Wolnego Robotnika" ostatecznie więc pieniędzy od Kubiaka nie dostał i to właśnie w tym piśmie (20 czerwca 1990 r.) Falzmann opublikował swój pierwszy artykuł na temat FOZZ.

Zmarły kilka lat temu Kubiak to postać kluczowa dla zrozumienia związków łączących FOZZ ze środowiskiem liberałów, które zrobiło potem tak zawrotną polityczno-biznesową karierę. W okresie tzw. transformacji ten w lot rozszyfrowany przez Falzmanna „biznesmen" zaczął brylować w Warszawie jako tajemniczy milioner. U jego boku zaczął pojawiać się 32-letni Donald Tusk, przywódca Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Młodemu politykowi nie przeszkadzało, że Kubiak miał obywatelstwo szwedzkie (do Skandynawii wyjechał w 1965 r.) i że jego firma Batax zarejestrowana była na Bahamach. W spotkaniach z szastającym pieniędzmi rezydentem hotelu Marriott brała zresztą udział już w 1989 roku cała ówczesna śmietanka gdańskich liberałów. Notabene właśnie do tego hotelu przyprowadzono Falzmanna, któremu wystarczył sam widok Kubiaka, by przerwać spotkanie i wyjść, nie uścisnąwszy nawet „biznesmenowi" ręki.

Tak się dziwnie złożyło, że bardzo dobrym znajomym Kubiaka był nie tylko Tusk, lecz także Grzegorz Żemek, na przełomie lat 80. i 90. dyrektor generalny FOZZ. Firma Batax Kubiaka brała bowiem – właśnie za sprawą Żemka, bezpośrednio powiązanego z komunistycznymi wojskowymi służbami specjalnymi – udział w zyskownych operacjach finansowych służb (chodziło przede wszystkim o Zarząd II Sztabu Generalnego). Między innymi na mocy decyzji Żemka, działającego jako pełnomocnik oddziału Banku Handlowego w Luksemburgu, firma Batax uzyskała kredyt w wysokości 32 mln dolarów.

A zatem „ojciec chrzestny" gdańskich liberałów – tworzących kolejno KLD, Unię Wolności i Platformę Obywatelską – był narzędziem w ręku Grzegorza Żemka. Ten zaś jako dyrektor generalny FOZZ był ostatecznym wykonawcą poleceń w sprawie Funduszu, jakie otrzymał od swoich wojskowych mocodawców, powiązanych z komunistycznym reżimem i Moskwą. Czy w takiej sytuacji może dziwić brak jakiejkolwiek reakcji na dramatyczne doniesienia Michała Falzmanna ze strony Jana Krzysztofa Bieleckiego, który od stycznia do grudnia 1991 r. był premierem RP, a w 1989 roku gościł u Kubiaka w Marriotcie?

Michał Falzmann zmarł na zawał serca 18 lipca 1991 r. Dokładnie tydzień wcześniej ministrem przekształceń własnościowych został młody polityk KLD Janusz Lewandowski, który jako swojego pełnomocnika powołał... Wiktora Kubiaka. A w październiku 1991 roku ów bliski kolega Żemka, dyrektora FOZZ, urządził w swojej kawiarni „Nowy Świat" w Warszawie wieczór wyborczy Kongresu Liberalno-Demokratycznego.

FOZZ-owska ekipa Balcerowicza

Między FOZZ a środowiskiem liberałów jest jeszcze jeden łącznik: Leszek Balcerowicz i jego słynna ekipa odpowiadająca za transformację gospodarczą.

Otóż Grzegorz Żemek został dyrektorem generalnym FOZZ w lutym 1989 roku (właśnie wtedy Fundusz został powołany na mocy ustawy Sejmu PRL IX kadencji), a propozycję objęcia tej funkcji złożył mu nie kto inny jak Janusz Sawicki – od jesieni 1989 roku czołowy współpracownik (i zastępca) właśnie Leszka Balcerowicza, kierującego resortem finansów. Sawicki był – jak się potem okazało – powiązany z komunistycznym wywiadem cywilnym.

Późniejszy guru polskich liberałów, w latach 1995 –2000 szef Unii Wolności, w książce Johna Williamsona „Political Economy of Policy Reform" nie szczędził

Ilustracja Antoni Chodorowski

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Sawickiemu pochwał. Zaliczył go do „ekipy Balcerowicza" i zachwalał jako „kompetentnego, energicznego" współpracownika. Należy tu dodać, że jako wiceminister finansów Sawicki odpowiedzialny był – uwaga – za negocjacje w sprawie zadłużenia zagranicznego Polski.

Kogo jeszcze w publikacji Williamsona chwali i wymienia jako członka swej „ekipy" Balcerowicz? „Grzegorz Wójtowicz, pierwszy wiceprezes Narodowego Banku Polskiego i jego prezes w 1991 r., ukończył na tym samym roku [co ja] studia na Wydziale Handlu Zagranicznego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. Wojciech Misiąg i Ryszard Pazura, dwaj moi inni zastępcy w Ministerstwie Finansów także byli absolwentami SGPiS" – opisywał Balcerowicz.

Szybki rzut oka na radę nadzorczą FOZZ, powołaną w marcu 1989 r. Przewodniczący (od 14 marca 1989 do 31 grudnia 1990 r.): Janusz Sawicki. Wśród członków rady: Grzegorz Wójtowicz i Wojciech Misiąg. Ten ostatni – tajny współpracownik komunistycznego kontrwywiadu o pseudonimie „Jacek" – w 2011 roku powołany został przez marszałka Sejmu Grzegorza Schetynę na stanowisko wiceprezesa NIK. Czyli instytucji, pracę dla której przypłacili życiem Michał Falzmann i Walerian Pańko... W tym samym roku ówczesny prezydent Bronisław Komorowski odznaczył Misiąga Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi dla transformacji ustrojowej".

W notatce służbowej z 5 kwietnia 1991 roku Michał Falzmann wprost pisał o Balcerowiczu i Sawickim: „Odpowiedzialnymi za dokumentację dotyczącą zadłużenia Polski byli lub są nadal rzeczywiści wiceministrowie Ministerstwa Finansów: Sawicki, Kawalec, Gadomski, Boniuk, Rejent, Link, Napiórkowski, Wróblewski, Balcerowicz, Podsiadło".

Trzeba tu zaznaczyć, że Falzmann na trop afery FOZZ wpadł już jesienią 1989 roku jako komisarz Izby Skarbowej. Został wówczas skierowany na kontrolę do centrali handlu zagranicznego Universal, którą kierował Dariusz Przywieczerski (jednocześnie doradca Żemka w FOZZ). Universal był jednym z głównych elementów przestępczego mechanizmu FOZZ, w czym Falzmann szybko się zorientował, sporządzając 30 października 1989 roku notatkę służbową. Opisał w niej po raz pierwszy zasady gigantycznego przekrętu, który badał będzie potem jako inspektor w NIK. Ale po sporządzeniu notatki Falzmann został wyrzucony z Izby Skarbowej. Z pracy usunąć go kazał Janusz Sawicki – zastępca Leszka Balcerowicza, przewodniczący rady nadzorczej FOZZ, „kompetentny i energiczny" współpracownik guru polskich liberałów.

Od Rosatiego do Olechowskiego

W radzie nadzorczej FOZZ zasiadał także Dariusz Rosati – ekonomista, który do 1990 roku był członkiem partii komunistycznej, a od 2011 roku związany jest politycznie z Platformą Obywatelską. Z ramienia PO Rosati w Sejmie VII kadencji pełnił m.in. funkcję przewodniczącego... Komisji Finansów Publicznych. W 2014 roku uzyskał mandat eurodeputowanego. Tam były członek rady nadzorczej FOZZ także obejmował ciekawe funkcje: w 2016 roku został koordynatorem i rzecznikiem frakcji Europejskiej Partii Ludowej w komisji śledczej zajmującej się dochodzeniem w sprawie prania pieniędzy, a w 2018 roku członkiem Komisji Specjalnej ds. Przestępstw Finansowych. W lutym 2016 roku Rosati został członkiem zespołu doradców ekonomicznych PO.

W trakcie rabunku państwa za pośrednictwem FOZZ pierwszym zastępcą prezesa NBP był Andrzej Olechowski, jeden z założycieli PO (a w latach 80. współpracownik komunistycznego wywiadu). Olechowski – co warto przypomnieć – był też udziałowcem i współzałożycielem Banku Inicjatyw Gospodarczych (BIG). W spółce tej otworzył rachunek Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, a sam BIG ściśle powiązany był ze wspomnianym już Universalem Dariusza Przywieczerskiego – udzielił m.in. tej firmie ogromnego kredytu stanowiącego 87 proc. jej kapitału.

Olechowski był też od 1991 roku szefem rady nadzorczej Banku Handlowego, za którego pośrednictwem FOZZ prowadził znaczną część operacji walutowych (przed Olechowskim radą nadzorczą BH kierował Janusz Sawicki). Natomiast od 1991 roku prezesem Banku Handlowego był aktywny do dziś w bankowości Cezary Stypułkowski (według akt IPN zarejestrowany jako tajny współpracownik SB „Michał"). Jak tam trafił? Sam Stypułkowski mówił o tym tak: „Jesienią 1990 r. premier Balcerowicz złożył mi propozycję związaną z Bankiem Handlowym. Profesora Balcerowicza znałem jeszcze z lat 80. [...] Nie byłem jedynym kandydatem, ale ostatecznie gdzieś w końcówce stycznia 1991 r. profesor Balcerowicz poprosił mnie, abym napisał, co zamierzam zrobić w Banku Handlowym. Napisałem 10-stronicowy dokument [...]".

Dziś Stypułkowski twierdzi, że z FOZZ nie miał nic wspólnego, bo gdy obejmował szefostwo Handlowego, Fundusz był w likwidacji. Anatol Lawina (zmarł w 2006 roku wskutek pobicia przez nieznanych sprawców), bezpośredni zwierzchnik Falzmanna w NIK, wspominał jednak w „Przeglądzie Tygodniowym": „Liczba skarg na M.T. Falzmanna, jakie przesyłał prezes Banku Handlowego C. Stypułkowski oraz inne osobistości, przekraczała ludzkie wyobrażenie. Był moment, że nie wiedziałem, czy jest to »polowanie« na prezesa NIK prof. dr. hab. W. Pańko, na mnie czy też na M.T. Falzmanna. Prezes C. Stypułkowski przeszedł samego siebie". ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

NOWE PALIWO

efecta

efecta DIESEL

efecta 95

CZYSZCZĄC SILNIK,
dba o:

- żywotność
- wydajność

ORLEN

Dowiedz się więcej na **dlakierowcow.orlen.pl**

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Piotr Lisiewicz

Pamiętam, jak w 1992 roku jako student pierwszego roku politologii biegałem od księgarni do księgarni, by kupić książkę profesorów Jerzego Przystawy i Mirosława Dakowskiego „Via bank i FOZZ. O rabunku finansów Polski". Wiedziałem o śmierci Michała Falzmanna i o tym, że wydawcę książki Marcina Dybowskiego napadnięto. I że to wszystko po to, by ci, których kreowano nam na „autorytety moralne", pozostali bezkarni. W końcu udało mi się kupić tę książkę, ale jej lektura nie była łatwa. Za dużo operacji ekonomicznych, za dużo niewiadomych... Tak musiało być, bo to była pierwsza próba opisu tego, co się z nami działo.

Dziś przedrukowujemy fragmenty artykułu, który powstał znacznie później. W 2004 roku Daniel Wicenty z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w artykule naukowym podjął się usystematyzowania wiedzy na temat FOZZ, posługując się aparatem naukowym socjologa. Ukazał się on w 2005 roku w książce „Zagubiona rzeczywistość: o społecznych mechanizmach tworzenia niewiedzy". W jego fragmentach usunąłem obszerne przypisy, z którymi można zapoznać się w książce.

Daniel Wicenty
Instytut Socjologii UMK

Afera FOZZ jako modelowy przykład funkcjonowania zakulisowych wymiarów transformacji ustrojowej w Polsce

Ustawa powołująca FOZZ została uchwalona w tydzień po rozpoczęciu rozmów Okrągłego Stołu (15 lutego 1989 roku). Część elity komunistycznej, która była odpowiedzialna za zainicjowanie i przebieg negocjacji ze stroną opozycyjną, była zapewne świadoma, że reguły gry dotyczące gospodarki i polityki zostaną w sposób znaczący przedefiniowane. Przedefiniowaniu miały ulec również warunki określające podtrzymanie pozycji elitarnej...

[...] Znaczenie afery FOZZ dla dynamiki przemian roku 1989 rozgrywa się na wielu planach i jak zobaczymy, o szerokim zasięgu tej afery mogą świadczyć nakładające się nań zjawiska takie jak:

– geneza polskiego kapitalizmu;

– miejsce i rola służb specjalnych w procesie transformacji oraz życiu gospodarczym, politycznym i medialnym Polski po 1989 roku;

– kryzys polskiego wymiaru sprawiedliwości;

– powstanie i rozrost nieformalnych powiązań pomiędzy polityką a biznesem.

W tym sensie będziemy traktować aferę FOZZ nie tylko jako „matkę afer", największą i najsłynniejszą ujawnioną aferę III RP , lecz również jako swoisty model nielegalnego transferu majątku publicznego w prywatne ręce, pokazujący, jakie należy przedsięwziąć środki, aby transfer taki był skuteczny oraz bezkarny. Aferę FOZZ można zinterpretować jako modelową również w tym sensie, że analiza maszynerii FOZZ daje jedną z możliwych odpowiedzi na pytanie o początki polskiej elity biznesu. [...]

Krótka historia FOZZ

Mocą ustawy z dnia 15 lutego 1989 roku (Dz. U. nr 6, poz. 31, zmiana ustawy Dz. U. nr 64, poz. 389, art. 5) FOZZ został powołany jako jeden z państwowych funduszy celowych. [...] W rzeczywistości fundusz miał zajmować się potajemnym wykupywaniem na rynku wtórnym zagranicznego długu Polski za pomocą podstawionych podmiotów. Ponieważ wiarygodność Polski jako państwa była wtedy mocno ograniczona na arenie międzynarodowej, cena polskiego długu na rynku wtórnym była średnio czterokrotnie niższa od nominalnej [...] W świetle ówczesnego prawa międzynarodowego była to działalność nielegalna [...]

Wydaje się nam, że oprócz potajemnego skupywania polskiego długu [...] istotną część działań FOZZ sta-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

nowiły operacje mające na celu wyprowadzenie spod kontroli państwa sporej części majątku publicznego [...] Słuszność naszego stanowiska zdaje się potwierdzać kilka faktów:

– stopień skomplikowania transakcji finansowych pomiędzy różnymi podmiotami krajowymi i zagranicznymi związanymi z FOZZ świadczy raczej o istnieniu starannie opracowanego planu niż o działaniach ad hoc [...] złożoność ta tworzyła pewien rodzaj zasłony dymnej, zacierającej ślady operacji;

– liczne transakcje FOZZ przeprowadzone zostały w stosunkowo krótkim przedziale czasowym. Tu znowu w sposób uprawomocniony możemy domniemywać, że nie byłoby to możliwe bez uprzednich planistyczno-logistycznych posunięć [...]

Kim są aktorzy odpowiedzialni za aferę FOZZ?

Identyfikacja aktorów odpowiedzialnych za aferę FOZZ jest w niemałym stopniu zadaniem spekulatywnym. Akt oskarżenia nie jest najlepszym tropem, gdyż w naszym mniemaniu obejmuje raczej wykonawców, a nie mocodawców. [...]

Ustawa powołująca FOZZ została uchwalona w tydzień po rozpoczęciu rozmów Okrągłego Stołu (15 lutego 1989 roku). Część elity komunistycznej, która była odpowiedzialna za zainicjowanie i przebieg negocjacji ze stroną opozycyjną, była zapewne świadoma, że reguły gry dotyczące gospodarki i polityki zostaną w sposób znaczący przedefiniowane. Przedefiniowaniu miały ulec również warunki określające podtrzymanie pozycji elitarnej [...]

Zeznania głównego oskarżonego z listopada 2003 roku, Grzegorza Żemka, świadczą jednoznacznie o zaangażowaniu wysokich rangą członków PZPR na etapie tworzenia ustawy o FOZZ: „Według Żemka projekt ustawy o FOZZ [...] przygotowywano m.in. podczas dyskrecjonalnych narad w zakonspirowanych lokalach. Uczestniczyli w nim oficerowie i współpracownicy służb, wysocy urzędnicy Ministerstwa Finansów oraz KC PZPR".

Tu postawmy drugie pytanie – kto mógł „zaprogramować" FOZZ w ten sposób, tak by mógł on stać się narzędziem pozyskiwania środków finansowych? Aby odpowiedzieć na nie, musimy przedstawić kolejne założenie, brzmiące: Polska w latach 80. miała istotne cechy państwa policyjnego, a zasoby tego państwa uległy częściowej prywatyzacji. [...]

Jakiego rodzaju zasoby wykorzystano w aferze FOZZ?

Kapitał kulturowy

Kapitał ten stosunkowo największą rolę odgrywał w pierwszej fazie przedsięwzięcia – projekcie i wprowadzeniu w system prawny furtek. W grę wchodzą tu następujące zasoby:

– wiedza dotycząca niektórych aspektów funkcjonowania gospodarki wolnorynkowej (m.in. znajomość reguł prawnych dotyczących funkcjonowania rynków finansowych, różnego rodzaju spółek, systemów bankowych, rajów podatkowych). Środkami tymi dysponować mogli zarówno funkcjonariusze służb specjalnych (przede wszystkim wywiadu) oraz część partyjnej elity, zwłaszcza ta bliska „pokoleniu '84";

– umiejętność myślenia strategicznego, która w tym przypadku ważna była ze względu na stworzenie różnych prawdopodobnych scenariuszy wydarzeń i dopasowanie do nich działań osłonowych i ochronnych [...] która oznacza możliwość stawiania sobie celów z krótkiego (skuteczne operacje transferu zasobów finansowych poprzez FOZZ) i długiego (skuteczne działania osłonowe zapewniające w przyszłości bezkarność) horyzontu czasowego oraz realizowania ich;

– umiejętność sterowania procesem legislacyjnym w celu nadania aktom prawnym odpowiedniego kształtu. Możemy domniemywać, że aktorzy związani z aferą FOZZ zdołali uzyskać wpływ na proces tworzenia aktów prawnych regulujących działanie FOZZ. [...]

– obycie towarzyskie, łatwość nawiązywania kontaktów, umiejętność prowadzenia rozmów z różnymi osobami i na różne tematy, zdolność manipulowania ludźmi, inteligencja emocjonalna, zdolność do podporządkowania się poleceniom oraz do pracy w strukturze hierarchicznej;

– last but not least znajomość języków obcych.

Kapitał polityczny

Pojęcie kapitału politycznego stosować będziemy szeroko, interesować nas będzie możliwość formalnego i nieformalnego sprawowania władzy, co przekłada się na różnorakie kategorie:

– wpływ jako pochodna kierowania tajnym współpracownikiem. [...] Nie jest tutaj ważne, jakimi środkami tajny współpracownik jest motywowany do działania na rzecz swoich mocodawców, ważne jest, aby współpracownik taki był dobrze ulokowanym przedmiotem wpływu. [...]

– wpływ jako pochodna zastraszania. [...] W przypadku afery FOZZ byliśmy świadkami serii dość tajemniczych zgonów osób powiązanych ze sprawą FOZZ. Michał Falzmann, inspektor NIK, który wykrył aferę FOZZ umarł na zawał serca, w wypadku samochodowym zginął szef NIK Walerian Pańko. [...]

– wpływ jako pochodna szantażu. Heathcliff Pineiro, który wielokrotnie oskarżał braci Kaczyńskich o korzystanie z pieniędzy FOZZ w oświadczeniu złożonym w prokuraturze w 1993 r. napisał, że do obciążenia Ka-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

czyńskich nakłaniał go były funkcjonariusz SB [...] Motyw szantażu może być bardzo zresztą różny, środek ten może być skuteczny na przykład w sytuacji, gdy szantażowana osoba (dziennikarz, sędzia, polityk lub prokurator) jest tajnym współpracownikiem [...]

Kapitał społeczny

Czynnikiem integrującym poczynania różnych podwykonawców w aferze FOZZ była lojalność wobec swoich mocodawców, powiązanych ze środowiskiem służb specjalnych. Częściowo była ona wynikiem uczestnictwa w brudnej wspólnocie, a częściowo socjalizacji wtórnej charakterystycznej dla służb specjalnych, opartej o silnie wyeksponowany team spirit. Kapitał społeczny oznacza także gotowość różnych aktorów do podjęcia działań, narażających na szwank ich pozycję zawodową, uznanie czy prestiż społeczny [...]

Kim byli beneficjenci afery FOZZ?

Pieniądze FOZZ przepływały w Polsce przez ponad 100 firm. Dla dużej części operacji FOZZ nie istnieje jednak żadna dokumentacja. Wskażmy tylko kilka szeroko omawianych przypadków:

– Dariusz T. Przywieczerski [...] uczestniczył w co najmniej kilku operacjach związanych z FOZZ. Najgłośniejsza dotyczyła spółki „TRAST", którą utworzyli Żemek wraz z Przywieczerskim dzięki bezprawnie przelanym pieniądzom pochodzącym z kont FOZZ [...] Poza tym FOZZ poręczył kredyt zaciągnięty w BIG przez Przywieczerskiego na firmę „Dukat" [...] W sumie „Universal" podpisał ponad 80 umów finansowych z FOZZ. Przywieczerski był także przez Janinę Chim związany z Ireneuszem Sekułą, byłym posłem SLD. [...]

– z pożyczki FOZZ prawdopodobnie skorzystał Zygmunt Solorz, założyciel i właściciel Polsatu [...]

– BIG Bank założony przez członków elity PZPR, w czasie kilku lat stał się jednym z największych polskich banków. FOZZ powierzył bankowi 16 mln zł. [...]

– firma „Awalo". Chim udzieliła jej pożyczki w imieniu FOZZ, choć nie była do tego uprawniona. Pożyczki tej „Awalo" nigdy nie spłaciła [...] Udziałowcem „Awalo" był m.in. Kredyt Bank, a członkiem pierwszej rady nadzorczej Kredyt Banku był przez jakiś czas Grzegorz Żemek [...]

– firma „Nywig". Udziałowcami (po 50%) byli FOZZ i PKO S.A. Prezesem spółki był Andrzej Wróblewski, twórca FOZZ (ibidem). Akta „Nywig" zaginęły z Sądu Rejestrowego wkrótce po wybuchu afery FOZZ;

– Barbara Piasecka-Johnson. Poprzez operacje FOZZ i spółki „Tricotex", której była właścicielką, otrzymała wg likwidatora FOZZ czterokrotnie więcej pieniędzy, niż się to jej należało. [...]

Środowiska polityczne

Stosunkowo najwięcej ujawnionych śladów wiedzie do środowisk postkomunistycznych, związanych z nieistniejącym obecnie SdRP. Zrekonstruujmy te i inne tropy:

– akt notarialny spółki „TRAST" „[...] dozwala na zawieranie transakcji ze spółką »Transakcja« w pełnym zakresie wpłaconego kapitału akcyjnego". „Transakcja" była spółką założoną przez KC PZPR, przejęła ona w sposób bezprawny majątek Polskiej Akademii Nauk Społecznych oraz RSW „Prasa-Książka-Ruch". Właścicielem „Transakcji" stało się później SdRP;

– Sławomir Wiatr, były rządowy pełnomocnik ds. informacji europejskiej w kancelarii premiera. Wiatr poprzez firmę „Mitpol" (której był założycielem) prowadził interesy z firmą „Polmarck", powiązanej z FOZZ. W firmie „Polmarck" pracował też m.in. Władimir Ałganow;

– Przywieczerski kontrolował m.in. spółkę „Ad Novum", wydawcę „Trybuny" i „Przeglądu Tygodniowego". Z firmą „Ad Novum" związani byli m.in. Aleksander Kwaśniewski (w 1995 r. szef rady nadzorczej), Krzysztof Janik, Marek Siwiec, Marek Ungier, Józef Oleksy i Wiesław Kaczmarek [...]

– członkiem rady nadzorczej „Universalu" był Jacek Merkel, dawny współpracownik Lecha Wałęsy [...]

– Przywieczerski poprzez firmę „Dukat" finansował wybory Unii Demokratycznej i Kongresu Libaralno-Demokratycznego w wyborach w roku 1991 [...]

Wymiar sprawiedliwości a afera FOZZ

[...] sprawa FOZZ jest jedną z jego największych porażek po 1989 roku. W dużej części stało się to zapewne dzięki zakulisowemu wpływowi aktorów związanych z aferą FOZZ na postępowanie sędziów i prokuratorów. Ubezwłasnowolnienie prokuratorów, sędziów i adwokatów jest wynikiem ich współpracy ze służbami specjalnymi. Wobec części z nich toczą się postępowania lustracyjne, część z nich ujawniła fakt swojej współpracy w oświadczeniach lustracyjnych. [...] Ponadto sędziowie i prokuratorzy dostarczyli wystarczająco dużo przykładów działania (celowo?) nieudolnego, niekompetentnego bądź świadczącego o braku woli w wyjaśnieniu sprawy FOZZ [...]

Media a afera FOZZ

Czy aktorzy stojący za aferą FOZZ uzyskali pewien wpływ na media w celu dezinformowania, sprowadzania na fałszywe tropy czy przekłamywania faktów? [...]

Przeanalizowaliśmy zachowanie się kilku redakcji prasowych oraz kontekst kilku wydarzeń medialnych,

eprasa.pl 1fdc7c8e16

które wg nas wskazują na fakt dezinformowania, przekłamywania i nierzetelnego przedstawiania faktów:

– tygodnik „Nie" na aferę FOZZ patrzył przede wszystkim przez pryzmat oskarżeń Heathcliffa Pineiro wobec braci Kaczyńskich, dość wyraźnie uznając je za wiarygodne. [...] Przypomnijmy jednak pewne fakty każące traktować Pineirę oraz „Nie" (w tym przypadku) za niewiarygodne źródła informacji: 1) Pineiro złożył w 1993 r. oświadczenie, że do zeznań obciążających Kaczyńskich nakłaniał go były oficer SB; 2) Pineiro był ścigany międzynarodowym listem gończym za oszustwa finansowe; 3) Pineiro prawdopodobnie był (jest?) tajnym współpracownikiem służb specjalnych; 4) zeznania Pineiry we wznowionym procesie były sprzeczne, niespójne i zawierały dużo zbędnych informacji robiących wrażenie celowo wprowadzanego szumu informacyjnego; 5) tygodnik „Nie" żyje od długiego czasu w symbiozie ze służbami specjalnymi, wielokrotnie ujawniając tajne dokumenty UOP [...]

– w tygodniku „Wprost" niedługo po ujawnieniu afery FOZZ ukazał się artykuł, mówiący, że oskarżenie Przywieczerskiego w aferze FOZZ jest zemstą środowisk politycznych [...] W innym artykule przedstawiono tezę mówiącą, że ujawnienie niejawnych operacji FOZZ jest bardzo szkodliwe dla Polski, gdyż uniemożliwia to zaoszczędzenie „kolosalnych sum" [...]

– „Gazeta Wyborcza" opublikowała kilka artykułów wyraźnie deformujących obraz sprawy FOZZ. Piotr Pacewicz podając sumę pieniędzy zagubionych przez FOZZ pomniejszył ją tysiąckrotnie (1991). „Interwencje w redakcji domagające się sprostowania tej dezinformacji nie skutkowały" [...]

▶ Ciągłość brudnych wspólnot

Afera FOZZ ukazuje również niezwykłą ciągłość pewnych środowisk angażujących się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat w przedsięwzięcia aferowe. [...] z aferą FOZZ wiąże się instytucjonalna ciągłość wojskowych służb specjalnych. W przeciwieństwie do służb cywilnych nigdy nie zostały poddane weryfikacji, reorganizacji ani zewnętrznemu audytowi. Co więcej, pomimo zapowiadanych reform służb specjalnych (np. przez SLD przed wyborami parlamentarnymi w roku 2001), struktura organizacyjna WSI pozostała nienaruszona. Pozostaje pytanie o źródła owej ciągłości – na ile decydujące są tu sprywatyzowane zasoby państwa policyjnego? ■

REKLAMA

eprasa.pl 1fdc7c8e16

BOMBA WODOROWA W KOŚCIELE

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Tomasz P. Terlikowski

Ten skandal może do reszty zniszczyć Kościół i wizerunek papiestwa na Zachodzie. I choć wielu ma tego świadomość, to Watykan zdaje się przyjmować strategię udawania, że nic się nie stało, a jedynym problemem są konserwatywni przeciwnicy Franciszka. Nic na to jednak nie wskazuje.

fot. MASSIMO PERCOSSI/PAP/EPA

Zmienia się klimat wokół papieża Franciszka. Już nie wystarczą piękne słowa, a liberalne media zaczynają stawiać pytania o czyny. Taki jest ostatni tekst magazynu „Der Spiegel". Nic dobrego dla obrazu Ojca Świętego z niego nie wynika. „Papież obiecał, gdy obejmował swój urząd, odnowiony, kosmopolityczny katolicyzm" – przekonują autorzy artykułu. „Pięć i pół roku oraz wiele ofiar molestowania później Kościół uniwersalny jest podzielony jak nigdy dotąd" – wskazują autorzy dziewiętnastostronicowego raportu w niemieckim lewicowo-liberalnym tygodniku. „Franciszek może przejść do historii jako ten, który podzielił Kościół" – uzupełnia „Der Spiegiel", odnosząc się do tak dzielących Kościół powszechny kwestii, jak interkomunia dla protestanckich małżonków katolików czy dla rozwodników w nowych związkach.

Kto chronił przestępców w sutannach

Nie to jest jednak głównym ostrzem zarzutów wobec Franciszka. „Der Spiegiel" zaatakował papieża z zupełnie innej strony, takiej, która może rzeczywiście zniszczyć jego autorytet, tam, gdzie jak dotąd był on największy – wśród niewierzących i zwolenników lewicy. Franciszek od początku pontyfikatu jawił się im jako ten, który chce rozprawiać się ze skandalami seksualnymi, być nieubłaganym dla przestępców seksualnych w sutannach. Polityka „zero tolerancji" dla przestępców i pełnej otwartości dla ofiar miała być jego znakiem rozpoznawczym. Jak jednak przekonują dziennikarze „Der Spiegiel", obraz ten niewiele ma wspólnego z rzeczywistością, przynajmniej tą z czasów posługi arcybiskupiej kard. Jorge Bergoglio w Buenos Aires i początków pontyfikatu.

Dziennikarze dotarli do ofiar molestowania z Argentyny, które napisały list do Franciszka krótko po jego wyborze na urząd Piotrowy i nigdy nie doczekały się odpowiedzi. Julieta Añazco, która było molestowana seksualnie przez księdza, gdy miała siedem lat, opowiada, że wraz z trzynastoma innymi ofiarami księży pedofilów z Argentyny wysłała list do papieża Franciszka w 2013 r. Trzy tygodnie później otrzymała potwierdzenie odbioru korespondencji, ale ani ona, ani inne ofiary nie doczekały się odpowiedzi. Ksiądz przestępca, choć przeniesiono go do domu opieki, nadal odprawia mszę świętą.

I niestety, zdaniem obserwatorów z Argentyny cytowanych przez tygodnik, nie jest to dla nikogo zaskoczenie. „W czasie, gdy Bergoglio był kardynałem, wiele ofiar przemocy seksualnej w Buenos Aires zwracało się do niego o pomoc; nikt nie miał do niego dostępu" – czytamy w magazynie. Obrońca argen-

eprasa 1fdc7c8e16

tyńskich ofiar Juan Pablo Gallego zarzuca Franciszkowi, że „przez lata chronił gwałcicieli i sprawców przemocy wobec dzieci". A jednym z wielu przykładów ma być sytuacja ks. Julio Césara Grassi, który obecnie przebywa w więzieniu za gwałcenie nastoletnich chłopców. Franciszek był spowiednikiem Grassi i nakazał sporządzenie raportu prawnego w celu obrony księdza przed zarzutami. Gallego spotkał się w sprawie owego przestępcy z arcybiskupem Buenos Aires, ale ten był nieufny wobec niego, wycofany i nawet nie wspomniał o tym, że Kościół opłaca prawników ks. Grassi. – Obecny obraz otwartego, sympatycznego papieża Franciszka nie pasuje do człowieka, przed którym wówczas siedziałem – mówi prawnik.

Zaskoczeni? Niestety, nie są to pierwsze takie zarzuty wobec papieża Franciszka. Identyczne formułowano w odniesieniu do skandali seksualnych w Chile. Tam kilku kapłanów pedofilów i ich popleczników w biskupich strojach doprowadziło do kompletnego rozpadu Kościoła, a mimo to, gdy papież leciał do tego kraju, nadal bronił biskupa Juana de la Cruz Barrosa, który przez lata tuszował skandale seksualne z udziałem księdza Fernando Karadimy, zapewniając, że nie ma najmniejszych dowodów winy. Kilka godzin później kardynał O'Malley, który w Kościele odpowiada za obronę nieletnich, jednoznacznie odciął się od tej wypowiedzi, a kilkanaście godzin później okazało się, że on sam osobiście przekazał papieżowi obciążające biskupa Barroso materiały. I dopiero wtedy Watykan wziął się do pracy, zawiesił cały Episkopat. Aby jednak do tego doszło, musiało zostać zagrożone dobre imię papieża. Same zbrodnie nie wystarczyły.

Homomafia i walka z ideologią

Ale publikacje w liberalnych mediach czy nawet zaleczony ostrymi (choć zdecydowanie spóźnionymi i mającymi więcej wspólnego z obroną Watykanu niż ofiar) decyzjami skandal w Chile nie są wcale największym problemem Stolicy Apostolskiej i samego papieża. O wiele groźniejsze jest oświadczenie arcybiskupa Carlo Marii Viganò, byłego nuncjusza apostolskiego w Stanach Zjednoczonych, które odnosi się do gigantycznego skandalu, jaki wybuchł wokół byłego już kardynała Theodore'a McCarricka.

Hierarcha ten był metropolitą Waszyngtonu, w 2002 roku był jedną z twarzy odnowy i oczyszczenia Kościoła ze skandali seksualnych, on składał obietnice, a jednocześnie – co wyszło na jaw całkiem niedawno – czuwał nad tym, by gigantyczne badania nad molestowaniem nie objęły biskupów. To właśnie ta druga decyzja sprawiła, że jego własne działania nie ujrzały wówczas światła dziennego. A było ich naprawdę sporo. Przez lata swojej posługi jako rektor seminarium biskup, arcybiskup i kardynał McCarrick wykorzystywał seksualnie kleryków i księży, sypiał z nimi w jednym łóżku, uwodził, wykorzystując własną pozycję. I żeby nie było wątpliwości, nie była to tajemnica. Dziennikarze, kapłani i liderzy opinii plotkowali o tym od dawna, ale nie było siły, by zatrzymać karierę duchownego. Szef organizacji Road to Recovery, której zadaniem jest pomoc ofiarom molestowania, Robert Hoatson, były ksiądz diecezji New Jersey, w której biskupem był McCarrick, opowiadał w wywiadzie dla „American Conservative", że już w latach 90. wiadomo było, iż arcybiskup wykorzystuje młodych mężczyzn i kleryków. Gdy podczas oficjalnego spotkania zapytał o to jednego z kurialistów, ten lekceważąco machnął ręką. – Nie, to już przeszłość – miał powiedzieć. – Już tego nie robi, bo biskup James McHugh i nuncjusz apostolski powiedzieli mu, by tego nie robił – usłyszał Hoatson.

Ostatecznie emerytowanego kardynała dopadła historia z młodości (fakt, że obrzydliwa do granic możliwości i rzeczywiście pedofilska). Chodzi o wykorzystanie przez młodziutkiego wówczas księdza McCarricka 11-letniego chłopca, którego wcześniej ochrzcił i którego rodziców był przyjacielem. Oszczędzę czytelnikom szczegółowych opisów tego, co z nim robił, jak go krzywdził i do czego doprowadził. James próbował alarmować rodziców, ale oni nie wierzyli, że ich bliski przyjaciel, wschodząca gwiazda amerykańskiego, liberalnego katolicyzmu, może krzywdzić ich dziecko. Ta sprawa ujrzała światło dzienne teraz, ale, jak się okazuje – a wynika to z przez nikogo niekwestionowanego (co najwyżej ośmieszanego czy przemilczanego) raportu arcybiskupa Vigano – już za pontyfikatu Benedykta XVI za same przestępstwa homoseksualne kardynał McCarrick został odsunięty od pewnych decyzji i nałożono na niego tajne kary (taka była wówczas praktyka).

Franciszek jednak po swoim wyborze uchylił je, i to mimo, że nuncjusz osobiście rozmawiał z nim o powadze zarzutów wobec byłego metropolity Waszyngtonu. Jakby tego było mało, arcybiskup podkreśla, iż Ojciec Święty nie tylko „krył McCarricka", lecz także uczynił go „zaufanym doradcą". To właśnie McCarrick miał być jednym z tych, którzy doprowadzili do powołania najbardziej liberalnych i najmniej ortodoksyjnych biskupów w USA, tj. kardynała Blase'a Cupicha z Chicago i Josepha Tobina z Newark. Świadomość przestępstw McCarricka miał jednak nie tylko Franciszek, lecz także szereg watykańskich i amerykańskich hierarchów: kardynałowie Sodano, Bertone i Parolin, a także kardynał Donald

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Wuerl, następca McCarricka na urzędzie metropolity Waszyngtonu.

Opisy spotkań i rozmów nuncjusza z papieżem pokazują (jeśli są prawdziwe), i to także jest bardzo istotny element tego dokumentu, sposób myślenia i działania Franciszka. Już podczas pierwszego spotkania, bardzo zresztą krótkiego, papież miał zaatakować w ostrych słowach arcybiskupa i wyrzucać mu, że „pasterze w Stanach Zjednoczonych nie mogą być zideologizowani". „Oni mają być pasterzami" – miał krzyczeć Franciszek. Podczas kolejnego spotkania miały paść te same słowa, ale już w innej emocjonalnie otoczce. Papież miał być wówczas przyjacielski i niezwykle sympatyczny, ale w niczym nie zmienił swojego przekazu, a nawet wzmocnił go wskazaniem na tych, którzy jego zdaniem są ideologiczni. „Biskupi w Stanach Zjednoczonych nie mogą być ideologizowani, nie mogą być prawicowi, jak arcybiskup Filadelfii (papież nie podał imienia arcybiskupa), muszą być pasterzami, nie mogą być lewicowi, a kiedy mówię lewicowi, mam na myśli homoseksualistów" – miał powiedzieć papież. W czasie tej, dłuższej, rozmowy padło także pytanie o McCarricka. I właśnie wtedy arcybiskup Vigano miał poinformować o sankcjach nałożonych przez Benedykta XVI, a także o skandalach związanych z kardynałem i o tym, że krzywdził on całe pokolenia księży i kleryków. „Papież nie skomentował w najmniejszym stopniu tych bardzo poważnych informacji i nie wyglądał na zaskoczonego, jakby znał sprawę, i od razu zmienił temat" – opisuje tamto spotkanie arcybiskup Vigano. Kilkanaście dni później sekretarz nuncjusza miał usłyszeć identyczne z papieskimi opinie od... kardynała McCarricka. „Byłem zdumiony! Było zatem jasne, że słowa wyrzutów, które papież Franciszek skierował do mnie 21 czerwca 2013 r., zostały włożone w jego usta przez kardynała McCarricka" – przekonywał ówczesny nuncjusz. Jego zdaniem także uwagi na temat „arcybiskupa Filadelfii" są odblaskiem sporu, jaki McCarrick i jego sprzymierzeńcy (tu padają nazwiska kardynałów Mahony'ego, Levady i Wuerla) toczyli z arcybiskupem Filadelfii na temat udzielania komunii świętej proaborcyjnym politykom. Od niego miały także pochodzić negatywne oceny ostatnich ówczesnych nominacji biskupich Benedykta XVI, który na kolejne stolice biskupie mianował biskupów ortodoksyjnych (co w języku postępowców oznaczało „prawicowych).

▶ Przemilczane zarzuty

Waga zarzutów arcybiskupa Vigano naprawdę poraża. I nawet jeśli on sam nie jest postacią krystalicznie czystą, nawet jeśli ma jakieś osobiste złe intencje, to kluczowym pozostaje pytanie, czy jego zarzuty są prawdziwe. Na to jednak ani sam papież, ani jego współpracownicy nie zamierzają odpowiadać. Co więcej, zaufani Franciszka zarzucają Vigano „megalomanię", wrogość do Ojca Świętego, a nawet własne grzeszki z przeszłości. Oczywiście każdy z tych zarzutów można zbadać (na wiele z nich, dotyczących faktów, a nie opinii, arcybiskup już odpowiedział), ale w niczym nie zmienia to faktu, że trzeba odpowiedzieć także na zarzuty sformułowane przez byłego nuncjusza, a także przez coraz liczniejszych hierarchów amerykańskich czy nawet holenderskich, którzy otwarcie mówią już o kryzysie homoseksualnym i homolobby, które przez lata chroniło McCarricka (czy w Polsce arcybiskupa Juliusza Paetza) w Kościele.

Najbliżsi współpracownicy papieża nie zamierzają jednak zrobić nic, by sytuację wyczyścić, a zamiast tego atakują tych, którzy chcą coś zmieniać. Szczególnie widoczne jest to w przypadku kard. Andrésa Rodrigueza Maradiagi. – Odnoszę wrażenie, że wspominanie o gejowskim lobby w Watykanie jest nieproporcjonalne. Jest to coś, co istnieje bardziej w tekstach gazetowych niż w rzeczywistości. Dla mnie jest oczywiste, że celem wszystkich tych zatrutych sugestii i informacji jest zaatakowanie Ojca Świętego. Ale jeśli brakuje wiary, to aktorzy tego medialnego cyrku nie wyrzekną się swoich oszczerstw – oznajmił kardynał Maradiaga. I tak ci, którzy chcą oczyszczenia Kościoła, powrotu do czystości nauczania Pisma Świętego, Tradycji i Magisterium, zostali oskarżeni o brak wiary i niewierność papiestwu. Żal, że takie wypowiedzi padają z ust tak ważnego hierarchy, ale nie jest to wypowiedź odosobniona.

Strategia taka nie prowadzi jednak do niczego dobrego, a jedynie sprawia, że problem się rozlewa i zaczyna przesłaniać inne. Przykładem jest synod ds. młodzieży, który w październiku będzie odbywał się w Watykanie. Już teraz część biskupów – w tym tak poważni, jak arcybiskup Charles Chaput – przestrzegają, że to bardzo zły czas na zajmowanie się młodzieżą i że lepiej podjąć temat rozwiązania problemów z przeżywaniem celibatu czy z autorytetem biskupów. Inny holenderski biskup wprost stwierdził, że on na synod nie przyjedzie, bowiem nie ma on w obecnej sytuacji sensu. Co na to papież? Nic. Milczy, ewentualnie w codziennych homiliach nie wprost gromi tych, którzy chcą oczyszczenia i prawdy. Wiele wskazuje więc na to, że „Der Spiegiel" może mieć rację. Ten pontyfikat rzeczywiście dzieli Kościół, ale – o paradoksie – nie na tych, którzy chcą oczyszczenia i reformy i ich przeciwników, a na tych, którzy chcą oczyszczenia i reformy, i na tych, którzy o tym pięknie mówią, a pod pozorem reformy przeprowadzają reformację. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Małgorzata Matuszak

GDY GAŚNIE W NAS PŁOMIEŃ

Zaczyna się niewinnie, a kończy niekiedy tragicznie. Wypalenie zawodowe – choroba cywilizacyjna naszych czasów – dotyka coraz większej liczby osób. Co zrobić, by praca dawała nam radość i spełnienie, a nie wysysała z nas energię życiową, alienowała nas ze świata i z samych siebie?

ebrasa.pl 1dc7c8e16

O syndromie wypalenia zawodowego, w języku angielskim określanym jako „burnout", zaczęto mówić stosunkowo niedawno. Terminu tego po raz pierwszy użył w 1974 roku amerykański psychoanalityk Herbert Freudenberger. Jako jednostka chorobowa „burnout" zostało w Polsce wpisane na listę w latach 90., a w XXI wieku coraz powszechniej nazywa się je chorobą cywilizacyjną naszych czasów. Dotyka coraz większej liczby ludzi, stając się poważnym problemem pod wieloma względami. Konsekwencje wypalenia zawodowego nie ograniczają się tylko do samej pracy, lecz rozciągają się na wszystkie obszary życia dotkniętego nim człowieka. Niszczy ono nie tylko życie „chorego", lecz także jego rodziny i otoczenia. Ma również wymiar globalny – skutki wypalenia zawodowego wiążą się z dużymi stratami ekonomicznymi, w USA na przykład szacowanymi przez „The American Institute of Stress" nawet na kilkaset miliardów dolarów rocznie.

„Burnout", czyli co?

Według Christiny Maslach, profesor psychologii na Uniwersytecie w Stanford, prekursorki badań nad tym zjawiskiem, syndrom wypalenia to „psychologiczny zespół wyczerpania emocjonalnego, depersonalizacji oraz obniżonego poczucia dokonań osobistych, który może wystąpić u osób pracujących z innymi ludźmi w pewien określony sposób". Definicja ta jest wielowymiarowa. Pierwszym znaczeniem, najbardziej charakterystycznym, jest wyczerpanie emocjonalne obejmujące wiele różnych objawów, takich jak na przykład zmęczenie, utrata energii życiowej, osłabienie, znużenie. Drugie – depersonalizacja, odnosi się do relacji międzyludzkich, przejawia się zaś m.in. negatywną i niewłaściwą postawą wobec ludzi, utratą ideałów, drażliwością, unikaniem kontaktów, konfliktowością, deprecjonowaniem innych, trudnościami w komunikacji. Trzeci wymiar, dotyczący stosunku do samego siebie, przejawia się zaniżonym poczuciem własnej wartości, zmniejszoną produktywnością, wycofywaniem się i niezdolnością do radzenia sobie z nowymi sytuacjami, poczuciem braku kompetencji i zanikiem inwencji twórczej.

Zaczyna się niewinnie, a kończy niekiedy tragicznie. W stadium pierwszym, tak zwanym ostrzegawczym, czujemy irytację i chęć odseparowania się na jakiś czas od pracy. Jesteśmy zmęczeni, wyczerpani emocjonalnie i myślimy tylko o wypoczynku. Pojawiają się objawy somatyczne, takie jak bezsenność, przeziębienie czy ból brzucha. To moment, w którym powinniśmy się zatrzymać i zająć się sobą. Coś zmienić. Może pobyć więcej z rodziną, spotkać się ze znajomymi, zająć się jakimś hobby, na pewno zregenerować siły. Jeśli tego nie zrobimy, objawy będą narastać. Często jednak tłumaczymy sobie, że nie możemy sobie pozwolić teraz na odpoczynek, że musimy pracować. Ponosimy zatem tego konsekwencje – wchodzimy w drugi etap. Zaczynają spadać wyniki naszej pracy. Dostrzegamy to zarówno my sami, jak i ludzie dookoła. Wzbudza to naszą coraz większą irytację, coraz częściej reagujemy gniewem, wdajemy się w konflikty z innymi, psują się nasze relacje z drugim człowiekiem. Stajemy się „tykającą bombą". Jeśli nie zadbamy o siebie – wybuchniemy. Teraz nie wystarczą już środki zaradcze skuteczne jeszcze na pierwszym etapie choroby. Potrzebne są zmiany bardziej radykalne, zmniejszenie godzin pracy, nawet etatu. W każdym razie nie możemy bagatelizować problemu. Etap trzeci bowiem, nazywany chronicznością syndromu, niesie z sobą pełen zestaw objawów, psychicznych i fizycznych. Mamy poczucie, że zostaliśmy sami, że nikt nas nie rozumie, boimy się porozmawiać z kimś o naszym stanie z obawy, że nas wyśmieje. Mamy poczucie, że – mówiąc kolokwialnie – „sypiemy się", nie za bardzo rozumiejąc, co się z nami dzieje. „Sypie się" też wszystko wokół nas – nasze relacje rodzinne, przyjacielskie, relacje w pracy. „Burnout" zaczyna rozchodzić się na inne obszary naszego życia. Już tylko krok do głębokiej depresji i utraty sensu życia.

Łatwopalni

Aby można się było wypalić, najpierw trzeba się zapalić. Dlatego „burnout" staje się często zagrożeniem dla osób, które na początku pracy miały silną motywację i zapał do wykonywania obowiązków, którymi kierowały wzniosłe cele. Spodziewając się po swej pracy wiele, szukając głębszego znaczenia, kierując się wzniosłymi ideami i wartościami, łatwo popaść w zniechęcenie, kiedy rozczarowujemy się tym, jak w rzeczywistości nasza praca wygląda. Gdy nie realizujemy swoich celów, gdy zaczynamy odczuwać brak sensu tego, co robimy, łatwo stracić motywację i popaść w stagnację. Syndrom wypalenia zagraża więc przede wszystkim pracownikom ambitnym, którzy mają poczucie misji, i tym pragnącym piąć się po szczeblach kariery. Jeśli dużo pracują, dużo inwestują w bycie coraz lepszym w swej dziedzinie, zaniedbując często swoje potrzeby, a po jakimś czasie okaże się zaś, że ich wysiłki nie przyniosły oczekiwanych efektów, a umiejętności nie są w pełni wykorzystywane, nie jest niczym dziwnym, że popadają w zniechęcenie. Podobnie wtedy, gdy za swoją pracę, w swoim odczuciu wykonywaną sumiennie i rzetelnie, nie otrzymują odpowiednio wysokiego wynagrodzenia.

W sposób szczególny zjawisko wypalenia dotyczy tych zawodów, które wymagają silnego zaangażowa-

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 1fdc7c8e16

nia emocjonalnego w sprawy innych ludzi i intensywnych z nimi kontaktów. Osoby, które taki zawód wykonują, muszą sobie wszak radzić nie tylko ze swoimi emocjami, wątpliwościami i wyzwaniami, lecz także z potrzebami i wymaganiami innych. Na liście profesji bardziej zagrożonych tym syndromem znajduje się ponad 30 profesji – m.in. nauczyciele, psycholodzy, pielęgniarki, pracownicy socjalni, duchowni, lekarze, policjanci, osoby piastujące stanowiska kierownicze, handlowcy, wreszcie gospodynie domowe. Często mówi się również o syndromie wypalenia u sportowców – fizycznym, psychicznym i emocjonalnym – który objawia się pogorszeniem wyników sportowych, niemożnością czerpania radości z uprawiania danej dyscypliny i rywalizacji, tak przecież ważnej w sporcie.

Tak naprawdę jednak syndrom wypalenia zawodowego może dotknąć każdego. Jeśli bowiem za główną jego przyczynę uznajemy nadmierne wykorzystanie sił, gdy na przykład pracujemy pod ciągłą presją – innych ludzi, czasu, gdy zakres naszych obowiązków przekracza nasze możliwości, nie potrafimy sprostać ogromowi pracy do wykonania, gdy tracimy kontrolę nad tym, co się dzieje, gdy czujemy, że nie dorastamy merytorycznie do wyznaczonego zadania – poczucie odpowiedzialności i brak możliwości wytchnienia przygniata nas tak bardzo, że czujemy się zupełnie wyczerpani. Wypaleni. Życie w ciągłym napięciu zaczyna odbijać się na wszystkim, nie tylko na pracy.

Warto także dodać, że syndromu „burnout" nie można wiązać jedynie ze sferą zawodową. Dotyczyć on może również tej prywatnej. Duże zaangażowanie emocjonalne w sytuacji, kiedy na przykład opiekujemy się niepełnosprawnym bądź chronicznie chorym dzieckiem czy innym członkiem rodziny, doprowadzić nas może do takiego stanu, iż poczujemy się zupełnie wyczerpani. Z jednej strony ogrom obowiązków i brak czasu dla siebie, z drugiej wyczerpanie sił fizycznych i psychicznych ogranicza w znaczny sposób naszą wytrzymałość na różnego rodzaju obciążenia i stres.

▶ Znak naszych czasów

Na syndrom wypalenia narażone są również osoby, które dużo od siebie wymagają. Niestety, dziś żąda się od nas perfekcjonizmu w każdym obszarze życia. Musimy być idealnie zorganizowani, odnosić sukcesy w pracy, atrakcyjnie wyglądać, dbać zatem o swój wygląd zewnętrzny, dobrze się ubierać, a przy tym jeszcze być doskonałymi partnerami i rodzicami, godzić obowiązki w pracy i domowe, radzić sobie ze wszystkimi i wszystkim – taki wzorzec kształtowany jest przez wszystkie media, na co dzień. Jeśli ktoś nie potrafi temu sprostać, biada mu. Nawet w swoich wyobrażeniach kreujemy taki obraz siebie. Rzucamy się zatem w wir pracy, pracujemy po godzinach, w weekendy. Nie dosypiamy, bo na sen szkoda czasu. Zresztą nie ma na niego czasu, bo przecież w domu też czekają na nas obowiązki, którym trzeba sprostać. Zaniedbujemy rodzinę. Popadamy w coraz większą frustrację, gdyż nie potrafimy być idealni we wszystkich sferach swego życia. Jeśli jednak psychiczna presja i dążenie do perfekcjonizmu stawia nam poprzeczkę tak wysoko, iż nie potrafimy jej przeskoczyć, na wszystko to, co zdołaliśmy dotychczas zbudować, zaczyna czyhać wielkie niebezpieczeństwo. Przede wszystkim na nas samych. Chcąc radzić sobie ze wszystkim, nie potrafimy poradzić sobie z niczym.

Chociaż przez te lata nasza wiedza o zjawisku wypalenia zawodowego jest coraz większa i zmieniło się jego postrzeganie, wciąż jednak spotyka się z dużym niezrozumieniem. Może nie jest już tematem aż tak bardzo wstydliwym, jak jeszcze niedawno, niełatwo przychodzi nam uświadomienie sobie, że może dotyczyć także nas. Bo też społeczeństwo nie do końca daje przyzwolenie na możliwość wycofania się. Także rzadko kiedy przyznajemy się przed sobą i najbliższym otoczeniem, że nie dajemy sobie z czymś rady. Przecież to takie nieprofesjonalne, świadczące dodatkowo o naszej słabości, nieumiejętności radzenia sobie z trudnościami... Posiadamy nie tylko wewnętrzną potrzebę sukcesu, lecz także chęć pokazania innym, że go osiągnęliśmy. Podejmujemy się zadań, o których wiemy, że mogą nas przerosnąć, albo takich, które pochłoną tę niewielką ilość czasu, jaką moglibyśmy wykorzystać na odpoczynek. Boimy się, by nikt nie pomyślał, że jesteśmy leniwi, że nam się nie chce. Bądź też zostajemy do ich podjęcia przymuszeni. Nie potrafimy być asertywni. Nie umiemy znaleźć balansu między różnymi sferami naszego życia.

Zdaniem prof. Maslach wypalenie zawodowe nie pojawi się, jeśli zaspokojone będzie sześć strategicznych obszarów związanych z pracą, czyli: obciążenie pracą, poczucie kontroli nad swoimi zajęciami, satysfakcja z pracy i z nagród, atmosfera w zespole, poczucie sprawiedliwości i system wartości. Trzeba pamiętać o tym, że choć w każdym zawodzie można się wypalić, to nie każdy pracownik jest na to w równym stopniu narażony. Wiele zależy tutaj od czynników środowiskowych i zewnętrznych, charakteru wykonywanej pracy i tego, jak jest się traktowanym przez pracodawcę. Wiele jednak zależy od tych osobistych. Bardzo ważna w tym względzie jest dyscyplina wewnętrzna. Trzeba umieć spojrzeć na siebie i swoje życie jako całość i o całość tę potrafić zadbać. Zatroszczyć się więc o równowagę między wszystkimi sferami swojego życia, o harmonię ciała, umysłu i ducha. I pamiętać o tym, by żyć zgodnie ze swoimi wartościami. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Małgorzata Matuszak

Czym jest... obowiązek

Obowiązek, w potocznym znaczeniu, pojmowany jest zazwyczaj jako zadanie związane ze specyficzną funkcją człowieka w społeczeństwie. Mówimy więc na przykład o powinnościach rodzicielskich, obowiązkach dzieci względem rodziców czy też tych, które wypływają z poszczególnych kodeksów i zwyczajów przyjętych w różnych profesjach, takich jak zawód lekarza, prawnika czy dziennikarza. W etyce pojęcie obowiązku rozumiane jest jako szczególnego rodzaju nakaz wypływający z określonych norm moralnych i determinujący sposób postępowania w danej sytuacji.

Obowiązki możemy sklasyfikować wielorako. Ze względu na rodzaj zobowiązania wyróżnia się te bezwarunkowe, wyznaczone jednoznacznie przez normy wiążące każdego człowieka w taki sam sposób, bez względu na okoliczności (na przykład zakaz zabijania), i te warunkowe, czyli takie, które również jednoznacznie wskazywane są normami, zakładają jednak wybór celu postępowania (na przykład: jeśli chcesz doskonalić się w jakiejś dyspozycji, rób to i to). Z uwagi na ukierunkowanie wyróżniamy obowiązki wobec siebie, wobec innych i wobec Boga. Określając towarzyszący im rodzaj sankcji, rozróżniamy obowiązki: sumienia, prawno-sumieniowe i czysto prawne. Pierwsze działają tylko w odniesieniu do własnego sumienia, obowiązującego i zobowiązującego niezależnie od instancji zewnętrznej; drugie wyznaczone są normami prawnymi ogólnie uznawanymi za słuszne, dlatego też połączone są z nimi pewne sankcje prawne, mające na celu wymuszenie ich wypełnienia; trzecie, najbardziej rzec by można zewnętrzne, spełniane są tylko z obawy przed sankcjami, które wiążą się z ich niedopełnieniem.

Na pojęciu obowiązku opiera się deontologia (od „deon", w języku greckim oznaczającego „to, co niezbędne, właściwe"; „obowiązek", „powinność") – kierunek w etyce, w którym nakaz miarodajnego autorytetu konstytuuje moralną powinność człowieka, zobowiązując go tym samym do jej zrealizowania. Ów autorytet pojmowany być może heteronomicznie bądź autonomicznie. Deontologizm heteronomiczny odwołuje się do kogoś lub czegoś istniejącego poza człowiekiem – Boga czy też instancji nakazodawczej w postaci państwa bądź społeczeństwa; deontologizm autonomiczny zaś – do samego człowieka, kierującego się nakazami własnego rozumu i sumienia. Deontologista autonomiczny wierzy przede wszystkim w prawotwórczą moc ludzkiego rozumu, który władny jest determinować wybór postępowania człowieka w taki sposób, by było ono moralnie słuszne.

Etyka deontologiczna często utożsamiana jest z etyką Immanuela Kanta i pokrewnymi jej teoriami etycznymi. To kantyzm właśnie uznawany jest za podstawową i najważniejszą formę deontologii, sam Kant zaś za ojca tego nurtu filozofii moralnej. Dokonał on swoistego „przewrotu kopernikańskiego" w etyce. Często cytowane są jego słowa z „Krytyki praktycznego rozumu": „Dwie rzeczy napełniają moje serce wciąż nowym i wciąż rosnącym podziwem i szacunkiem, im częściej i trwalej zastanawiam się nad nimi: niebo gwiaździste nade mną i prawo moralne we mnie". Według Kanta dobre może być tylko takie postępowanie, które jest nie tylko zgodne z obowiązkiem, lecz także jest postępowaniem z obowiązku, czyli dokonuje się ze względu na dobro. Innymi słowy, nasze działanie tylko wtedy jest moralne, gdy dokonywane jest z obowiązku, nie zaś ze skłonności, albo – w nieco złagodzonej postaci – gdy skłonność nie wywiera wpływu na naszą motywację. Filozof z Królewca jest autorem słynnego imperatywu kategorycznego, który nakazuje człowiekowi postępować zgodnie z taką tylko zasadą, co do której mógłby on chcieć, aby stała się prawem powszechnym.

Deontologia jest etyką bardzo rygorystyczną, przez co dla wielu odpychającą. Jej przeciwnicy zarzucają jej przede wszystkim to, że dążąc do zagwarantowania człowiekowi autonomii, paradoksalnie go jej pozbawia, nie dając adekwatnego określenia dobra moralnego i powinności moralnej. ■

NA POJĘCIU OBOWIĄZKU OPIERA SIĘ DEONTOLOGIA – KIERUNEK W ETYCE, W KTÓRYM NAKAZ MIARODAJNEGO AUTORYTETU KONSTYTUUJE MORALNĄ POWINNOŚĆ CZŁOWIEKA, ZOBOWIĄZUJĄC GO TYM SAMYM DO JEJ ZREALIZOWANIA.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Piotr Lisiewicz

Wypluć gips wepchnięty w gardło

eprasa.pl 1fdc7c8e15

O zniewoleniu kultury polskiej w komunizmie pisał: „knebluje usta pisarzy, podobnie jak hitlerowcy zapychali usta skazańców gipsem przed publiczną egzekucją na ulicach polskich miast, by nie mogli wznieść w ostatniej chwili okrzyku: »Niech żyje Polska«”. Leopold Kielanowski – lwowiak, reżyser, aktor, pisarz, doktor filozofii – był człowiekiem instytucją niepodległościowej emigracji. Przetrwaniu prawdziwej kultury polskiej, nieskażonej sowieckim wpływem, poświęcił na wygnaniu większość swojego życia.

„Ja przed wojną jeździłem na pańskie przedstawienia w Katowicach” – tak przywitał Leopolda Kielanowskiego młodszy od niego o 13 lat aktor Teatru Rapsodycznego. Nazywał się on Karol Wojtyła i był już wtedy papieżem Janem Pawłem II. Kielanowski dzieje Teatru Rapsodycznego, który przetrwał niemiecką okupację, a zniszczony został przez komunistów, opisał na wygnaniu, ale o tym za chwilę.

Po wojnie aktorzy nie złożyli broni

Teatrem Polskim ZASP w Londynie kierował przez 26 lat, a o jego misji pisał tak: „Aktorzy nasi nie złożyli po wojnie swej broni. W najcięższych chwilach marazmu powojennego i dezorientacji oddziaływali swoją sztuką i żywym polskim słowem na setki tysięcy widzów, zagubionych w obcym środowisku. Nigdy jeszcze w dziejach teatru światowego nie pojawił się ten zadziwiający fakt, żeby zawodowy teatr mógł istnieć poza kręgiem swego narodu przez tak długie lata i przy tym nie spaść do rzędu amatorskich poczynań. Przeciwnie. Doskonalił w sztuce aktorskiej nowych adeptów, często urodzonych już na obczyźnie”.

Leopold Pobóg-Kielanowski – tak brzmiało jego pełne nazwisko – przez dziesięciolecia współpracował z genialnym satyrykiem Marianem Hemarem. Że nie zawsze była to łatwa współpraca, wskazuje notka z „Kroniki towarzyskiej” Karola Zbyszewskiego, który odnotował nieporozumienie między Kielanowskim a Hemarem „z wzajemnym szarpaniem się za krawaty”. Kielanowski wspominał, że „Hemar był jedną z najbardziej kolorowych postaci na emigracji. Pisał zawsze w temperaturze wrzenia”. Sam Hemar w wierszu „Na krasomówstwo” tak kpił z oddających się krasomówczej pasji rodaków:

Na pogrzebie, na ślubie,
Na komitecie, w klubie,
Na bankiecie, na radzie,
Za stołem, na estradzie,
Na herbatce, na lampce wina,
Wstaje. Chrząka. Zaczyna...
I w ramach swego wywodu
Sugeruje, że młodzież
Jest przyszłością narodu.
Łza mu na oku zawisa,
Mówi, że Wóz Tespisa,
Że Pobóg Kielanowski
I że Odra i Nysa.

„Wóz Tespisa” był nawiązaniem do greckiego poety i aktora Tespisa z Ikarii, który wystawiał swoje dramaty na objazdowym wozie. Tak jak Polscy wy-

fot. NAC

eprasa.pl 1ddc7c8e16

gnańcy, którym nie dane było już występować w warszawskich teatrach... Zaś fragment „Że Pobóg Kielanowski/ I że Odra i Nysa" był zabawną grą słów – Polska pozbawiona Wilna i Lwowa sięgała właśnie „po Bug".

Armaty w wiązance róż

Wydaje się, że tekstem Kielanowskiego, który najmocniej pokazuje jego rozumienie komunizmu, jest szkic „Kazimierz Wierzyński – bez cenzury", opublikowany w londyńskich „Wiadomościach" w 1980 r. Kielanowski, konstatując, że tomik poezji Wierzyńskiego 11 lat po jego śmierci wydany został w podziemiu w Polsce, stwierdzał: „Gdybyśmy nie znali autora »Czarnego poloneza«, szukalibyśmy go na pewno wśród pisarzy tworzących w kraju. Tematem tego zbioru jest gorący protest przeciw zniewoleniu kultury narodowej, przeciw cenzurze, która knebluje usta pisarzy, podobnie jak hitlerowcy zapychali usta skazańców gipsem przed publiczną egzekucją na ulicach polskich miast, by nie mogli wznieść w ostatniej chwili okrzyku: »Niech żyje Polska«".

Pisał, iż Wierzyński „Gorzał gniewem i buntem przeciw temu, co się w jego kraju działo i musiał z siebie tę rozpacz i gniew wykrzyczeć. Antena jego myśli i uczuć była nieoderwanie – przez 30 lat tułaczki »kufrem na plecach« przez obce ziemie – nastawiona na kraj. Fizyczna rozłąka nigdy nie zamieniła się w nim w beznadzieję sentymentalnej tęsknoty". Stwierdzał, iż tytuł tomiku jest prawdziwy, bo „czarna to poezja, pełna pasji, gniewu i goryczy, wykrzyczana z dna zbolałego serca. To są wiersze – krzyki – jakby tama, utrzymująca wodę w górskich zbiornikach nagle pękła pod jej naporem i woda lunęła z gór w morze, niosąc ze sobą głazy, drzewa, części rozwalonych domostw".

Krzyczał dalej o paradoksie polegającym na tym, że to śmierć Wierzyńskiego pozwoliła, by ktokolwiek w kraju mógł go przeczytać: „W PRL był wykreślony z listy pisarzy jako »polityczny« nieugięty emigrant. Śmierć przyniosła mu ułaskawienie. Jest paradoks naszych czasów, że śmierć pisarza przywraca jego twórczość do życia". Ale tylko w bardzo ograniczonym stopniu, bo „cenzura zawsze przesiewała troskliwie wiersze z tomików poety, aby nie przepuścić »armat w wiązance róż«, jak nazwał kiedyś moskiewski policmajster muzykę Chopina". Współcześnie więc „Ołówek cenzora wykreślił wszystko, co mówiło o zdradzie, która spotkała polskiego żołnierza".

Kielanowski nie miał wątpliwości, że Wierzyński świetnie wiedział, o czym pisze. Że rozumiał, jak polską kulturę i „polskie" elity deformuje sowiecki komunizm: „Jakże mógłby poeta nie przebywający w kraju wszystkimi swymi myślami, nie wysyłający do niego swoich »czujek« napisać tak bolesny, gorzki wiersz jak »Moralitet o czystej grze«". Przypomnijmy, że w wierszu tym Wierzyński tak opisywał strategię komunizmu wobec ludzi pióra:

Dawniej nocne pukanie do drzwi,
Teraz czekamy w południe, najlepiej prywatnie,
Dawniej godzinami twarzą do ściany,
Teraz prosimy siadać, pomówmy poufnie,
Dawniej piwnica, karetka i przepadł,
Teraz niech pan się zastanowi, bo jakże inaczej,
Czasy unormowane, nie jest tak źle,
Mieszkanie z puli premiera,
Paszport konsularny na lata,
Stypendia, kongresy,
Pan widzi, wszystko się zmienia,
Żadna deprawacja, denuncjacja,
Żaden Orwell, to informacja,
Nasze prywatne okno na świat,
Kto i z kim, tak czy nie.

Niech pan się zastanowi,
Ustawi się moralnie,
Nam chodzi o szczerość,
O czystą, jasną grę.

Zakopane i tatrzańskie głusze

Leopold Pobóg-Kielanowski urodził się 18 lutego 1907 roku we Lwowie. Był synem lekarza Bolesława Kielanowskiego i Marii z Lityńskich. Uczył się w VIII Państwowym Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego, gdzie duży wpływ na niego wywarł jego wychowawca Kazimierz Brończyk, nauczyciel języków polskiego i francuskiego. W przedstawieniach szkolnego teatru, wymyślanych przez Brończyka, zagrał Chłopickiego w „Warszawiance", Rewizorczuka, Kordiana oraz Księcia niezłomnego. To Brończyk zainteresował go teatrem i literaturą oraz namówił, by poszedł na studia polonistyczne. Kielanowski wspominał Brończyka po latach: „Człowiek niezmiernej pracowitości, łączył prawdę wypowiedzi pisarskiej z pełną szlachetności i odwagi postawą życiową. Nigdy nie dążył do sławy literackiej, okupionej sprzedażą swoich przekonań. Był nieustępliwy w ich głoszeniu. Wpajał to swoje piękne podejście do życia i ludzi w nas, jego wychowanków".

We wspomnieniach z dzieciństwa pojawiały się też „wędrówki dalekie przez bezdroża tatrzańskie i głusze". Na wygnaniu o Tatrach Kielanowski mówił wiele w Wolnej Europie, która anonsowała jego program następująco: „Gawędy o Tatrach i Zakopanem. Gawędziarzom przewodniczy Leopold Kielanowski".

eprasa.pl 1fdc7c8e16

I „przewodniczący" opowiadał słuchaczom przebywając „za górami i morzami – w Londynie" o artystach związanych z Zakopanem.

Gitara i tamci

Po zdaniu matury w latach 1925–1929 Leopold studiował polonistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Ale jednocześnie udzielał się jako recytator – na zaproszenie kuratorium szkolnego dawał programy poetyckie w gimnazjach we Lwowie, Dubnie, Łucku oraz Równem. I uczył się aktorstwa. W czerwcu 1927 roku zdał egzamin przed komisją Związku Artystów Scen Polskich.

W szkicu o świetnej poetce Beacie Obertyńskiej („Wiadomości", nr 33/1978), wspominał: „Utkwił mi w pamięci wieczór poświęcony »Bibliotece Medyckiej«, zorganizowany przez jej założyciela, Michała Pawlikowskiego w Kasynie i Kole Literackim we Lwowie, przy ulicy Akademickiej. Irena Solska czytała wiersze Maryli Wolskiej, Beata Obertyńska fragmenty zbioru nowel: »Gitara i tamci«, a mnie przypadła recytacja wierszy Michała Pawlikowskiego". 3 września 1927 roku debiutował na scenie Teatru Wielkiego we Lwowie w „Księciu niezłomnym" rolą Don Henryka, u boku samego Juliusza Osterwy. Używał wówczas pseudonimu scenicznego Pobóg. Od 1929 roku pracował w Teatrze Wielkim.

22 czerwca 1932 roku uzyskał stopień naukowy doktora filozofii. Jego praca zatytułowana była „Wizja malarska w utworach dramatycznych Stanisława Wyspiańskiego, a jej promotorem był sam Juliusz Kleiner, wybitny historyk literatury polskiej. Jak pisała Elżbieta Nawrot na łamach „Pamiętnika Literackiego": „w dramatach romantyków i Wyspiańskiego pasjonowały go przemiany bohatera i jego urastanie wewnętrzne, które umiał przekonująco i sugestywnie pokazać za pomocą środków scenicznych właściwych teatrowi poetycko-wizyjnemu".

W roku akademickim 1931/1932 Kielanowski objął lektorat „Wymowy i fonetyki" Uniwersytetu Jana Kazimierza, w którego ramach prowadził też Koło Artystyczne. W latach 1931–1933 był sekretarzem literackim w Teatrach Miejskich we Lwowie i redaktorem Sceny Lwowskiej. Współpracował też z Polskim Radiem Lwów, dla którego wspólnie z Marią Grzędzielską napisał słuchowiska „Jako drzewiej miłowano" i „Majówka filomatów".

Jaki wpływ wywarł Lwów na Kielanowskim? Być może odpowiedzią jest to, co pisał o Marianie Hemarze, dla którego Lwów był „na zawsze tą najbliższą ojczyzną, urastał w jego odczuciu do mitu, do symbolu młodości, piękna i bohaterstwa".

Prawa języka mówionego

21 czerwca 1933 roku w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie Kielanowski zdał eksternistyczny egzamin reżyserski przed komisją pod kierownictwem Leona Schillera. Przedmiotem opracowania reżyserskiego było „Wyzwolenie" Wyspiańskiego. Udało mu się uzyskać stypendium Narodowego Funduszu Kultury. W jego ramach od 27 października 1933 do 14 czerwca 1934 roku przebywał za granicą – pięć miesięcy we Francji, prawie dwa miesiące we Włoszech, wreszcie w Austrii. W Paryżu napisał rozprawę „Prawa języka mówionego". Był też asystentem Gastona Baty, wybitnego reżysera i teoretyka teatru.

Swoje życie związał z teatrem, który wówczas, w erze przedtelewizyjnej, znaczył o wiele więcej niż dziś. Był aktorem, reżyserem teatralnym, pisał scenariusze teatralne i radiowe, redagował pisma teatralne, a także uczył wymowy. W sezonie 1934/35 występował w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu. Wyreżyserował tam siedem sztuk. Poznał wówczas też Walentynę Aleksandrowicz, która – jak pisała cytowana Elżbieta Nawrot w „Pamiętniku Teatralnym" – już jako towarzyszka jego życia została aktorką i pisarką.

Opisywała, że Kielanowski „był wysokim, szczupłym szatynem o nieco pociągłej twarzy, regularnych rysach i piwnych oczach. Natura wyposażyła go – wedle świadectwa współczesnych – w »wiele miękkości i łagodności w ruchach i brzmieniu głosu«. Posiadał dużą kulturę słowa i umiejętność mówienia wiersza. Nie potrafił »głosu swego przepoić tłumaczącym się jasno żarem uczuciowym«, ale umiał wydobyć wdzięk młodości i szlachetności postaci". Dlatego „grywał amantów, młodych arystokratów w sztukach konwersacyjnych i salonowych (np. Algernona Moncrieff w Bracie marnotrawnym Wilde'a, Armanda Duval w »Damie kameliowej«), postacie wrażliwe i szlachetne (np. Don Fernanda w »Księciu niezłomnym«, Kopernika w sztuce »Morstina«)".

W szkicu o poecie Bronisławie Przyłuskim Kielanowski tak wspominał ten czas: „Wyjmuję z półki jego tomiki i czytam ich tytuły: »Badyle« – pierwszy zbiór jego wierszy, wydany w 1930 r. w Poznaniu staraniem grupy poetyckiej »Prom«; następny: »Dalekie łąki z roku« 1934. Ten tom otrzymałem od autora w Toruniu, gdy młody porucznik wykładał w tamtejszej Szkole Strzelania Artylerii. Zostały mi w pamięci nasze długie, niekończące się dyskusje o poezji i sztuce, gdy chodziło się ulicami tego chyba najbardziej zielonego polskiego miasta lub wiodło się dysputy w ciasnych

eprasa.pl 1fdc7c8e16

kawiarenkach Starego Rynku z widokiem na pomnik Kopernika".

Suchary kontra Kielanowski

W latach 1935–1938 reżyserował w Teatrze Polskim w Katowicach, gdzie jego sztuki oglądał młody Karol Wojtyła. W 1936 roku wystawił tam „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego, a w 1938 roku „Księcia niezłomnego" Juliusza Słowackiego według Calderóna de la Barca. Współpracował też z radiem katowickim jako autor i reżyser audycji literackich.

Florian Śmieja, wówczas uczeń gimnazjum z Tarnowskich Gór, żartował, że motywacje tych, co jak Wojtyła jeździli do Katowic dla Kielanowskiego, bywały różne: „Ja także jeździłem na te przedstawienia, choć moja motywacja była inna". Wspominał swoje „burszowskie zachowanie w 1938 roku, kiedy wraz z grupą uczniów głośno, dla kawału, gryzłem suchary, by zakłócić patetyczne sceny dramatu". Ale mimo to coś udało mu się usłyszeć: „Wysłuchałem tyrad wygłoszonych pięknym językiem przez portugalskiego infanta, jak się miało okazać, Leopolda Pobóg-Kielanowskiego, młodego aktora i reżysera hołdującego idei teatru monumentalnego".

Potem Kielanowski przeniósł się do Wilna, gdzie od 1 września 1938 roku był dyrektorem Teatru na Pohulance w Wilnie. W Wilnie wyreżyserował 15 przedstawień. Udało mu się utrzymać stanowisko także po wkroczeniu litewskich, a następnie sowieckich wojsk.

„Grzaliśmy wyziębione wojną serca"

Po ataku Niemiec na Związek Sowiecki przedostał się do Warszawy. Podczas okupacji niemieckiej związany był z kierowaną przez Jerzego Brauna katolicką organizacją polityczno-wojskową „Unia". Współpracował z pismem „Kultura Jutra", w którym pisali też Tadeusz Gajcy czy Konstanty Ildefons Gałczyński. Został żołnierzem Armii Krajowej. W czasie okupacji pracował m.in. w kawiarni i jako bibliotekarz w Instytucie Rolniczym w Puławach. W 1943 roku aresztowana została jego żona, która została zamordowana w KL Auschwitz.

Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, Niemcy aresztowali Kielanowskiego na terenie nieobjętym powstaniem i został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec. Przebywał tam do maja 1945 roku. Stamtąd przedostał się do Włoch i w Recanati dołączył do Teatru Drugiego Korpusu, prowadził tam Studio Teatralne i reżyserował. Agnieszka Mieszkowska w książce „Była sobie piosenka..." pisze: „Kierownictwo powierzono przybyłemu z Niemiec Leopoldowi Kielanowskiemu, który po przeżyciach okupacyjnych przeżywał silną depresję".

W sierpniu 1946 roku trafił do Wielkiej Brytanii, w październiku do Londynu, gdzie zamieszkał na stałe i na ponad 40 lat stać miał się instytucją niepodległościowej emigracji. Aktorka Kaya Mirecka-Ploss wspominała w książce Mieszkowskiej ówczesną atmosferę: „Każdy z nas tęsknił do utraconej rodzinności. Wszyscy grzaliśmy wyziębione wojną serca. Nikogo więc to nie dziwiło. Leopold Kielanowski, który dopiero co poznał tragiczne okoliczności śmierci swojej żony w Oświęcimiu [która zginęła trzy lata wcześniej – przyp. P.L.], szukał pocieszenia w bliskości z piękną dziewczyną". W 1951 roku ożenił się z Zofią Tarnopolską-Meeson.

„Praca w naszym emigracyjnym teatrze nie jest i nigdy nie była karierą. Raczej służbą, spełnieniem powołania" – pisał. Był jednym z organizatorów polskiego życia teatralnego. W latach 1948–1961 i 1965–1978 był dyrektorem Teatru Polskiego ZASP i jego reżyserem. Wystawił m.in. „Wesele" (1948) i „Wyzwolenie" (1957) Wyspiańskiego, „Tango" Mrożka (1965), „Świecę na wietrze Aleksandra Sołżenicyna" (1974), „Przed sklepem jubilera Karola Wojtyły" (prapremiera światowa 1979) i „Ambasadora" Sławomira Mrożka (1982).

Polacy słuchający wśród trzasków zagłuszarki Radia Wolna Europa znali jego głos. W latach 1952–1972 był redaktorem londyńskiego studia Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Przypominał na scenie i w radiu największe polskie arcydzieła i wielkie postacie. O sztuce Tamary Karren o Januszu Korczaku „Kim był ten człowiek?" pisał: „słowa te zaczerpnięte z Ewangelii Św. Jana wyznaczają od razu najwyższą rangę etyczną bohaterowi utworu. Nie oczekuje się na to pytanie odpowiedzi. Na dzieło życia i śmierci Janusza Korczaka nie mogła poezja i nie mógł teatr pozostać obojętny. Zwłaszcza żywy teatr, który chce być zwierciadłem świata i najgłębszych przeżyć współczesnego człowieka".

Karol Zbyszewski w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" z 16 kwietnia 1966 roku tak recenzował premierę sztuki Hemara „Pierwiastek z minus jeden": „Reżyserię sztuki powierzył Kielanowskiemu. Zapewne z korzyścią dla sztuki. Autorzy zazwyczaj reżyserują swe sztuki w sposób przemądrzały. Wiedzą, co chcieli powiedzieć, i do tego dopasowują reżyserię. W rezultacie widz nic nie rozumie. Reżyseria Kielanowskiego była wzorowa, bo dyskretna".

Kielanowski ostro przeciwstawiał się represjom komunistów wobec wszelkich skrawków wolnego słowa. Adam Tarn w 1956 roku założył pismo „Dialog", w którym publikowano teksty najważniejszych

eprasa.pl 1fdc7c8e16

polskich dramatopisarzy i przekłady nowości literatury światowej. Po marcu 1968 roku pozbawiony stanowiska redaktora naczelnego „Dialogu" wyemigrował.

Kielanowski pisał o nim i jego piśmie: „Był to wprawdzie – by użyć określenia norwidowskiego – »teatr w okładkach książki«, ale był on rozsadnikiem wolnej, bogatej myśli, która wpływała dobitnie na kształty i oblicze życia teatralnego w Polsce. I od tego swojego twórczego dzieła został w r. 1968 usunięty w imię szaleńczych dyrektyw, które wynikały chyba z jakichś obcych nakazów, poniżających naszą narodową godność".

We wstępie do „Wieczorów pod dębem" wielkiego emigracyjnego pisarza Zygmunta Nowakowskiego stwierdzał: „Chciano narzucić Polsce model ustroju, który by uprawomocnił wyzysk gospodarczy państwa przez wschodniego sąsiada i ułatwił wyniszczenie wszelkiej narodowej kultury. Świadomie odchodzono od prawdy historycznej, aby uzasadnić »satelickie« uzależnienie Polski od Sowietów. Zohydzano nasze dzieje, i to nie tylko ostatni okres dwudziestolecia niepodległości, ale zabrano się również do dawnych wieków, oświetlając wypadki na niekorzyść Polski i dopuszczając się często pospolitych fałszów".

Teatr Wojtyły brutalnie wdeptany w ziemię

To, że młodszy kolega Kielanowskiego aktor Karol Wojtyła został papieżem i spotykając się w Londynie z niezłomną emigracją mówił o tym, że czuje się z nią związany duchowo, wywarło na nią niemały wpływ. W słowach Jana Pawła II nie było fałszu – na twórczości przyszłych emigrantów wychowywał się już jako szczególny nastolatek. A Leopolda Kielanowskiego znał ze sceny.

Kielanowski pisał: „Młody student tajnych kursów polonistyki, Karol Wojtyła był członkiem zespołu artystycznego tego jedynego w swoim rodzaju teatru, który w najcięższych latach poniżania godności narodowej przez okupanta, pielęgnował słowo polskie, szukał dla poezji narodowej najpełniejszej formy wyrazu i teatralnego przekazu".

Tak opisywał działalność teatru Wojtyły w konspiracji: „Było to podczas okupacji niemieckiej. Wiadomo, że był to okres, w którym życie narodu musiało zejść do podziemia. Zeszło do niego również żywe polskie słowo. Po zakończeniu okupacji teatr ten wyszedł z konspiracji i jako Teatr Rapsodyczny zaczął swoją jawną działalność...".

Miała być wolność, skończyło się likwidacją bohaterskiego teatru przez nowego, komunistycznego okupanta. Pisał Kielanowski: „Teatr, który był jednym z protestów przeciw eksterminacji kultury narodu na jego własnej ziemi, jedną z form podziemnego, konspiracyjnego oporu przeciwko okupacji, który powstał w jej najczarniejszej godzinie, bo w r. 1941 i przetrwał ją zwycięsko – został po wojnie – dwukrotnie, brutalnie zniszczony. Raz w r. 1953 w czasach stalinowskich, a po raz drugi za rządów Gomułki – w r. 1967. I mimo protestów społeczeństwa, obywateli Krakowa – ten »śpiew polskości«, który wyszedł spod ziemi zbrojny w umiejętność władania słowem, został przez nowe władze zdławiony i brutalnie wdeptany w ziemię – co podkreślił (...) kardynał Karol Wojtyła".

Czy Wygnani wrócą jak Wyklęci?

Kielanowski wielokrotnie wybierany był na prezesa Związku Artystów Scen Polskich za Granicą, a w 1980 roku został prezesem honorowym Związku. Od 1975 roku wykładał na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie historię kultury polskiej. Uczył też aktorstwa na kursach teatralnych w Londynie. Miał również uczniów w Funchalu na portugalskiej Maderze, gdzie wyjeżdżał po przejściu na emeryturę. Na prośbę władz miasta Funchal otworzył tamtejszy Teatr Miejski „Wieczorem Trzech Króli" w swojej reżyserii. Ostatnią sztuką wyreżyserowaną przez niego latem 1987 roku była „Preclarka z Pohulanki" Wiktora Budzyńskiego.

Zmarł 18 stycznia 1988 roku w Londynie. Niebawem nastąpiła III RP, ale jej początki nie zapowiadały zainteresowania przesłaniem emigracji. Niemniej wśród dzieci i wnuków emigrantów pamięć trwała. Przyjaciółka Kielanowskiego Tamara Karren tak opisywała Jubileusz 50-lecia ZASP z 1992 r.: „Świetny był pomysł rzucenia na ekran powiększonych fotografii zmarłych twórców i autorów emigracyjnych. Był to najbardziej wzruszający moment wieczoru, przesuwające się twarze tak dobrze pamiętanych: Leopolda Kielanowskiego, Mariana Hemara, Feliksa Konarskiego, Wiktora Budzyńskiego, Ryszarda Kiersnowskiego, Edwarda Chudzyńskiego...".

A z czasem do tej tradycji zaczęli docierać badacze. Anna Mieszkowska, autorka książki „Była sobie piosenka...", opisującej dzieje aktorów na wygnaniu, wspominała: „W piwnicy domu, w którym mieszkał Leopold Kielanowski, odnalazłam bezcenne taśmy z nagraniami audycji literackich, muzycznych, słuchowisk i kabaretów...". Czy dziś dla odrodzonej niepodległej Polski tradycja ta stanie się równie ważna, co zapomniana przez lata tradycja Żołnierzy Wyklętych? ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa

BALLADA O SYNU PREMIERA, CO TO W DZIEJE DAWNE UCIEKŁ

eprasa.pl 1fdc7c8e16

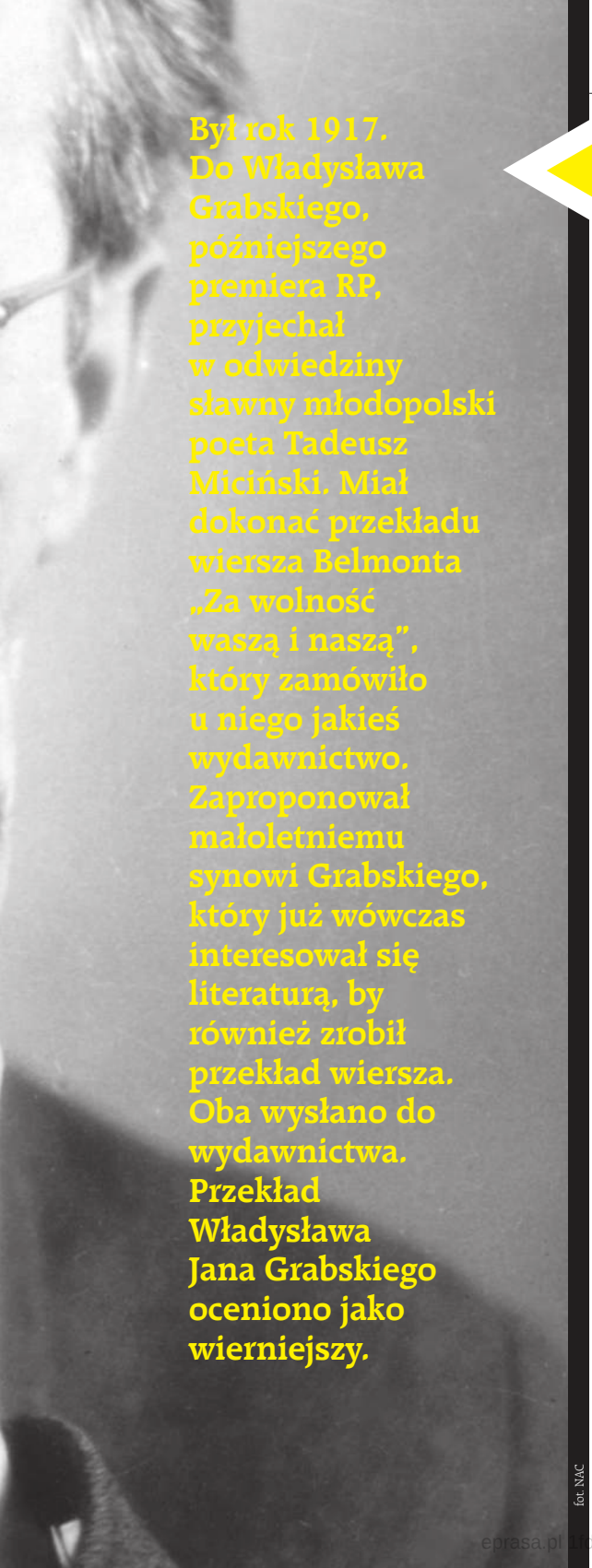

Był rok 1917. Do Władysława Grabskiego, późniejszego premiera RP, przyjechał w odwiedziny sławny młodopolski poeta Tadeusz Miciński. Miał dokonać przekładu wiersza Belmonta „Za wolność waszą i naszą", który zamówiło u niego jakieś wydawnictwo. Zaproponował małoletniemu synowi Grabskiego, który już wówczas interesował się literaturą, by również zrobił przekład wiersza. Oba wysłano do wydawnictwa. Przekład Władysława Jana Grabskiego oceniono jako wierniejszy.

fot. NAC

Historię o rywalizacji z Micińskim opowiadał sam W.J. Grabski w wywiadzie udzielonym Józefowi Szczypce i „Kierunkom", opublikowanym 8 sierpnia 1965 roku. Pisarz, poeta, syn premiera i dziadek obecnej posłanki PO Małgorzaty Kidawy-Błońskiej został wsadzony do szufladki z napisem „pisarz katolicki", a następnie w owej szufladzie skazany na zapomnienie. Owszem, istnieje biblioteka publiczna nosząca jego imię. Ze względu na przykrości, jakie spotkały go w związku z wierszem o Gałczyńskim, pakuje się go czasem do innej szuflady – „pisarz represjonowany". I na tym koniec. Dodajmy do tego fakt, że ojciec, premier, nazywał się Władysław Grabski, on sam – Władysław Jan Grabski, a autor „Sagi o Jarlu Broniszu" zupełnie gubi nam się w pomroce dziejów, nieustająco mylony z własnym ojcem.

Może zresztą to zgubienie mu nie przeszkadza? Za życia sam chętnie uciekał w czasy minione. Gdy wokół szalała II wojna światowa, on rozpisywał się o Pomorzu i Bolesławie Chrobrym. Mimo wszystko postanowiłam Grabskiego przypomnieć. Grabskiego represjonowanego przez system PRL i Grabskiego współpracującego z Edwardem Ochabem. Grabskiego moralistę i Grabskiego, który rozpisuje się o rozmaitych trójkątach uczuciowych. Grabskiego potępiającego Piłsudskiego za zamach majowy i Grabskiego piszącego, że Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zabił „humanistyczny wstyd". Grabskiego niejednoznacznego.

▶ O tym, dlaczego należy studiować to, czego się nie lubi

Startu życiowego – mimo że urodził się w niespokojnych czasach – można mu mimo wszystko zazdrościć. Na świat przyszedł 25 października 1901 roku, w Borowie. Ojciec, Władysław Grabski, był ekonomistą i politykiem. Matka, Katarzyna z Lewandowskich, w autobiograficznej książce „Blizny dzieciństwa" była opisywana jako piękna, czuła kobieta. Władysław Jan odebrał staranne wykształcenie. Najpierw w Warszawie, w Gimnazjum im. Emiliana Konopczyńskiego, potem w Gimnazjum im. Świętej Katarzyny w Piotrogrodzie, rodzina bowiem przeniosła się do Rosji. Szybko odezwały się w nim zamiłowania społecznikowskie i literackie. Jak opowiadał Szczypce w cytowanym już wywiadzie, w wieku 12 lat napisał nowelę patriotyczną, której akcja rozgrywała się w Zakopanem, jakiś patetyczny, napuszony poemat w stylu Juliusza Słowackiego i rozmaite wierszydła.

„Napisali o mnie w »Słowniku współczesnych pisarzy polskich«, że kiedy miałem 15 lat, to redago-

eprasa.pl 1dc7c8e16

wałem tajne pisemko szkolne w Finlandii. Tak to znów nie było, niech pan to sprostuje... Pisemko wychodziło w Petersburgu i nazywało się »Młode Siły«. Prowadził je Leopold Kosiński, dzisiaj archiwista. Ja byłem redaktorem, a po moim wyjeździe na Krym przyszedł Tadeusz Łopalewski" – opowiadał Szczypce.

Kolejne miejsce jego pobytu to Teodozja na Krymie. Tam również uczęszczał do gimnazjum. W rozmowie z „Kierunkami" podkreślał, że w owych czasach nie był specjalnie święty. W 1920 roku dostał dwóję z religii, w efekcie musiał dodatkowo zdawać ten przedmiot na maturze. Do egzaminu dojrzałości przystępował zresztą już w Polsce, w kolejnym gimnazjum – tym razem imienia Adama Mickiewicza. Następnie na ochotnika trafił do Wojska Polskiego. Zdemobilizowany w listopadzie, zastanawiał się, co ze sobą zrobić. I wówczas z mądrą radą przyszedł ojciec. Kiedy usłyszał, że syn chce pisać, doradził mu, żeby broń Boże nie szedł na studia na jakąś filologię. Skoro ma pisać o ludziach, musi ich poznać, ale to są rzeczy, których może się nauczyć sam, zatem uniwersytet mu do tego niepotrzebny. Następnie zapytał, co Grabskiego juniora interesuje najmniej. Ten bez namysłu wypalił, że prawo. Grabski senior stwierdził wówczas, że skoro prawo nie interesuje jego syna, to sam się go nie nauczy. Ktoś zatem musi go tego nauczyć i po to właśnie są uniwersytety. W ten właśnie sposób Władysław Jan ukończył ów niewdzięczny fakultet. Studia kontynuował na Sorbonie, doktoryzował się, pisząc pracę poświęconą Karolowi Fourierowi (francuski socjalista, uważany za twórcę terminu „feminizm"). Tytuł naukowy otrzymał w 1927 roku.

Zarazem jednak z literaturą Grabski rozstać się nie mógł. W 1923 roku wydał tomik wierszy „Rosja". Józef Szczypka w poświęconym Grabskiemu tekście z „Faktów i Myśli" z listopada 1971 roku charakteryzował te utwory jako „wiersze antyradzieckie i anatemy na komunistów". Utwory „zjechał" bez litości prof. Tadeusz Sinko, ten sam, który był pierwowzorem upiornego nauczyciela z „Ferdydurke". Grabski nie był jednak aż tak zajadły jak Witold Gombrowicz. Zamiast opisywać nieszczęsnego Sinko w jakiejś książce, po prostu postanowił zadać kłam jego tezom. Tak powstały „Trzy wieńce", kolejny tomik poezji. „Chciałem udowodnić, że potrafię być tradycyjny, że umiem rymować, że stać mnie nawet na takie wyszukane sztuczki jak »wieńce«. Pisarz nie powinien się nigdy poddawać" – opowiadał Szczypce.

Poza pasjami społecznikowskimi i literaturą zafascynowała Grabskiego także urocza studentka Akademii Sztuk Pięknych, która na dokładkę była córką prezydenta. Jesienią 1927 roku poślubił Zofię Wojciechowską. Grabski senior przekazał synowi kawałek majątku Grabkowo w podwarszawskich Gołąbkach. Junior został urzędnikiem w Biurze Ekonomicznym Banku Polskiego. Produkował artykuły ekonomiczne dla specjalistycznych czasopism. Jak podaje Szczypka w cytowanym już tekście z „Kierunków", Grabski miał jechać do Paryża, by tam jako asystent prof. Emila Młynarskiego zasiąść w Międzynarodowej Komisji Złota. Plany pokrzyżowała jednak gruźlica. Zamiast do Paryża trafił do Zakopanego i do Davos. Gdy chorobę udało się zaleczyć, zdecydował, że skupi się tylko na działalności literackiej. Wydał powieści: „Bracia" (1933), „Kłamstwo" (1935) i „Na krawędzi" (1936). Publikował artykuły w m.in. „ABC" i „Prosto z mostu". Jak podaje Szczypka we wspomnianym już artykule z „Faktów i Myśli", Grabskiego atakowało się jako „nadwornego barda ONR".

Szczypka pochylił się zresztą także nad stosunkiem Grabskiego do polityki. „Gdyby powiedzieć, że miał on także coś z Putramenta czy może z Bratnego, że kąpał się po uszy w polityce, że nie stronił od spięć ideologicznych, partyjnych, że walczył pamfletami, a cenzorzy skakali z nożycami po jego książkach, pozostawiając w nich całe tasiemce białych plam, zabrzmiałoby to nieprawdopodobnie, jeśli nie gorsząco. A przecież tak właśnie kiedyś było" – pisze. I podkreśla, że Grabski chętnie uderzał w piłsudczyków, wytykając im brudne chwyty, jakie stosowali przy okazji przejmowania władzy w trakcie zamachu majowego. „Pada tutaj nawet nazwisko jego ojca, który, jak wiadomo, stał również nie po ich stronie barykady" – zaznacza Szczypka.

W 1939 roku ukazała się kolejna powieść Grabskiego „W cieniu kolegiaty".

▶ O tym, co Bolesław Chrobry ma wspólnego z nazistami

„Saga o Jarlu Broniszu", choć ukazała się dopiero po wojnie, powstawała w czasach okupacji, którą Grabski z rodziną spędził w Gołąbkach. Stanisław Podlewski, pisarz i uczestnik Powstania Warszawskiego, rzucił nieco światła na powstawanie powieści na łamach „Za i przeciw", w artykule z 12 grudnia 1970 roku. Grabski za dnia zajmował się gospodarstwem, czytał książki. Do pracy literackiej przystępował najczęściej po godzinie policyjnej. Wówczas pisał o wiekach dawno minionych. Wyobraźnia literacka przenosiła go do czasów Bolesława Chrobrego, jego hardej siostry Świętosławy, na wyspę Wolin, gdzie stykały się kulty bóstw rozmaitych. „Nieczytelnym, drobnym »maczkiem« zapisuje

eprasa.pl 1fdc7c8e16

obustronnie kartki papieru. Po opracowaniu poszczególnych rozdziałów składa je do skrytki, przemyślnie urządzonej pod podłogą, to znów w piwnicy lub na strychu. W wielkiej budzie dla psów, w której przed wojną hodowano dogi, a teraz służyła za mieszkanie nierasowemu psu, Grabski ukrył cenne zbiory autografów królewskich i najcenniejsze okazy książkowe ze swojej biblioteki. Kilka razy w czasie nagłego najścia hitlerowskich oprawców w budzie tej, przed którą leżał pies, znajdowało bezpieczne schronienie dwoje żydowskich dzieci" – pisał o czasach okupacji Podlewski.

„Cóż, okupacja, terror, aresztowania i egzekucje w Warszawie, a ja w swoich Gołąbkach, opodal, piszę o słowiańszczyźnie nad Bałtykiem, o naszych prawach do morza [...] Z mojej strony był to wielki akt wiary. Uwierzyłem, że Rok Tysięczny nie był przypadkiem, ale testamentem i nadal obowiązuje. Że my tam, w Kołobrzegu, czy na tej wyspie Wolin, niemożliwych – jak zdawało się – do odzyskania, znowu będziemy" – opowiadał Szczypce sam pisarz na łamach „Kierunków".

„Słownik współczesnych pisarzy polskich" podaje, że Grabski należał do AK. W jednej z jego notek biograficznych, pisanych jeszcze w czasach PRL, pojawiła się także wzmianka o jego kontaktach z AL. Mogła to być prawda, mogło to wynikać również z czasu, w jakim notatka powstawała.

Po zakończeniu II wojny światowej Grabski znalazł się w biurze Głównego Pełnomocnika do spraw Ziem Odzyskanych, zarazem ministra administracji publicznej. Jego szefem był najpierw Edward Ochab, później – sam Władysław Gomułka. Właśnie na polecenie biura Grabski napisał broszurkę zatytułowaną: „Polska nad Nisą, Odrą i Pasłęką", a skierowaną do polskich osadników udających się w te rejony. Pojawił się jednak problem, gdzie ów informator wydrukować. Wszystkie drukarnie były zniszczone. Ostatecznie książeczkę wydrukowano za Odrą, w Görlitz, w niemieckiej drukarni. Następnie rozwożono wojskowymi samochodami. Współpracę z ministerstwem Grabski zerwał w 1948 roku, na znak protestu. Bardzo niedługo potem został powołany przez kardynała Augusta Hlonda w skład Rady Prymasowskiej dla Odbudowy Kościołów Warszawy. Grabski nie gardził też formą dziennikarską. Pisał m.in. dla „Tygodnika Powszechnego".

Mimo zakończenia współpracy z ministerstwem w swojej publicystyce wielokrotnie powracał do spraw związanych z Ziemiami Odzyskanymi. Odnosił się m.in. do roszczeń tzw. rewizjonistów. „Wciąż na przykład lamentują o potwornej krzywdzie wysiedlonych z Polski Niemców, milionów Niemców. Ale milczą o tym, ilu ich sam Hitler przegnał ze wschodu na zachód, ilu z własnej decyzji umknęło przed frontem przerażonych ogromem zbrodni i klęski swego Führera i Wehrmachtu, ilu dobrowolnie później optowało, jak emigranci, na przeniesienie się do lepszego wedle ich mniemania życia w Niemczech. Milczą i o tym milionie Ślązaków, Mazurów i Kaszubów, którzy po wyswobodzeniu uznali się za Polaków" – pisał Grabski na łamach „WTK Tygodnika Katolickiego" 12 lutego 1961 roku. Dzielił przy tym Niemcy na złe NRF i dobre NRD, a odpowiedź na niemieckie roszczenia widział... w umacnianiu sojuszu z Wielkim Bratem. „To ich [działaczy NRF] poczynania alarmują nas bezustannie i przekuwają, na nasz pożytek a na ich pohybel, polsko-radziecki sojusz na trwałą przyjaźń. Im, potencjalnym agresorom, zawdzięczamy nowoczesne, po pięćset pięćdziesięciu latach wskrzeszenie sojuszu grunwaldzkiego w formie Układu Warszawskiego" – zaznaczał.

Czym wytłumaczyć tę publicystykę? Wyjaśnienia są dwa. Albo w ocenie Grabskiego faktycznie jedynym ratunkiem na pomysły, by oderwać Ziemie Odzyskane od Polski, było to, by stawiać na Związek Sowiecki, zwłaszcza że wówczas szanse na wyrwanie się spod jego panowania trudno było dostrzec, albo też Grabski w swojej publicystyce zaczął wplatać pewne elementy stanowiące swego rodzaju trybut na rzecz władzy ludowej. Czy należy go za to potępiać? Do partii się nie zapisał, trudno znaleźć jakiś przykład na to, by się „ześwinił". Być może ten ojciec czwórki dzieci chciał po prostu pracować, pisać ku pokrzepieniu serc i wywalczyć tyle, ile da się w ramach systemu. Zwłaszcza że miał za sobą naprawdę ciężkie chwile i przekonał się, co z życiem obywatela mogą zrobić komuniści.

▶ O tym, ile szkody może narobić urażona wdowa

„Za swoje przekonania został usunięty, jakże niesłusznie, z organizacji literackiej i to przy udziale kolegów, którzy po kilku latach gwałtownie zmienili swoje poglądy" – takie zdanie znalazło się we wspomnieniu o Grabskim pióra Józefa Szczawińskiego („Słowo Powszechne", 4 listopada 1980 r.). Chodzi o skreślenie z listy członków Związku Literatów Polskich, do którego Grabski należał od przedwojnia, od roku 1938.

Dość enigmatycznie. Takie wzmianki pojawiały się we wszystkich wspomnieniach i notkach biograficznych Grabskiego z czasów PRL. Więcej światła rzuca na sprawę Joanna Siedlecka w książce „Obława. Losy pisarzy represjonowanych". Z materiałów i świadectw, do których dotarła, wyłania się następu-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

jący obraz. Jeszcze w czasach międzywojennych tak Grabski, jak i Konstanty Ildefons Gałczyński pisywali do „Prosto z mostu". Potem przyszła wojna, ich drogi się rozeszły. Co wypisywał Gałczyński, skądinąd poeta obdarzony wybitnym talentem, wszyscy wiemy. Skoro autor „Zaczarowanej dorożki" o propagandyście i komunistycznym działaczu Jerzym Borejszy pisał jako o obrońcy pokoju, to Grabski przyjaźnić się z nim ochoty zwyczajnie nie miał. Siedlecka podkreśla, że autora „Sagi" miało mocno zrazić także pisane małymi literami „serwus, madonna", stanowiące pointę każdej zwrotki jednego z najbardziej znanych wierszy poety. Kiedy spotkali się po raz ostatni, Gałczyński miał zresztą dawać wyraz zazdrości, że Grabski dzięki dobrym warunkom materialnym może sobie pozwolić na jaką taką niezależność.

Niedługo potem twórca Zielonej Gęsi zmarł. Tego samego dnia odeszła też zresztą Konstancja Kłosińska, sąsiadka Grabskich z Gołąbek. Właśnie owa zbieżność dat śmierci stała się inspiracją do napisania „Ballady katolickiej o Konstancji z Nawrockich Kłosińskiej i Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim". Gałczyńskiego według słów poety zabiło m.in. „przykrości trochę, humanistyczny wstyd, alkohol". Grabski napisał ją pod wpływem impulsu. Nie miał oczywiście zamiaru drukować utworu, ot, zostawił sobie na pamiątkę. Pół roku później jednak coś go podkusiło i przeczytał ją poecie Anatolowi Sternowi, gdy ten zajechał do niego w gości. Potem nieopatrznie włożył rękopis do kieszeni marynarki. Tę zaś założył następnego dnia. Pech chciał, że miał ją podczas spotkania z koleżanką, Moniką Żeromską, i że w tym czasie oboje wpadli na Natalię Gałczyńską. A Grabski, nie wiadomo po co zresztą, wspomniał jej, że napisał wiersz o jej nieżyjącym mężu. Gdy pokazał rękopis, wdowa zwyczajnie mu go zabrała.

Dalej dramat rozegrał się szybko. Obrażona Natalia poskarżyła się Stanisławowi Ryszardowi Dobrowolskiemu, który był nie tylko kumplem Gałczyńskiego, lecz także przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich i jego wiceprezesem. Ten zaś, jako że odczuwał wybitny sentyment do Srebrnej Natalii, zaczął działać. Na 4 czerwca 1954 roku wyznaczono rozprawę Sądu Koleżeńskiego przeciwko Grabskiemu. Oskarżony był „o naruszenie dobrych obyczajów koleżeńskich przez rozpowszechnianie poemaciku, mającego wszelkie cechy paszkwilu osobistego, ciężko znieważającego pamięć zmarłego poety, który nie może się już bronić przeciwko tego rodzaju postępowaniu kol. Grabskiego, tak jawnie sprzecznego z obyczajami panującymi w naszym Związku, godzącym również w spokój rodziny Zmarłego" (cytuję za Siedlecką).

Oskarżycielami było pięciu literatów: Jerzy Waldorff, Wojciech Żukrowski, Bohdan Czeszko, Kazimierz Koźniewski i Artur Sandauer. Czterech pierwszych pisarz znał osobiście.

Siedlecka opisuje, że w czasie procesu wielu literatów usiłowało zachowywać się przyzwoicie. Albo milczeli, albo nie składali zeznań obciążających Grabskiego. Wojciech Żukrowski usiłował z kolei bronić Grabskiego, mówiąc o stanie jego nerwów, bo jak zdrowy psychicznie pisarz PRL może mieć wizje aniołów i diabłów. Podobną taktykę zastosował Waldorff, który wspomniał, jak Grabski mówił mu coś kiedyś o tym, że Anioł Stróż go obronił.

Mimo to wyrok mógł być tylko jeden: Grabskiego skreślono bezterminowo z listy członków związku. „Przewodniczący Dobrowolski uznał też, że rzekome zasługi Grabskiego dla Ziem Odzyskanych, czyli jego pionierskie książki na ten temat, nie są na tyle ważne, aby mogły stanowić okoliczność łagodzącą. Obciąża go natomiast »absencja w pracach Frontu Narodowego, bojkotowanie przez niego pracy obozu postępowych katolików«" – pisze Siedlecka. I przytacza fragment relacji Grabskiego, z której wynika, że dotarło do niego, iż władze Związku Literatów poprzez wyrzucenie zapędzą go do „czeladzi Bolesława Piaseckiego" (twórcy Stowarzyszenia PAX). Z tą zaś Grabski nie chciał mieć nic wspólnego. Choć później zresztą wydawało jego utwory wydawnictwo PAX-u, do samego stowarzyszenia nigdy nie wstąpił.

Wróćmy jednak do samej sprawy. Dotknięty do żywego Grabski odwołał się od wyroku, ale efektów to nie przyniosło. Siedlecka podaje za to, że wśród anonimowych listów, jakie przechodziły do pisarza, pojawił się i taki, z którego wynikało, iż tylko Żukrowskiemu zawdzięcza, że „zajął się nim sąd koleżeński, nie zaś UB". Zniszczył więc podobną do ballady twórczość, w tym większą część ukończonej już powieści „Kaleki Boże". Siedlecka miała jeszcze okazję porozmawiać o całej sprawie z Żukrowskim. Z tego, co mówił, wynikało, że „Ballada..." była po prostu wygodnym pretekstem. Naprawdę w Grabskim przeszkadzało to, że był synem premiera II RP, zięciem prezydenta II RP. „Tak że gdy tylko nadarzyła się okazja, koleżkowie świeżo mianowani na marksistów naskoczyli na katolika i posiadacza, chcieli zgnoić, wywalić ze Związku, co było wtedy wielką karą" – przytacza słowa Żukrowskiego autorka „Obławy".

W maju 1956 roku przywrócono członkostwo Grabskiego w ZLP, ale nie zrehabilitowano go. Sytuacja zmieniła się diametralnie dopiero, kiedy władzę w związku przejął nowy zarząd. Można zaryzykować stwierdzenie, że historia z wykreśleniem z listy

eprasa.pl 1fdc7c8e16

członków ZLP wpłynęła na pogorszenie stanu zdrowia pisarza. Dwa lata stracił, lecząc gruźlicę, która postanowiła powrócić niby upiór z przeszłości.

O tym, co w XVI wieku działo się na Dolnym Śląsku

Omawiając twórczość Grabskiego, trzeba wymienić prace poświęcone Ziemiom Odzyskanym. Na szczególną uwagę zasługuje tu „Rapsodia świdnicka". Tak jak „Saga o Jarlu Broniszu" miała zaznaczać nasze prawa do Pomorza, tak „Rapsodia" to opowieść o polskim Dolnym Śląsku. Akcja rozgrywa się w Księstwie Świdnickim w XIV wieku. Obok głównych bohaterów, rodziny Kordalów, pojawiają się także autentyczne postaci historyczne, a więc książę Bolko Świdnicki, Jan Luksemburczyk czy Ludwik Węgierski. Zbigniew Dolecki na łamach „Kierunków" z 6 października 1985 roku wymienia następujących bohaterów książki. „Czołowi bohaterowie: Andrzej i Maryna Kordalowie, książę świdnicki Bolko i jego żona Agnes oraz ich tragicznie zmarły synek Boleś. Dalej zakonnik brat Fidelus, szczególnie interesujący w swym skomplikowaniu psychicznym błazen Kuba. Pokutniczy Konrad z Rogozina, złowieszczy Wigund i dwie kobiety fatalne: Wiryda i Paulina. Rzadko można znaleźć taką przekonującą pod każdym względem, a szczególnie psychologicznym, galerię postaci, przecież nie współczesnych, wywołanych pisarską wyobraźnią sprzed 600 lat".

Grabski napisał też kilka powieści współczesnych, m.in. „Dziennik poufny Dominika Pola". Książka o tyle ciekawa, że pokazuje nieco inne oblicze pisarza. Główny bohater, Dominik Pol, jest Polakiem, który wyemigrował do Ameryki i zajął się biznesem. Jego perypetie, których dalsza część jest opisana w „Nocy mogunckiej", to opowieść o poszukiwaniu Boga i Ojczyzny, ale także sensu egzystencji, który tak naprawdę znajduje się w rzeczach najprostszych.

Jan Zbigniew Słojewski na łamach „Faktów i Myśli" z 31 maja 1963 roku zwracał uwagę, że „Dziennik poufny" jest pozbawiony typowego dla twórczości współczesnej mistycyzmu. „Jest – o dziwo! – kilka dowcipów, nieco ironii, cienkich spostrzeżeń obyczajowych i sporo – horrendum! – frywolności. Grabski ze znawstwem opisuje rozmaite trójkąty i czworokąty miłosne w Stanach Zjednoczonych i w burżuazyjnej Francji; jego bohater, Dominik Pol, zmienia kochanki jak rękawiczki. A że odczuwa od czasu do czasu wyrzuty sumienia (niezbyt bolesne!), no cóż, nie zapominajmy, że Grabski jest pisarzem katolickim..." – recenzował książkę.

O tym, że syn stróża przyniósł kosz jajek

Ci, którzy znali Grabskiego, zgodnie podkreślają, że zawsze był niesamowicie życzliwy ludziom i ciekawy człowieka. Zdzisław Seweryn we wspomnieniu o pisarzu, zamieszczonym w „Słowie Powszechnym", opisywał rozmowy z nim w „jakieś nieprzespane noce" podczas zjazdu ZLP w Krakowie, zaznaczał też, że Grabskiego zawsze ciekawiła twórczość pisarzy najmłodszego pokolenia. „Był w jakimś stopniu zafascynowany ową twórczością. I co najbardziej godne odnotowania, nigdy w tych rozmowach nie pojawił się nawet cień zawiści czy pogardy" – wspominał.

Z kolei Józef Szczypka na łamach „Kierunków" z 16 maja 1971 roku opowiedział o odchodzeniu Grabskiego, który przegrywał walkę z nękającą go od młodości gruźlicą. Dziennikarz odwiedzał go wówczas w klinice przy ulicy Płockiej na warszawskiej Woli, gdzie pisarz był męczony przez chirurgów. Nie tracił jednak nic z wrodzonej pogody, nie wyglądał jeszcze źle. Podobno paradoksalnie był nawet opalony. Gorzej było po wyjściu ze szpitala. Grabski, już wymęczony, dużo szczuplejszy niż zazwyczaj, mówił i poruszał się z coraz większą trudnością. Szczypka zauważa, że prawdopodobnie pisarz miał świadomość nadchodzącego końca.

O tym, jakie emocje wzbudzał Grabski w ludziach, świadczy też pewna historia z tamtego, ostatniego okresu, przytaczana przez Szczypkę. Otóż w „Bliznach dzieciństwa" pojawia się postać stróża Kucharskiego. Pewnego dnia do Grabskiego przyszedł starszy mężczyzna, który przyniósł mu koszyk jajek. Okazało się, że człowiek ten jest synem opisywanego stróża i postanowił odwiedzić panicza, skoro tylko dowiedział się o jego chorobie. Spotkanie zrobiło na gościu takie wrażenie, że na do widzenia chciał pocałować pisarza w rękę. Grabski nie pozwolił jednak, mówiąc, że przecież nie jest biskupem.

Władysław Jan Grabski zmarł 3 listopada 1970 roku. Spoczął na warszawskich Powązkach, obok leży jego żona. Nagradzany zarówno Nagrodą Literacką Episkopatu Polski (1949), jak i przez Ministra Kultury i Sztuki w rządzie PRL (1965), gnębiony i podziwiany, stanowi typowy produkt epoki, która chciała łamać kręgosłupy i tępić to, co przypominać mogło o wolnej Polsce z czasów międzywojennych. Trzeba mu oddać, że swoim współczesnym, żyjącym w Polsce Ludowej czytelnikom przypominał o czasach początków i świetności, co dawało nadzieję. Albo chociaż pozwalało zapomnieć o burej rzeczywistości kłębiącej się dookoła. A to też coś. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

RODZINY RAMOTOWSKICH DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

W historii rodziny Ramotowskich jak w zwierciadle przegląda się historia Polski. Kilkanaście jej pokoleń stawało w obronie ojczyzny, walcząc z jej najeźdźcami, a kiedy zabrakło wolności, walczyli o jej odzyskanie.

Dariusz Jarosiński

1. Mjr Jan Tabortowski „Bruzda", żołnierz AK, AKO i WiN, inspektor inspektoratów III łomżyńskiego i IV suwalskiego AK, prezes rejonowy WiN, z łączniczką Franciszką Ramotowską „Iskrą", żołnierzem AK, łączniczką Komendy Inspektoratu III Łomżyńskiego, archiwistką, profesor nauk humanistycznych
2.Józef Konstanty Ramotowski „Wawer", powstaniec z 1830 i 1863 roku, pułkownik Wojska Polskiego, podpułkownik francuskiej Gwardii Narodowej
3. Por. Józef Ramotowski „Skrzetuski" „Kruk" „Rawicz", nauczyciel, żołnierz ZWZ i AK, szef wywiadu III Rejonu Obwodu Łomżyńskiego AK, zastępca prezesa WiN

1

eprasa.pl 1fdo7f8e16

2

3

fot. Arch.

Ramotowscy to stara polska rodzina szlachecka. W 1421 roku książę mazowiecki Janusz I nadał na ziemi wiskiej (wizkiej), położonej między rzekami Narew, Biebrza i Pisa, 30 włók ziemi (około 500 hektarów) braciom Ramotowi i Grzymisławowi pochodzącym z ziemi płockiej. Stolicą ziemi wiskiej była Wizna, już w XI wieku gród strzegący wschodniej granicy Mazowsza przed najazdami Jaćwingów, Prusów i Litwinów. Wizna to miejscowość położona nieopodal Łomży, którą kojarzymy głównie z bohaterską bitwą stoczoną tutaj we wrześniu 1939 roku, nazywaną polskimi Termopilami. Wspomniany Ramot założył wieś Ramoty, dając w ten sposób początek rodziny Ramotowskich, a Grzymisław wieś Grzymki, gniazdo rodziny Grzymkowskich. Obaj bracia pieczętowali się herbem Rawicz.

Bili się o Polskę

Jedna z najstarszych opowieści rodzinnych dotyczy Laurentego z Ramot, który wziął udział w wyprawie wołoskiej króla Jana Olbrachta w 1497 roku. Ramotowscy: Piotr ps. „Muchowiecki", Henryk ps. „Sławko", Julian, byli działaczami niepodległościowymi przed rokiem 1918, w okresie poprzedzającym odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Po wybuchu II wojny światowej na ziemi łomżyńskiej walczyli z Niemcami, Sowietami, rodzimymi komunistami m.in. Aleksander Ramotowski „Mucha", Józef ps. „Rawicz", Władysław ps. „Stal". Niezwykłą postacią była zmarła w 2003 roku Franciszka Ramotowska „Iskra", żołnierz AK, sanitariuszka, łączniczka Komendy Inspektoratu III Łomżyńskiego, legendarnego, niezłomnego dowódcy AK mjr. Jana Tabortowskiego „Bruzdy", który zginął w walce z komunistami 23 sierpnia 1954 roku w miejscowości Przytuły. Franciszka Ramotowska była pracownikiem naukowym, profesorem nauk humanistycznych, zajmowała się historią polskich zrywów wolnościowych – powstania listopadowego i styczniowego. W latach 80. działała w NSZZ „Solidarność". Potwornie tragiczne są losy por. Ignacego Ramotowskiego, oficera Narodowych Sił Zbrojnych, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, który przyjął po przodku, powstańcu listopadowym i styczniowym, pseudonim „Wawer". Ignacy Ramotowski aresztowany w maju 1946 roku przez bezpiekę po śledztwie przystał na współpracę z UB, w połowie 1947 roku urwał się ubekom. Po ucieczce z kraju nawiązał kontakt z wywiadem brytyjskim. W Polsce został aresztowany ponownie w 1948 roku, kiedy organizował siatkę wywiadowczą. W 1949 roku został skazany na karę śmierci. W odwecie za współpracę z UB, zdradę dawni koledzy por. Ignacego Ramotowskiego wykonali wyrok na jego matce.

epresa.pl 1fdc7c8e16

Pałeczkę po przodkach zmagających się z okupantami Polski podjął Janusz Przemysław Ramotowski „Przem", rocznik 1950, syn por. Józefa Ramotowskiego „Rawicza". Jego ojciec Józef był oficerem AK, zastępcą prezesa Obwodu Łomżyńskiego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, do 1952 roku ukrywał się na bagnach nadbiebrzańskich, więziony przez komunistów do 1955 roku. Janusz Ramotowski w kręgu zainteresowania bezpieki znalazł się w 1969 roku po akcji plakatowej w Otwocku. W okresie stanu wojennego, od początku 1982 roku, należał do najbardziej aktywnych członków Grup Oporu Solidarni RKW Mazowsze. Zagrożony aresztowaniem wyjechał w 1985 roku do Francji.

Na emigracji we Francji

Najsłynniejszą postacią tej rodziny jest pochodzący z Tykocina Konstanty (właściwie dwojga imion – Józef Konstanty) Ramotowski (1812–1888), który jako student dołączył w nocy z 29 na 30 listopada 1830 roku do grupy powstańców ze Szkoły Podchorążych Piechoty i ludu Warszawy, by zdobyć Arsenał. Po zdobyciu Arsenału, opanowaniu stolicy przez powstańców, porwała go fala zrywu przeciwko Moskalom. Konstanty przystąpił na ochotnika do Pułku Piechoty Liniowej. Po bitwie pod Wawrem, gdzie się szczególnie wyróżnił, został odznaczony Medalem Srebrnym Krzyża Virtuti Militari i awansowany na stopień podoficerski. Przeszedł całą kampanię 1830–1831 roku. Powstanie listopadowe było właściwie wojną polsko-rosyjską. Polscy powstańcy mieli duże szanse, by pokonać zaborczą armię rosyjską – tym bardziej tragiczny był upadek zrywu.

Po klęsce powstania listopadowego podporucznik Konstanty Ramotowski, jak większość jego towarzyszy broni, udał się do Francji, szukając tam schronienia przed Moskalami i szczęścia. Możliwe, że i on, i jego trzej przyjaciele powstańcy – Mirecki, Januszkiewicz i Saliński – zetknęli się w pierwszym etapie swojej tułaczki w lipcu 1832 roku w Strasburgu m.in. z Adamem Mickiewiczem i Ignacym Domeyką. Konstanty i jego przyjaciele przyjęli pomoc finansową władz francuskich. Adam Mickiewicz i Ignacy Domeyko odmówili przyjęcia pomocy – nie chcieli być zapewne zależni, woleli sami decydować o swoim losie, wkrótce wyjechali do Paryża.

Polscy uchodźcy, powstańcy listopadowi nie mieli łatwego życia we Francji. Byli przerzucani z jednego ośrodka dla uchodźców do drugiego, klepali biedę. Zresztą Francja borykała się wówczas z wieloma problemami. Do Konstantego Ramotowskiego uśmiechnęło się jednak szczęście. W styczniu 1836 roku poślubił zamożną wdowę panią Constance Aline Guesdon de Beauchesne, która posiadała duży majątek w mieście Désertines. Jego życie diametralnie się zmieniło. Poprawił się nie tylko status materialny, lecz także społeczny. Z francuską szlachcianką miał troje dzieci, największe nadzieje pokładał w urodzonym w 1841 roku Leopoldzie Tadeuszu. Chrzestnymi chłopca byli Leokadia z Tyminieckich i pułkownik Józef Broniewski, powstaniec listopadowy. Konstanty Ramotowski dbał szczególnie o wychowanie w duchu wojskowym, patriotycznym syna Leopolda. Zarówno Leopold, jak i drugi syn Artur, przedwcześnie zmarli, byli uczniami Szkoły Polskiej w Paryżu – słynnej szkoły Batignolles. Warto też napisać kilka słów o tej placówce. Stworzona przez uchodźców popowstaniowych uczyła dzieci emigrantów tego samego, co szkoły francuskie, ale miała również w programie takie zajęcia, jak na przykład topografia, musztra. Uczyła też języka polskiego i geografii polskiej. W założeniu miała przygotowywać kadry dla przyszłego powstania w Polsce.

Konstanty cieszył się dużym poważaniem wśród miejscowej szlachty francuskiej, pełnił ważne funkcje, m.in. wiceprzewodniczącego Komitetu Rolnego. W kwietniu 1848 roku został obywatelem francuskim. Nowe obywatelstwo nałożyło nań dodatkowe obowiązki. Został mianowany kapitanem, dowódcą 9. batalionu Gwardii Narodowej z Mayenne. Jednak sprawy Polski były dla niego najważniejsze – przystąpił do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, w 1856 roku podpisał deklarację emigracji, która odrzucała amnestię carską.

Niezłomny „Wawer"

W 1862 roku Konstanty Ramotowski przedostał się do kraju. Zamieszkał u brata, tutaj zastał go wybuch powstania styczniowego. Wstąpił do oddziału Władysława Cichorskiego „Zameczka" operującego w okolicach Tykocina, Siemiatycz i Ostrowi Mazowieckiej. Przyjął pseudonim „Wawer", który przywoływał pamięć bitwy stoczonej w powstaniu listopadowym z Moskalami, gdzie wyróżnił się szczególną odwagą. Oddział „Zameczka" stoczył kilkanaście zwycięskich bitew z Rosjanami. Niestety, po bitwie pod Siemiatyczami 7 lutego 1863 roku zaczęły się niepowodzenia oddziału „Zameczka". W marcu oddział Władysława Cichorskiego, liczący kilkuset żołnierzy, został mocno poturbowany przez Moskali w bitwach pod Drążdżewem i Radzynowem. Na podstawie rozkazu Rządu Narodowego dowództwo nad ugrupowaniem partyzanckim przejął „Wawer", któremu udało się zebrać rozproszonych powstańców. Z oddziałem liczącym 300 partyzantów toczył bitwy z wojskiem carskim na ziemi augustowskiej i północno-wschodnim Mazowszu. Nie ze wszystkich starć wychodził jako zwycięzca, ale jego oddział ciągle był zasilany przez ochotników. „Wawer" był utalentowanym dowódcą, kawalerzystą, został awansowany do stopnia pułkownika Wojska Polskiego, dobrze się czuł w walkach

eprasa.pl 1fdc7c8e16

partyzanckich. Słynął też z niekonwencjonalnego sposobu bycia, lubił biesiadować przy francuskim winie. Do dzisiaj zachowały się ułożone przez miejscową ludność piosenki, wierszyki na temat „Wawra". W bitwie pod Kadyszem koło Sopoćkin z rąk partyzantów płk. Ramotowskiego zginęło 120 Moskali. 28 czerwca oddział płk. „Wawra" liczący 600 żołnierzy odniósł duże zwycięstwo nad Moskalami w bitwie pod Gruszkami – śmierć wówczas poniosło 100 rosyjskich żołnierzy, straty własne nie były wielkie.

W lipcu płk „Wawer" wyruszył ze swoim oddziałem z okolic Sztabina na ziemię łomżyńską. Wielokrotnie musiał odpierać ataki kozaków, nękających ze wszystkich stron partyzantów. Dążył do wioski Grądy Woniecko położonej na środku bagien nadnarwiańskich. Wiedział, że tam jego wojsko będzie mogło odpocząć i będzie trudne do zaatakowania. Miejscem obozowiska powstańców stało się uroczysko „Kościółek". Tu także kilkadziesiąt lat później, w lipcu 1944 roku, m.in. żołnierze Armii Krajowej kpt. Stanisława Cieślewskiego „Lipca" przygotowywali się do akcji „Burza". Po tygodniowym odpoczynku oddział płk. „Wawra" ruszył w kierunku Nowogrodu. Stoczone bitwy w lipcu z Moskalami pod Rząśnikiem i Nowogrodem bardzo osłabiły oddział. Z ocalałymi powstańcami płk „Wawer" powrócił do Puszczy Augustowskiej. Tutaj jego oddział wzmocniły siły płk. Aleksandra Lenkiewicza z Litwy i mjr. Michała Laudańskiego z Mariampola. W sumie oddział płk. Ramotowskiego liczył około 400 ludzi. Nie przedstawiał on jednak dużej zdolności bojowej – brakowało żywności, leków, wielu żołnierzy trawiły choroby. 3 września pod wsią Strzelcowizna oddział płk. „Wawra" został zaatakowany przez rosyjską piechotę i kawalerię dowodzoną przez gen. Egiera. Powstańcy ponieśli klęskę. Pułkownik Konstanty Ramotowski wydał ostatnie polecenie swoim ocalałym żołnierzom, by połączyli się z innymi oddziałami operującymi w guberni augustowskiej – sam przekroczył granicę Prus Wschodnich. Rząd Narodowy uznał to za dezercję. Sąd Wojenny skazał zaocznie płk. „Wawra" na karę śmierci, wkrótce jednak wyrok został anulowany.

Po powrocie do Francji Konstanty Ramotowski zamieszkał ponownie w Désertines. Wziął udział w wojnie francusko-pruskiej 1870–1871 jako podpułkownik, dowódca 2. legionu Gwardii Narodowej Zmobilizowanej z Mayenne. W 1876 roku przeniósł się do Paryża. Działał w polskich towarzystwach kombatanckich. Zmarł w 1888 roku jako pułkownik Wojska Polskiego i podpułkownik francuskiej Gwardii Narodowej. Jego syn Leopold Tadeusz zrobił dużą karierę w armii francuskiej, został kawalerem Legii Honorowej, dowodził pułkiem huzarów i strzelców konnych, uzyskał stopień generała brygady kirasjerów.

▶ Antysowiecka konspiracja nad Biebrzą

Ziemia między rzekami Narwią, Biebrzą i Pisą stała się matecznikiem wielu gałęzi rodziny Ramotowskich. Choć syn Konstantego Ramotowskiego Leopold Tadeusz umarł bezpotomnie, to jednak pamięć o pułkowniku „Wawrze" była w rodzinie Ramotowskich silna, a zarazem inspirująca. Inne rody szlacheckie osiadłe w zaściankach łomżyńskich nie ustępowały Ramotowskim w pielęgnowaniu genu wolności.

Mieszkańcy ziemi łomżyńskiej z sowieckim aparatem bezpieczeństwa zetknęli się już w 1920 roku. Powstawały tutaj wówczas komitety rewolucyjne składające się z żydowskich i polskich komunistów. W żadnym innym regionie Polski opór antysowiecki po 17 września 1939 roku nie był tak silny jak właśnie tutaj. Wynikał on nie tylko z patriotyzmu, silnego przywiązania do wolności, lecz także z głębokiej wiary katolickiej. Komuniści, bolszewicy traktowani byli jednoznacznie jako antychrysty. Antysowiecką konspirację nad Biebrzą budowali dwaj duchowni katoliccy: ks. Ryszard Szumowski, proboszcz parafii w Jedwabnem, i ks. Stanisław Cudnik, proboszcz parafii w Burzynie. Nieco później dowodzenie przejął kpt. Wojska Polskiego Aleksander Burski. Na uroczysku „Kobielno" na bagnach utworzono obozowisko oddziału partyzanckiego. Znajdowali tutaj schronienie głównie żołnierze Wojska Polskiego przybyli w rodzinne strony po przegranej kampanii wrześniowej oraz poszukiwani przez NKWD mieszkańcy, ukrywający się przed wywózką na Syberię. Zdaniem prof. Tomasza Strzembosza organizacja liczyła około 425 osób. Jej zadaniem było antysowieckie powstanie zbrojne. Sztab na uroczysku „Kobielno" przeprowadził mobilizację powstańców, zewidencjonował broń i amunicję, a także wozy i konie. Istniejący przy sztabie sąd wydawał wyroki na zdrajców.

23 czerwca 1940 roku nadbiebrzańscy partyzanci stoczyli bitwę z dużymi formacjami Armii Czerwonej i wojsk wewnętrznych NKWD. Chociaż baza partyzancka została rozbita, to bojowy duch nie opuścił partyzantów. Nadal toczyli walki z Sowietami, wykonywali wyroki na konfidentach. Dużym sukcesem partyzantów było zabicie przez nich 9 maja 1941 roku lejtnanta Wasilija Szewielewa, zastępcy komendanta rejonowego NKWD w Jedwabnem.

Postkomunistyczna propaganda III RP, wykorzystując kłamliwą publikację Jana Tomasza Grossa, próbowała zohydzić społeczność ziemi łomżyńskiej – Jedwabnego, Radziłowa, Wizny. Ciągle zresztą, i to nie jest przypadek, próbuje się właśnie tym ludziom odebrać dumę i honor. Postkomunistów, lewaków razi przywiązanie tych mieszkańców do tradycyjnych polskich wartości narodowych, do religii katolickiej. Profesor Tomasz Strzembosz nazwał mieszkańców Jedwabnego oraz in-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

nych wiosek, miasteczek nadbiebrzańskich polskimi obywatelami pierwszej kategorii. Ziemia łomżyńska jest regionem bohaterskim, od wielu stuleci zasłużonym dla Rzeczypospolitej, zwłaszcza w okresie II wojny światowej, która tutaj trwała bardzo długo, a jej skutki odczuwalne są do dzisiaj. W nocy z 3 na 4 marca 1957 roku został zabity we wsi Jeziorko w gminie Piątnica podczas walki z oddziałem UB i KBW ppor. Stanisław Marchewka „Ryba". Był szefem samoobrony w łomżyńskim inspektoracie AK – WiN, ostatnim oficerem poakowskiego podziemia, który zginął z bronią w ręku.

„Rawicz" – nauczyciel i żołnierz

W rodzinach Ramotowskich każde młode pokolenia wychowywano w duchu patriotycznym, przekazując mu m.in. historię Konstantego Ramotowskiego „Wawra" – bohatera dwóch polskich powstań narodowych. Warto poznać ich losy.

Józef Ramotowski urodził się w 1909 roku w Janczewie w gminie Jedwabne. Po ukończeniu w 1932 roku Seminarium Nauczycielskiego w Łomży pracował jako nauczyciel w wiejskich szkołach. W 1939 roku zamieszkał z poślubioną w sierpniu tego roku żoną Janiną w Przytułach. 1 stycznia 1940 roku wstąpił do Związku Walki Zbrojnej i na terenie gminy Przytuły utworzył organizację konspiracyjną, w której objął funkcję zastępcy szefa placówki. ZWZ był niemal organizacją masową, należały doń całe rodziny. W styczniu 1944 roku został szefem wywiadu III Rejonu Obwodu Łomżyńskiego AK (gminy Jedwabne, Przytuły i Stawiski). W początkach działalności niepodległościowej używał pseudonimu „Skrzetuski", później „Kruk" i „Rawicz".

1 lipca 1944 roku „Rawicz" wpadł w ręce Niemców w Jedwabnem. Próby odbicia go przez żołnierzy ppor. Stanisława Marchewki „Ryby" i żołnierzy mjr. Jana Tabortowskiego „Bruzdy" nie powiodły się. Do 20 lutego 1945 roku przebywał w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen. W marcu 1945 roku powrócił na rodzinną ziemię, którą zniewalał już nowy okupant – bolszewicy. Ponownie rzucił się w wir pracy konspiracyjnej – we wrześniu 1946 roku objął funkcję zastępcy prezesa Obwodu Łomżyńskiego WiN. Zorganizował w Janczewie szkołę podstawową i podjął pracę nauczycielską. W marcu 1947 roku wraz z podległymi mu żołnierzami ujawnił się w PUBP w Łomży. Spróbował żyć normalnie – na ile oczywiście można było mówić o jakiejkolwiek normalności w tamtym okresie na ziemi łomżyńskiej. W 1948 roku przyszła na świat córka Grażyna, a dwa lata później syn Janusz.

Zagrożony aresztowaniem, postanowił się ukrywać. Ukrywał się samodzielnie, wykorzystywał kontakty z konspiracji, pomoc przyjaciół, rodziny. Latem 1952 roku dołączył do czatujących na bagnach biebrzańskich kolegów, mjr. „Bruzdy" i kpt. „Lipca". Dłuższe przebywanie w tym miejscu nie było jednak możliwe – por. „Rawicz" nabawił się w niemieckim obozie reumatyzmu, który dał znać o sobie. Do ukrywającego się samotnie por. „Rawicza" dołączył kpt. „Lipiec". Przebywali w zabudowaniach gospodarczych w miejscowości Grądy Małe. Niestety, zostali zdradzeni przez szpicla. 27 sierpnia 1952 roku zaatakowała ich grupa operacyjna KBW i UB. Kapitan Stanisław Cieślewski „Lipiec", były komendant Obwodu Łomża AK, w czasie brawurowej ucieczki poniósł śmierć, por. „Rawicza" rannego w nogę ubecy ujęli. Po trwającym długi czas śledztwie w Łomży i Białymstoku, sąd skazał Józefa Ramotowskiego na 7 lat więzienia. Zakład karny w Potulicach opuścił po rewizji wyroku w maju 1955 roku.

Dzięki pomocy kolegi udało mu się zdobyć pracę w szkole na tzw. ziemiach odzyskanych koło Iławy. W 1959 roku ukończył studia zaoczne na Uniwersytecie Warszawskim i uzyskał dyplom magistra filologii polskiej. W 1960 roku zamieszkał z żoną i dziećmi w Otwocku, jedenaście lat później zakończył pracę nauczycielską i przeszedł na emeryturę. W 1980 roku współtworzył koło emerytów nauczycieli NSZZ „Solidarność". Zmarł w 2001 roku. Wychował godnego siebie i rodziny Ramotowskich następcę – syna Janusza Przemysława, który był aktywnym działaczem antykomunistycznym, po wprowadzeniu stanu wojennego należał do kierownictwa Grup Oporu Solidarni RKW Mazowsze.

Ignacy, czarna owca rodziny

Jakże inaczej potoczyły się losy innego z rodzin Ramotowskich, Ignacego (rocznik 1922), który będąc w konspiracji niepodległościowej, przyjął pseudonim swego przodka powstańca „Wawer". Rodzice Ignacego, Aleksander i Rozalia z domu Budna, kupili w 1928 roku w Janczewie w gminie Bożejewo dwór szlachecki (nie mylić z Janczewem z gminy Jedwabne, z którego pochodził Józef ps. „Rawicz"). Ignacy zdążył przed wojną ukończyć cztery klasy gimnazjum w Łomży i uzyskać tzw. małą maturę. We wrześniu 1939 roku wraz z ojcem i dwoma braćmi, Tadeuszem i Jerzym, zostali osadzeni w obozie karnym w Działdowie, skąd po dwóch miesiącach udało im się uciec. W 1942 roku wstąpił do Narodowych Sił Zbrojnych, przyjmując najpierw pseudonim „Topola", a później „Wawer". W Komendzie Powiatu Łomża NSZ Ignacy Ramotowski zrazu pełnił funkcję oficera łączności, by z czasem jako oficer gospodarczy objąć też stanowisko zastępcy komendanta Powiatu. Kiedy na ziemię łomżyńską weszli Sowieci, w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym został powołany na stanowisko szefa wywiadu.

26 maja 1946 roku Urząd Bezpieczeństwa aresztował Ignacego Ramotowskiego. Po miesięcznym śledztwie por.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

„Wawer" wyraził zgodę na współpracę z bezpieką. Od 1 lipca 1946 roku pracował w WUBP w Białymstoku w charakterze referenta III Sekcji Wydziału III, nieetatowego funkcjonariusza. Oddziały PAS (Pogotowia Akcji Specjalnej) w odwecie za zdradę prześladowały jego rodzinę. Gospodarstwo ojca, Aleksandra Ramotowskiego, w Janczewie zostało dwukrotnie splądrowane i okradzione. Najgorsze jednak wydarzyło się 19 sierpnia 1947 roku. Oddział PAS, którym dowodził komendant Powiatu NZW Łomża „Podhale", por. Tadeusz Narkiewicz „Ciemny", wzmocniony udziałem byłego szefa PAS w Komendzie Powiatu NZW „Łaba Północna", ppor. Michała Bierzyńskiego „Sępa", zastrzelił matkę Ignacego, Rozalię Ramotowską. Zemsta za zdradę była okrutna – zginęła niewinna kobieta.

W połowie 1947 roku Ignacy Ramotowski uciekł za granicę na Zachód. Tam podjął współpracę z wywiadem brytyjskim. Po przeszkoleniu został przerzucony do kraju jako Jan Milewski. Otrzymał zadanie zorganizowania siatki wywiadowczej. 7 października 1948 roku został aresztowany w Szczecinie przez bezpiekę. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Wyrok został wykonany 18 października 1949 roku w więzieniu mokotowskim. Jak pisze Sławomir Poleszak, autor książki „Podziemie antykomunistyczne w łomżyńskiem i grajewskiem 1944–1957": „Zdrada »Wawra« była bardzo cenna dla organów bezpieczeństwa, znał on bowiem doskonale [...] strukturę i obsadę personalną Powiatu. Jednak bez dostępu do odpowiednich dokumentów nie można odpowiedzieć na pytanie, jakie rzeczywiste straty poniosła organizacja NZW w związku ze zdradą »Wawra«".

▶ „Iskra", łączniczka mjr. „Bruzdy"

Franciszka Ramotowska urodziła się 26 lutego 1922 roku w miejscowości Wagi Gnaty w gminie Przytuły. W 1940 roku przystąpiła do podziemia antysowieckiego, przyjmując pseudonim „Iskra". Miała niebywałe szczęście współpracować w podziemiu z wieloma wspaniałymi ludźmi. Do konspiracji wprowadziła ją Maria Turlińska, nauczycielka z Przytuł, która organizowała grupę dziewcząt sanitariuszek.

W 1944 roku, kiedy trwały przygotowania do akcji „Burza", mjr Jan Tabortowski „Bruzda" powierzył „Iskrze" funkcję łączniczki przy Komendzie Inspektoratu III Łomżyńskiego. Od tego momentu ich losy były ściśle ze sobą związane, „Iskra" stała się najbliższą, najbardziej zaufaną łączniczką mjr. „Bruzdy". Od czerwca 1944 roku domem „Iskry" była baza Kobielno na bagnach biebrzańskich. Tutaj leczyła 2 lipca rany po potyczce mjr. „Bruździe" i partyzantowi Hipolitowi Waniewskiemu „Huzarowi". W połowie sierpnia 1944 roku Sowieci internowali oddział mjr. Tabortowskiego w Zastoczu koło Knyszyna. „Iskrze" udało się zbiec i ukryć w miejscowości Zawady. Major „Bruzda" uciekł też z rąk Sowietów, odszukał swoją łączniczkę i zabrał ją z Zawad. We wrześniu 1944 roku Franciszka Ramotowska zamieszkała w Białymstoku. Pewnego dnia wypatrzył ją na ulicy Hipolit Waniewski, jak się okazało niebawem, konfident NKWD, tenże sam, któremu „Iskra" opatrywała rany na bazie Kobielno. W nocy z 14 na 15 stycznia 1945 roku „Iskra" została aresztowana przez NKWD. Enkawudziści chcieli uzyskać od łączniczki przede wszystkim informację o miejscu pobytu mjr. „Bruzdy". W czasie jednego z przesłuchań, wykorzystując moment nieuwagi śledczego, podjęła próbę ucieczki i wyskoczyła przez okno. Skok ten przypłaciła poważnymi obrażeniami kręgosłupa i miednicy.

20 kwietnia siedmioosobowy patrol partyzancki AKO pod dowództwem mjr. „Bruzdy" i ppor. Stanisława Marchewki „Ryby" przeprowadził sprawną akcję odbicia „Iskry" przebywającej w szpitalu wojskowym w Białymstoku przy ulicy Lipowej. Pod placówkę podjechali partyzanci specjalnie zarekwirowanym na ten cel samochodem poczty wojskowej.

Prawie dwa miesiące trwała kuracja na kwaterze w miejscowości Jeziorko, rodzinnej wsi por. „Ryby". Po tym czasie Franciszka Ramotowska wyjechała do Warszawy na dalszą rekonwalescencję. Otrzymała awans na stopień porucznika czasu wojny, została też odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. W Warszawie podjęła studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. 14 kwietnia 1947 roku ujawniła się w PUBP w Łomży. Z mjr. Janem Tabortowskim utrzymywała kontakt w czasie jego pobytu w Warszawie. Major „Bruzda" zginął 23 sierpnia 1954 roku w czasie akcji rozbrajania posterunku milicji w Przytułach koło Jedwabnego. Był ostatnim oficerem zawodowym Wojska Polskiego, który poległ w walce z komunistami.

Franciszka Ramotowska uzyskała w 1966 roku doktorat, a 10 lat później habilitowała się w Instytucie Historii PAN. W 1986 roku otrzymała tytuł profesora nauk humanistycznych. Profesor Franciszka Ramotowska swoje najważniejsze prace naukowe, publikacje poświęciła powstaniu styczniowemu. Ona dobrze wiedziała, jak z tradycji tego powstania czerpali siłę Żołnierze Wyklęci na jej rodzinnej ziemi i ona sama. Franciszka Ramotowska zmarła 23 października 2003 roku w Białymstoku. ■

_____

Przy pisaniu tekstu korzystałem z publikacji:
Tomasz Strzembosz, „Antysowiecka partyzantka i konspiracja nad Biebrzą X 1939 – VI 1941", Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2004; Sławomir Poleszak, „Jeden z wyklętych. Major Jan Tabortowski »Bruzda«", Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1998; Sławomir Poleszak, „Podziemie antykomunistyczne w łomżyńskiem i grajewskiem 1944–1957", Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2004; Jarosław Marczak, Janusz Przemysław Ramotowski, „Dossier Józefa Konstantego Ramotowskiego »Wawra«".

eprasa.pl 1fdc7c8e16

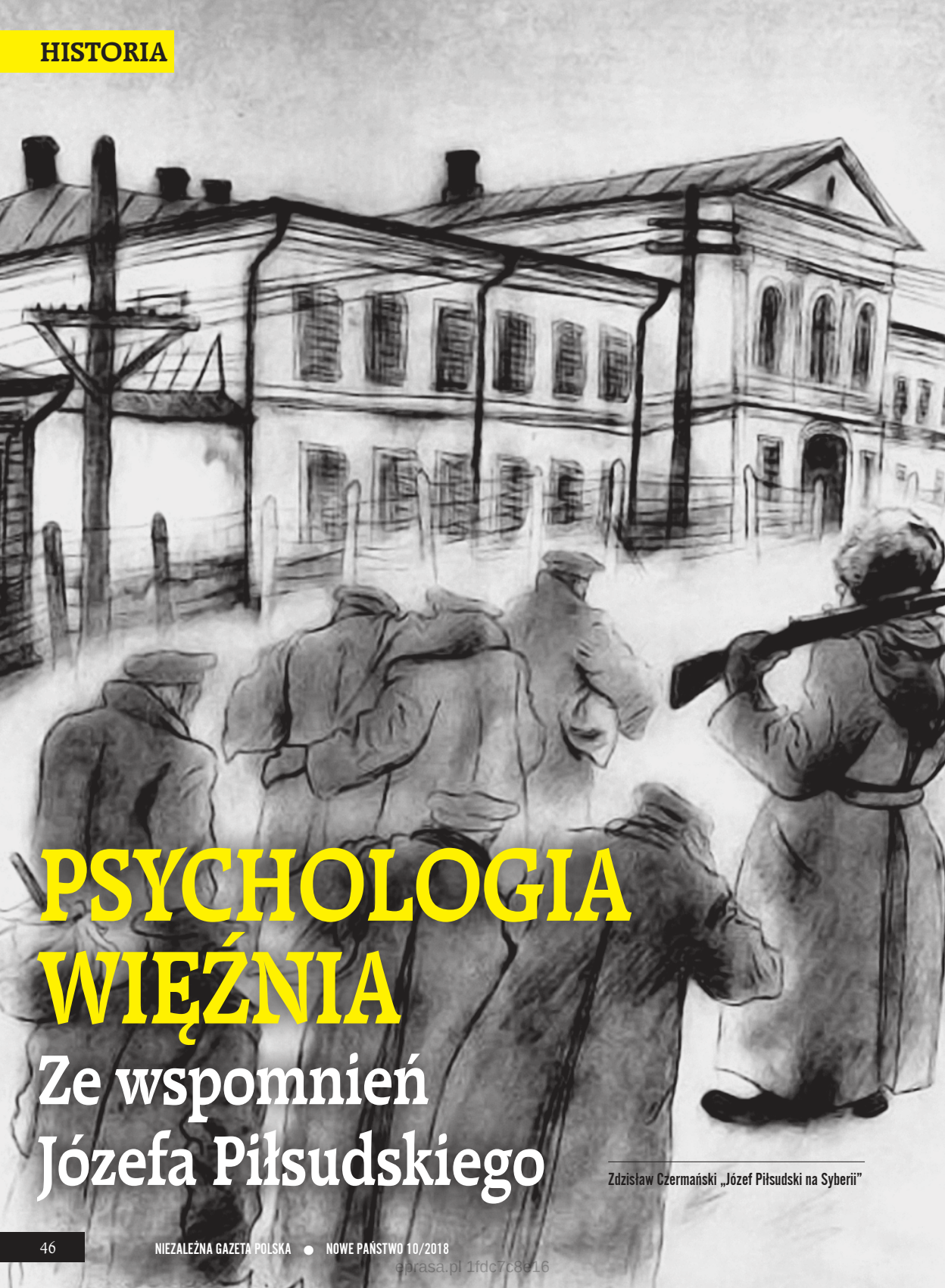

PSYCHOLOGIA WIĘŹNIA

Ze wspomnień Józefa Piłsudskiego

Zdzisław Czermański „Józef Piłsudski na Syberii"

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Agnieszka Kowalczyk

„W Polsce więzienie jest stałym, codziennym jak gdyby towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski" – stwierdził Józef Piłsudski w swym odczycie „Psychologia więźnia" (24 maja 1925 r.).

Józef Piłsudski dostrzegł tę smutną prawdę, że doświadczenia więzienne, począwszy od pierwszego rozbioru przez cały wiek XIX i kolejne lata XX, wrastały i zakorzeniały się w świadomości kolejnych pokoleń Polaków, którzy już z chwilą narodzin naznaczeni byli piętnem ludzi zniewolonych. Wszelki bunt przeciwko narzuconej władzy kończył się najczęściej wtrąceniem do X Pawilonu warszawskiej Cytadeli, do lochów Szlisselburga, do kazamat twierdzy Pietropawłowskiej bądź wygnaniem na Sybir stanowiący najrozleglejsze więzienie carskiego imperium – bez dachu i krat, ale i bez możności ucieczki. W XIX stuleciu do najbardziej mrocznych miejsc męczeństwa narodowego należały więzienia m.in. Św. Michała w Krakowie, karmelitów we Lwowie, kazamaty w Spielbergu, w Ołomuńcu, Poznaniu, Grudziądzu, Berlinie, w Warszawie (u karmelitów i Cytadela), Brześciu, Zamościu, Wilnie i Szlisselburgu.

Bunt więzienny w Irkucku

Piłsudski jeszcze w czasach studenckich został aresztowany i przewieziony do twierdzy Pietropawłowskiej, a następnie do więzienia śledczego w Petersburgu, po tym, jak wraz z bratem Bronisławem wmieszani zostali w spisek przeciwko carowi Aleksandrowi III. Okazuje się, że Józef udzielił wówczas pomocy przybyłemu do Wilna konspiratorowi Michałowi Kanczerowi, członkowi Frakcji Terrorystycznej Narodnej Woli, tajnej organizacji petersburskiej, która przygotowywała zamach na życie rosyjskiego imperatora. Kanczer przyjechał do Wilna po truciznę potrzebną dla skonstruowania bomb kryjących w sobie śmiercionośną substancję. Nieświadomy carobójczych zamiarów Józef przyjął go w swoim mieszkaniu i pomógł zdobyć pistolet, pieniądze oraz środki chemiczne z apteki Tytusa Paszkowskiego. Zamach nie doszedł jednak do skutku. Kanczera aresztowano, a ten podczas śledztwa wydał obu braci Piłsudskich. Po błyskawicznie przeprowadzonym procesie Bronisława czekało 15 lat katorgi na Sachalinie, a Józefa – pięcioletnie zesłanie do wschodniej Syberii.

25 maja 1887 roku, wprost z moskiewskiego więzienia w Butyrkach wyruszył Piłsudski wraz z osiemdziesięcioma innymi skazańcami na daleką Północ, by podzielić los tysięcy polskich wygnańców, a jego zesłańczy szlak wiódł teraz wprost z Butyrek do Niżnego Nowogrodu, potem zaś barkami przez Wołgę i Kamę do Permu. Minąwszy leżący za olbrzymim uralskim masywem górskim Tomsk, po przeprawie przez Irtysz i Ob dotarł do Krasnojarska, a dalej – do Irkucka. Droga była koszmarna, rodziła „w człowieku apatię umysłową i chorobliwą drażliwość", tym bardziej, że Piłsudski był jedynym Polakiem w konwoju

eprasa 1fdc7c8e16

i znosić musiał nie tylko surowy klimat, brudne i zapluskwione cele na kolejnych etapach, lecz także obecność kryminalistów oraz ordynarne zachowanie konwojentów. Zanim trafił do Kireńska nad Leną jako punktu docelowego, przyszło mu jeszcze przejść więzienną gehennę w Irkucku, gdzie oczekiwał na transport do czasu zamarznięcia rzeki. Irkuckim przeżyciom i doświadczeniom poświęcił szkic wspomnieniowy, stanowiący swego rodzaju „syntetyczny obraz martyrologii więziennej, przeżywanej w Rosji przez polskich zesłańców". Opisał w nim, jak trzynastu skazańców odważnie przeciwstawiało się więziennemu reżimowi, walcząc o sprawiedliwość dla swego współtowarzysza i nie chcąc dopuścić do jego zamknięcia w karcerze, po tym, jak niesłusznie oskarżony został o zlekceważenie policmajstra. Gdy z tego powodu część protestujących podstępem zamknięto w oddzielnych pomieszczeniach, pozostali, uzbrojeni w to, co mieli pod ręką, zdołali wypaść na korytarz i powyłamywać drzwi kolejnych cel, uwalniając swych kolegów, tym bardziej, że dozorca, mimo iż zaopatrzony był w pałasz i rewolwer, nie stawiał większego oporu. Piłsudski eksponuje ten moment tryumfu więźniów, nadając mu rangę moralnego zwycięstwa, co jeszcze bardziej uwydatnia kontrast między ofiarą a prześladowcą, bo gdy „przedstawiciel władzy, dozorca z fajką w gębie, oglądał zakłopotany niezwykłe spustoszenie: wygięte sztaby i złamane zamki", buntownicy stali „spoceni, triumfujący, rozradowani i rozśmieszeni zarazem tak łatwym i tak oryginalnym zwycięstwem".

Niedługo jednak przyszło im czekać na brutalny odzew ze strony carskiej władzy więziennej. „Żołnierze, jak wściekłe wilki rzucili się ku nam z podniesionymi karabinami – relacjonuje bieg wypadków Piłsudski. – Byliśmy skupieni w kącie pomiędzy piecem i ścianą, ja stałem w pierwszych szeregach. Podniosłem oczy, nade mną była kolba karabinowa. Odsunąłem ją ręką, kolba ześlizgnęła się po czole, lecz w tej chwili otrzymałem kolejne uderzenie kolbą po drugiej stronie głowy, potem drugie, trzecie... Krew zalała mi oczy, zachwiałem się na nogach, w głowie mi się zakręciło... Upadłem". Wtedy też wybito mu przednie zęby, których brak tuszował przez całe życie długimi, sumiastymi wąsami. Tymczasem rozprawa z buntownikami trwała dalej – wyciągano ich, jeden po drugim, na podwórze. Gdy Piłsudski ocknął się w objęciach dwóch żołdaków, instynktownie rzucił się do ucieczki aż pod więzienną bramę, gdzie wyrósł przed nim szereg żołnierzy z karabinami w ręku. Tam otrzymał ostatni cios kolbą w twarz. „W głowie mi huczało – opisywał to przeżycie – szedłem krokiem niepewnym, na pół omdlały; dusiły mnie bezsilna złość, a gorycz grubiańsko zdeptanej godności osobistej dławiła mi gardło. Słyszałem wokoło brutalne słowa żołdaków, podpędzających mych kolegów, słyszałem głuche dźwięki uderzeń". Ciągle dochodziły do uszu rosyjskie pokrzykiwania jego niedawnego oprawcy: „No, warnaczku, idź! Widzisz! Nie buntuj się!".

Bunt zakończył się dopiero podjęciem głodówki przez więźniów z chwilą, gdy okazało się, że po całym tym dramatycznym zajściu zabrakło wśród nich trzech towarzyszy, o których nie wiadomo było, czy przeżyli. Dzięki takiej formie protestu żądanie sprowadzenia ich do celi odniosło oczekiwany skutek. Trzeba też przyznać, że po tych wypadkach pozycja niepokornych zesłańców na terenie irkuckiego więzienia niepomiernie wzrosła i władza zaczęła się z nimi bardziej liczyć. „Żadne »naczelstwo« nam nie dokuczało, bało się zaglądać na nasze podwórze" – wyznaje Piłsudski – „nie zamykano nas nawet na noc", a gdy pojawiły się następne partie wygnańców, „nie przeszkadzano nam odgrywać rolę gościnnych gospodarzy i zapraszać nowych kolegów na obiady i kolacje »buntowników«". Niedługo jednak cieszyli się tą względną swobodą, bo oskarżeni o stawianie oporu więziennej władzy w konsekwencji otrzymali dodatkowe wyroki. Piłsudskiemu zasądzono karę półrocznego więzienia.

W X Pawilonie Cytadeli

Po powrocie z zesłania na ukochaną Wileńszczyznę rzucił się od razu w wir pracy konspiracyjnej. Pierwszym zaś krokiem do rozpoczęcia walki z caratem było według niego przeobrażanie świadomości Polaków tak, by za konieczne uznali przeciwstawienie się carskiej przemocy i dążenie do odzyskania niepodległości. Przekonywać miał ich do tego osobiście jako redaktor i wydawca konspiracyjnego pisma „Robotnik", które drukował od roku 1894 aż do kolejnego aresztowania w roku 1900, kiedy to zdekonspirowano jego tajną drukarnię w Łodzi. Do Cytadeli Warszawskiej trafił ze świadomością, że grozi mu wyrok najsurowszy – katorga, zesłanie albo nawet szubienica.

W swojej pierwszej książce „Bibuła", poświęconej pracy konspiracyjnej, a przede wszystkim redagowaniu i rozprowadzaniu tajnych druków, czyli tak zwanej bibuły, zamieszcza wspomnienie z osławionego X Pawilonu, gdy podczas przesłuchania dostrzegł na biurku oficera żandarmerii jedną z takich zakazanych broszur, przy narodzinach której był osobiście w Londynie. Spojrzawszy na nią, uświadomił sobie od razu, jak długą drogę musiała przejść, nim dotarła tu, do „przybytku nowoczesnej inkwizycji". Oczyma wyobraźni widział, jak przemycała ją partyjna „dromaderka", jak ukrywano ją w ciemnych koszach składu,

eprasa.pl 1fdc7c8e16

jak w pociągu leżała na dnie walizki, jak „drżała" pod okiem carskiej policji i wreszcie jak „rozpoczęła swoją służbę" pośród studentów, robotników, chłopów, jak przyjmowano ją z radością, zachwytem, ale i ze strachem. Mówi o bibule jak o wiernym towarzyszu broni, najserdeczniejszym kompanie, niezawodnym współbojowniku, z którym „dzieli się twarde obozowe życie rewolucyjne, z którym się zwycięża i ginie". Ramię w ramię walczyli, a teraz przyszło im zakończyć boje za kratami carskiego więzienia, gdy on – konspirator – i ona – konspiratorka – stali się ofiarami niespodziewanej demaskacji.

Sztuka przetrwania – sztuka ucieczki

Po raz ostatni został Piłsudski uwięziony w 1917 roku po „kryzysie przysięgowym" w Legionach Polskich. Wówczas to aresztowany przez tajną policję niemiecką przetrzymywany był kolejno w Gdańsku, w Spandau pod Berlinem, w Wesel nad Renem, aż w końcu przewieziono go do twierdzy w Magdeburgu, gdzie przyszło mu spędzić w niewoli 442 dni. Wszystkie te doświadczenia czyniły zeń prawdziwego „człowieka więziennego", który mógł podzielić się własnymi obserwacjami na temat psychologii więźnia, czyli stanów wewnętrznych, jakie towarzyszą przymusowemu odosobnieniu skazańca, jak i mechanizmów obronnych składających się na „psychologię walki z tym, co więzienie ciężkiego daje".

Zastanawiając się, czym tak naprawdę jest stan uwięzienia, Piłsudski definiuje je jako ograniczenie swobody materialnej do minimum i swobody ruchu do niewielkiej przestrzeni wyznaczonej przez cztery ściany, wiecznie zamknięte drzwi i zakratowane okno. Na udrękę psychiczną skazańca składa się zarówno poczucie absolutnej alienacji, jak i trudne do zniesienia doświadczanie nieustannej inwigilacji oraz ciążąca nad człowiekiem uwięzionym świadomość utraty panowania nad własnym życiem, samodecydowania o sobie zgodnie z własną wolą i pragnieniami. Piłsudski stara się wniknąć w psychikę więźnia, odwołując się do własnych przeżyć i doświadczeń innych współtowarzyszy niedoli, by móc wskazać drogi ratunku przed pustoszącym wewnętrznie stanem odrętwienia. Jedną z nich jest próba stworzenia pewnej, choćby najmniejszej, namiastki prywatności, jakiegoś ekwiwalentu własnego intymnego świata, do którego nie ma dostępu oko strażnika. „Ja należę do istot zuchwałych – wyznawał. – I dlatego robiłem sobie po ciemku nachuchania na szybie, aby choć przez chwilę stróż nic nie widział. Próbowałem schować się do kąta, aby się spłaszczyć, jak papier, przy ścianie". Nie ma też jego zdaniem więźnia, który nie myślałby o ucieczce i nie snułby szaleńczego planu wydostania się z tego miejsca – „jest to zawsze uporczywie wracająca myśl, która człowieka ściga i z którą się człowiek pieści. Uciec z więzienia! Wyjść z braku ruchu materialnego! Stać się człowiekiem, jak inni! Mieć możność przejścia się po ulicach!". Takie pragnienie ogarnęło Piłsudskiego, gdy znalazł się w Cytadeli przed zapadnięciem wyroku sądowego. Mając świadomość, że do tej pory nikomu nie udało się stąd wydostać, postanowił wytrwale udawać umysłowo chorego, by spowodować przeniesienie do szpitala psychiatrycznego, skąd przyjaciele-konspiratorzy będą mogli go łatwiej wydostać. Otrzymał wprawdzie z zewnątrz instrukcje, jak powinien się zachowywać, ale i tak zadanie było bardzo wyczerpujące psychicznie. Wymagało nieustannego głodzenia się w sytuacji, gdy żandarmi, by go złamać, przynosili najbardziej wykwintne i smaczne obiady, co stawało się nie do zniesienia. Jeszcze większą udręką okazało się samo udawanie obłędu – „ciągła baczność na swe ruchy, na wyraz twarzy, konieczność wypowiadania od czasu do czasu jakichś nonsensów". Kilkutygodniowa gra ze strażnikami i więziennym lekarzem wyczerpała Piłsudskiego do tego stopnia, że w pewnym momencie zaprzestał odgrywania swej roli, zaczął jeść i zachowywać się normalnie. I gdy myślał, że już wszystko stracone, niespodziewanie wywołano go do kancelarii po rzeczy. Okazało się, że ta przerwa w udawaniu była zbawienna, bo stanowiła naturalny etap w przebiegu choroby i utwierdziła władze w przekonaniu, że więzień nie symuluje. Przewieziono go do szpitala św. Mikołaja w Petersburgu, skąd działacze PPS-u zorganizowali jego ucieczkę dzięki pomocy młodego lekarza Władysława Mazurkiewicza, któremu udało się na ten czas zostać ordynatorem. 13 maja 1901 roku wyprowadził on pod rękę przebranego w cywilne ubranie Piłsudskiego przez pilnie strzeżoną bramę szpitala.

Świat wewnętrzny „człowieka więziennego"

Szukając możliwości psychicznego przetrwania w warunkach więziennych, Piłsudski doszedł do wniosku, że sztuką jest wytworzenie w sobie własnego niezależnego od nikogo świata duchowego, który daje poczucie wewnętrznej wolności i mocy. Odrzucenie cierpiętniczej pozy i przyjęcie aktywnej postawy walki powoduje, że zniewolony człowiek potrafi wysnuć z własnego wnętrza świat nowy – indywidualny, niepowtarzalny, powoływany do życia „z siebie samego" siłą wyobraźni i mocą pamięci. W „Psychologii więźnia" pisze: „Co do mnie zawsze się śmiałem, że jestem urodzony na więźnia, bo mnie łatwo przychodziło stworzenie sobie czaru życia. Mogłem w duszy swojej wysnuć najniemożliwsze bajki i my-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

śli, jedynie dlatego, że dusza łatwo pod tym względem pracowała [...]. Mogłem walczyć z warunkami więzienia, miałem szybką i żywą fantazję i umiałem stworzyć sobie życie, w którym swobodniej szalałem, niż można szaleć w codziennym życiu". Najlepszym tego świadectwem jest skreślony z literackim zacięciem obrazek „Ze wspomnień" opowiadający o pierwszym dniu pobytu Piłsudskiego w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Uderzającą cechą jest tu humor – więzienny, wisielczy, przekorny. Żartobliwy ton narracji, jaki przyjmuje Piłsudski, opisując to miejsce, wypływa z potrzeby uzewnętrznienia buntu wobec prześladowcy. Groza sytuacji, w jakiej znalazł się więzień, zostaje rozbita za pomocą pewnej dozy komizmu i przyjęcia postawy demaskatora, co stanowi nie tylko psychologiczny mechanizm obronny, lecz przede wszystkim służy dyskredytacji wroga, ośmieszeniu katów i umniejszeniu ich roli. O Cytadeli i jej władzach Piłsudski pisze tak, jakby nie miał do czynienia z carskim więzieniem i bezwzględnymi oprawcami, lecz z bankrutującym hotelem i z jego nieco nieudolną obsługą, ugrzecznioną i nieledwie kurtuazyjną w obyciu, choć dość obmierzłą i niechlujną. Wchodzi więc w progi Cytadeli „wesół i podniecony" w towarzystwie dwóch żandarmów, prowadzących go wprost do biura X Pawilonu, gdzie zostaje niezwykle uprzejmie przyjęty przez sztab-rotmistrza żandarmerii, P. Farmuda, który w jego ujęciu zyskuje swój karykaturalny portret – jest „grzeczny i słodki w obejściu", ma „uśmieszek na ustach pod wymuskanym wąsikiem przymilający się" i „ciemne oczy wyrazu łaszącego się kota". Po wymianie uprzejmości „paradna asysta" złożona z żandarma i żołnierza uzbrojonego w karabin z bagnetem odprowadza Piłsudskiego do celi numer trzydzieści dziewięć, gdzie w kącie czekają już na niego walizki.

Cela była duża o szarych, źle pobielonych ścianach i ciemnoszarej podłodze, wszędzie dokoła panował potworny brud, obok stołu pokrytego grubą warstwą tłuszczu stał wiejski drewniany stołek, a przy ścianie straszyło żelazne łóżko z dziwacznie powykrzywianymi częściami; w powietrzu zaś czuło się stęchliznę w połączeniu z zapachem dawno niewietrzonego i niezamieszkanego na stałe pokoju. Ten widok nędznej i ponurej celi potrafił jednak Piłsudski całkowicie przetworzyć w swojej wyobraźni, tak by pozbawić ją groźnego i przygnębiającego charakteru, zestawiając z miejscem swojskim, choć równie nędznym i brudnym – z żydowską karczmą w jakimś zapadłym litewskim kącie, gdzie niegdyś trafił przypadkiem na nocleg. Z dala karczma wyglądała całkiem przyzwoicie, ale z bliska zdawała się prawdziwą ruderą. Pokój zaś, do którego zaprowadził go stary Żyd, okazał się żywą kopią jego celi z X Pawilonu: „Brudny stół i podłoga, wykoszlawione łóżko, poszarpane i połupane drzwi, nawet drewniana, brudna, napełniona piaskiem spluwaczka w kącie pokoju – wszystko to, a szczególnie miły zapach zgnilizny, nasunęły mi żywo przed oczy karczmę litewską". Piłsudskiemu przypomniał się gospodarz tego przybytku, stary Icek o melancholijnym spojrzeniu, i jego córka Sura, tęga Żydówka „nie myta, nie czesana od Bóg wie kiedyś, z zaspanymi oczami, w brudnej, zaszarganej spódnicy i nieszczelnie zapiętym kaftaniku", wnosząca dla gościa samowar – przedmiot dumy bankrutującej karczmy.

Tę spontaniczną pracę wyobraźni i pamięci przerwało nagle wejście żołnierza-posługacza z obiadem, który w postrzępionym mundurze, w wykrzywionych i połatanych butach, z dobroduszną miną do złudzenia przypominał Piłsudskiemu Surę z litewskiej karczmy, choć zamiast samowara, przynosił brudną, cynową łyżkę, wyjętą wprost z kieszeni. To nieoczekiwane porównanie tych dwóch nieprzystających do siebie światów wywołuje w czytelniku śmiech i pozwala widzieć w strażniku więziennym nie srogiego przedstawiciela władzy zaborczej, lecz jakiegoś niegroźnego safandułę, który swój obowiązek obsługi więźnia spełnia z namaszczeniem, jak najpoważniejsze z zadań, co potęguje dodatkowo komizm sytuacji. Ten sam ton żartu i kpiny wymierzony w system carskich represji pojawia się także w zakończeniu szkicu – równie błyskotliwym i tryskającym humorem:

„Swoją jednak drogą siadłem do obiadu ze złością – wspomina Piłsudski. – Ta łyżka, wyciągnięta z brudnej kieszeni znoszonych spodni, irytowała mnie.

– Masz ci bankrutującą karczmę! – mruknąłem z gniewem. Ileż to już pokoleń, siedząc w tej dziurze, marzyło o zbliżającym się jej bankructwie!".

Do tego, by zapewnić sobie małą chociażby namiastkę niezależności, wystarczały czasem metody dość prozaiczne. Piłsudski wspomina, że całymi godzinami uczył się w celi angielskiego, a jako namiętny szachista w pietropawłowskiej fortecy zrobił sobie szachownicę własnego pomysłu na książce i niewprawnymi rękami ulepił do niej figury, a swój skarb, jak wyznał, wykonał na urągowisko „bezlitosnym katom", sprytnie ukrywając go przed codzienną rewizją. Przytacza też „sposoby na życie" innych skazańców zamkniętych w twierdzy Szlisselburskiej. Jednym z nich jest Ludwik Janowicz, który, by przetrwać szesnastoletnią katorgę, studiował w celi wszelkie dostępne materiały, „szmatki małe, jakie mu się udało dostać do czytania", by za pomocą tych skąpych źródeł udowodnić „konieczność niepodległości Polski". I choć później przeszedł załamanie psychiczne i popełnił samobójstwo, cały zesłańczy żywot wypełniało mu prowadzenie badań statystyczno-histo-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

rycznych, które zaowocowały napisaniem rozprawy „Szkic rozwoju przemysłowego Polski", wydanej już po jego śmierci w Krakowie.

Inny z kolei – przyrodnik Józef Łukaszewicz, któremu wyrok śmierci zamieniono na 18 lat twierdzy – za jej murami „bada trawki, rosnące mizernie na podwórzu więzienia, szuka śladów życia tam, w Szlisselburgu, na tej przestrzeni 100 sążni czy 100 metrów kwadratowych. Skończony wielki umysł przyrodniczy, który duszę ratuje w ten sposób". Po uwolnieniu kontynuował swe badania już jako profesor i rektor Instytutu Geograficznego w Petersburgu, a potem na Uniwersytecie Wileńskim.

Sam Piłsudski postanowił natomiast zbadać w więzieniu duszę nieprzyjaciela – wniknąć w jego sposób myślenia, postrzegania i odczuwania świata, w motywacje nim kierujące. W „Psychologii więźnia" wyznawał: „Łukaszewicz badał faunę i florę, ja zawsze badałem w każdym więzieniu największego przedstawiciela fauny – człowieka. Wszystkich dozorców, każde drgnięcie muskułów, każdą zmianę łapałem natychmiast, szukałem człowieka, i zgodnie z moim charakterem, człowieka walczącego, człowieka, który przed walką nigdy się nie cofa – szukałem nieprzyjaciela, by go zbadać i zrozumieć. [...] Spędziłem godziny, podsłuchując, jak dozorcy z sobą rozmawiają, i badając ich psychikę".

Kuźnia ducha

Remedium na umysłową bezczynność, a zarazem swoistą psychologiczną terapię stanowiła dla więźnia jeszcze inna forma aktywności, o której wprawdzie Piłsudski nie mówi w swoim odczycie, ale która pomagała mu przetrwać trudny czas przymusowego odosobnienia w twierdzy magdeburskiej. Mowa o procesie twórczym, stanowiącym w XIX wieku, ale i w początkach XX wieku, swoisty składnik więziennej subkultury spiskowców. Najczęściej utrwalano w ukryciu osobiste wspomnienia, w szczególności zaś tworzono wiersze, które rodziły się z potrzeby moralnej samoobrony oraz z myślą o psychicznym wsparciu dla współtowarzyszy niedoli oraz dla tych, którzy pozostali na wolności. Po pióro sięgali częstokroć skazańcy niezwiązani z profesją pisarską, którzy zwykle w sposób nieporadny artystycznie, używając niewyszukanych środków poetyckich, wyrażali swoje tęsknoty i marzenia, nadając niejednokrotnie osobistym wyznaniom formę testamentu bądź zapisu więziennych przeżyć. „Akt twórczy – pisze Zdzisław Szeląg – stwarzał więźniom iluzję normalnego życia, dawał im poczucie niezależności, wolności duchowej. Wierszowanie nierzadko było intencjonalnym przedłużeniem nielegalnej działalności. Za pomocą poezji skazaniec próbował przeciwdziałać załamaniu i zdradzie, skupić współwięźniów w oporze przeciw zaborcy".

Los sprawił, że i Piłsudski znalazł się w tym szczególnym gronie aktywnych twórczo więźniów. Przypisuje się mu autorstwo dwóch utworów poetyckich. Pierwszy to wierszowany list pożegnalny do ojca z pietropawłowskich kazamat, a drugi to powstały w warszawskiej Cytadeli pisany oktawami poemat „Cela Nr 26", w którym pobrzmiewają wyraźnie echa „Beniowskiego". Prawdziwe uznanie natomiast przyniosły późniejszemu Marszałkowi zrodzone w magdeburskiej niewoli szkice legionowe. Przejmująca cisza więzienna i irytujący niemiecki porządek sprawiały, że coraz bardziej zżerała go tęsknota za „barwną i pełną ruchu wstęgą życia wojennego" i wtedy też, jak wyznawał, podczas długich, samotnych przechadzek całkowicie zatapiał się we wspomnieniach z niedawnej żołnierskiej przeszłości i wówczas „oczy przestawały widzieć, uszy słyszeć, serce bić mocniej, by móc te prawie zmysłowe wrażenia zamknąć w rozmyślania analityczne". Chcąc zadość uczynić głębokiemu pragnieniu zilustrowania własnym życiem tajników dowodzenia, napisał „Moje pierwsze boje" – legionowy tryptyk wspomnieniowy, żywy i porywający, pozwalający wniknąć w głąb psychiki wodza.

Piłsudski, zmierzając do zakończenia swego studium psychologii więźnia, akcentuje fakt, że przez 150 lat „psychika więzienna była czymś, co dotykało głęboko ludzi w Polsce", bo „nie istniał człowiek, który by, przebiegając życie polskie dawnych czasów, o więzienie się nie otarł, o więzieniu nie mówił, do więzienia się nie zbliżał". Więzienie stało się więc, jak całą rzecz metaforycznie ujął, „towarzyszem życia Polaka od kolebki aż do grobu". Najwymowniejszym bodaj literackim symbolem więziennego losu naszych rodaków był dla niego Mickiewiczowski Konrad z III części „Dziadów", którego postać przywoła w swym głęboko refleksyjnym odczycie, chcąc uświadomić Polakom, że więzienie to dla skazańca także kuźnia ducha, miejsce wewnętrznego przeobrażenia dającego mu siłę obrony przed całkowitym poddaniem się fizycznemu i psychicznemu zniewoleniu – tam bowiem „rodzi się nowy człowiek więzienny, człowiek stworzony przez własną potęgę, przez własną siłę duszy, przemienioną w diament, który rył najtwardsze przedmioty i potem tak cudnie błyskał w mickiewiczowskiej twórczości. Ten diament stworzyła siła wewnętrzna człowieka, który przeszedł przez twardą próbę". Takich Mickiewiczowskich Konradów, dla których więzienie stało się „żywą cząstką duszy", widział Piłsudski niejednokrotnie w ludziach swojego pokolenia, którzy „przebiegali życie więzienne z walką i buntem w duszy, tworząc z siebie i ze swych małych i wielkich cierpień pracę kultury polskiej". ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Ewa Polak-Pałkiewicz

List do króla

Nie raz przyszło mu walczyć z dziką przyrodą Azji i Oceanii, ukrywać się przez wiele tygodni w puszczy, by nie wpaść w ręce muzułmanów, unikać śmierci wśród drapieżnych zwierząt i węży trucicieli, nie dać porwać się falom rozszalałego morza, ratować się przed śmiercią z rąk rozbójników, piratów i kanibali. Wszystko to przetrwał, bo był mężem nieustannej modlitwy. To dzięki niej pokonywał wszelkie przeszkody.

W młodości Franciszek Ksawery (1506–1552), zubożały szlachcic z Nawarry, marzył o błyskotliwej karierze kościelnej. Przystojny i wytworny młodzieniec, syn profesora uniwersytetu w Barcelonie, studiując w Paryżu filozofię i teologię, posiadał już w głowie precyzyjny plan, jak się w przyszłości urządzić; jego życie miało być możliwie najbliżej ideału stabilności, wygody, a nawet luksusu. Gromadził pracowicie dokumenty z archiwów rozległej rodziny. By ubiegać się o fotel w Kapitule Pampeluny, musiał dowieść arystokratycznego pochodzenia, wykazać się trzydziestoma dwoma przodkami „błękitnej krwi".

Franciszek i Ignacy

Pokój w paryskim Kolegium św. Barbary dzielił z pewnym niskim, starszawym jegomościem, ubogim jak mysz kościelna. Ten Hiszpan o imieniu Ignacy, tak jak on student Sorbony, żył z jałmużny i nie miał żadnego formalnego wykształcenia, a o swoim szlachectwie i świetnej rycerskiej przeszłości (był obrońcą Pampeluny w czasie najazdu Francuzów) zdawał się w ogóle nie pamiętać. Franciszkowi Ksaweremu zdarzało się pożyczać od tego żebraka pieniądze, których ten nigdy nie odmawiał, a nawet jakimś niepojętym sposobem dyskretnie podsyłał Franciszkowi zamożnych uczniów, żeby dorobił sobie do studiów. Franciszka, tak ceniącego ogładę towarzyską i znanego z wykwintnego obejścia, napełniały niesmakiem dziwne znajomości towarzysza z pokoju, z ludźmi bez nazwiska i bez światowych ambicji. Ignacy z czasów paryskich studiów tymczasem w niczym nie przypominał niegdysiejszego hiszpańskiego eleganta, nierozstającego się ze szpadą i niepuszczającego płazem żadnej zniewagi. Był wówczas tak bardzo przywiązany do swojego wizerunku – jakby to dziś powiedziano – przystojnego rycerza w kosztownych szatach, że potrafił, po odniesieniu paskudnej rany w bitwie, którą dowodził, kazać sobie „na żywca" odpiłować kawałek sterczącej kości piszczelowej, by noga zmieściła się w obcisłych jedwabnych spodniach i dopasowanych butach według ostatniej mody.

Tymczasem ambitny student paryskiego uniwersytetu, a wkrótce i tutejszy wykładowca filozofii, Franciszek Ksawery, który z taką pogardą patrzył na styl życia Ignacego w Paryżu, w przyszłości miał wielką część swego życia spędzić w niesprzyjającym jakiejkolwiek karierze, całkowicie obcym, a często zupełnie wrogim i dzikim otoczeniu jako samotny misjonarz, a nawet pustelnik. Sam na sam z Bogiem.

Ten porywczy i nieustępliwy młody człowiek, bystry, oczytany i przedsiębiorczy, przyszły święty, najbliższy przyjaciel, jak się wkrótce okazało, Ignacego Loyoli, jeden z pierwszych dziesięciu jego towarzyszy – którzy po zakończeniu studiów, złożeniu ślubów w kaplicy na Mont-

fot. Arch.

eprasa 1fdc7c8e16

martre i zatwierdzeniu reguły przez papieża zaczęli nazywać się jezuitami – przyjął dobrowolnie los działającego w pojedynkę apostoła ludów Dalekiego Wschodu.

Papież, na usilną prośbę króla Portugalii Jana III, wyraził pragnienie, by czterech z dziesięciu współbraci Ignacego Loyoli, kapłanów w jezuickich sutannach, wyruszyło na misje do Indii. Założycielowi zostało „tylko sześciu na resztę świata", jak ujął to Ignacy, zmierzający nieustępliwie do „podbicia całego świata", *Ad majorem Dei gloriam* – jak głosi jezuicka dewiza. Sam Ignacy musiał pozostać w Europie, choć nienasyconym pragnieniem jego życia było poprowadzenie krucjaty przeciwko Turkom, a przynajmniej udanie się ze swymi uczniami na Wschód, by nawrócić muzułmanów.

„Wyjątkowość Towarzystwa Jezusowego – przypomina Vittorio Messori[1] – polega właśnie na tym, że nikt przedtem (żadni cesarze rzymscy, a nawet papieże) nie wysunął projektu podboju świata, tak jak uczyniła to garstka ludzi, która przyjęła wojskową nazwę (la Compagnia) i która – co trąci niesłychaną zuchwałością – ten żołnierski termin połączyła z ziemskim imieniem samego Chrystusa".

Z powodu chorób i innych nieprzewidzianych zdarzeń spośród czterech zakonników, którzy mieli wyruszyć do Indii, został tylko Franciszek Ksawery. Dla tego człowieka niegdyś wielkich namiętności i równie wielkich pragnień wspaniałej kariery, ta całkowita samotność nie stała się przeszkodą w zagarnianiu ludzkich dusz dla Boga. Przeciwnie, rozwijała jego determinację, talenty organizacyjne, wyzwalała niespożyte siły psychiczne i fizyczne, zmuszała do nieustannej czujności i wymyślania sposobów najskuteczniejszego działania w warunkach ekstremalnych.

▶ Tak wiele łez pociechy się tu wylewa!

Potrafił niezwykle elegancko i z wdziękiem wpraszać się na obiad do osób ustosunkowanych. – w Indiach było w tym czasie wielu Europejczyków, muzułmanów, żydów, prawosławnych – zjawiał się też niespodziewanie w podejrzanych tawernach, gdzie grywano w karty i kości, i gdzie sam zasiadał do gry, by „pozyskać jakąś duszę dla Chrystusa". Był natchnionym kaznodzieją, katechetą, wykładowcą w szkółkach, które zakładał – zbierał uczniów, chodząc po ulicach i drogach i dzwoniąc dzwonkiem. Był, jak pisze jego biograf, włoski karmelita, o. Antonio Sicari, „krzewicielem odnowy moralnej, nauczycielem modlitwy, spowiednikiem, opiekunem chorych i umierających", których przygotowywał na chrześcijańską śmierć. Był przede wszystkim mężem nieustannej modlitwy, dzięki której pokonywał wszelkie przeszkody, także jawną wrogość miejscowych władców i prześladowania religijnych przywódców. Choć od papieża otrzymał tytuł nuncjusza apostolskiego „wobec wszystkich książąt i panów Oceanii, prowincji i krajów na obszarze Indii, od krańca do krańca przylądka o nazwie »Dobrej Nadziei« i ziem z nimi sąsiadujących", musiał nie tylko niezliczoną ilość razy walczyć z dziką przyrodą Azji i Oceanii, ukrywać się przez wiele tygodni w puszczy, by nie wpaść w ręce muzułmanów, unikać śmierci wśród drapieżnych zwierząt i węży trucicieli, nie dać się porwać falom rozszalałego morza, ale także ratować się przed śmiercią z rąk rozbójników, piratów i kanibali.

Cóż w istocie oznaczał fakt, że był nuncjuszem? „W praktyce zażądano od niego – ni mniej, ni więcej – tylko »pozyskania dla krzyża Chrystusowego niemal jednej czwartej ziemskiego globu«". Nie przeraził go zakres misji i nigdy w jej skuteczność nie zwątpił. Spośród dziesięciu lat, które spędził na misjach, dwa lata przypadły na Indie, dwa na wyspy w archipelagu Moluki, Celebes i Nową Gwineę, dwa na Japonię. Resztę czasu spędził w podróży, w tym trzy lata na morzu, wśród pogan i marynarzy, z reguły pijaków, rozpustników i bluźnierców, gdzie także pełnił swoją misję z żarliwością. „Mnie dobrze jest trwać przy Bogu!" – powtarzał w chwilach największych cierpień i najgorszych zagrożeń.

Jedyną formą więzi Franciszka Ksawerego ze wspólnotą zakonną były listy. Usilnie starał się tę więź podtrzymać. Błagał o długie listy od współbraci, ze szczegółową relacją o życiu każdego z nich. „Nie odmawiajcie mi tej łaski" – prosił. „Kiedy raz do roku będziecie pisać do mnie do Indii, opowiadajcie mi o wszystkich po kolei, tak żebym mógł ten jeden list czytać cały tydzień. Ja odpłacę się wam tym samym". Prosił każdego z nich o szczegółowe wskazówki dotyczące apostolstwa wśród ludów Azji – „mam nadzieję, że za waszym pośrednictwem Pan wskaże mi, jak powinienem postępować, aby tych [braci] nawrócić na wiarę świętą w Niego!".

Nić jednak nieustannie się rwała. „W tamtych czasach, aby przebyć drogę z Rzymu do Japonii i z powrotem, posłaniec potrzebował prawie czterech lat... jeśli wiatry były pomyślne! Toteż pierwsze listy, jakie otrzymał Franciszek, były prawie ostatnimi". Wskazówki duszpasterskie otrzymywał najwyraźniej inną drogą – musiał w samotności decydować, „obierając jako kryterium pociechę wewnętrzną, jaką Bóg pozwala mu odczuć w sercu, kiedy dokonuje właściwego wyboru". Tych pociech Pan Bóg mu nie odmawiał, skoro w czasie, gdy przeniósł się z rejonu Malabaru, którego mieszkańcami byli głównie poławiacze pereł, na wybrzeże zasiedlone prawie wyłącznie przez piratów, w ciągu jednego miesiąca ochrzcił 10 tys. osób.

„Niebezpieczeństwa, na które wystawiony jestem – pisał do braci w Europie – prace, które podejmuję, są źródłami niewyczerpanymi radości duchowych, tak dale-

[1] Vittorio Messori, „Przemyśleć historię. Katolicka interpretacja ludzkiego losu" (rozdział „Jezuici"), Kraków, 1999.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

ce, że te wyspy, gdzie wszystkiego niedostaje, mogą przyprawić o utratę oczu, tak wiele łez pociechy się tu wylewa, a pociechy te są tak czyste, tak wzniosłe, tak ustawiczne, że odejmują czucie boleści ciała...". W każdej trudnej sytuacji „ćwiczy swego ducha", jak zalecał w ćwiczeniach jego ojciec duchowy Ignacy. Zawsze po katechezie i chrzcie osobiście nadzorował palenie pagód i posągów bożków, co nakazywał nowo ochrzczonym. Mówił, że nic nie raduje go bardziej, „jak widok fałszywych idoli niszczonych osobiście przez tych, którzy je kiedyś czcili". Potem jedynym jego zmartwieniem było, by kościelne władze przysłały następnych misjonarzy, którzy podjęliby jego pracę i utrwalaliby jego zdobycze.

Wyciąłem wasze imiona

10 maja 1546 roku Franciszek Ksawery zwierza się swoim współbraciom w liście: „By nigdy was nie zapomnieć, by zachować pamięć o was, wspomnienie niezatarte i szczególnie drogie, będące mi wielką pociechą, wiedzcie, bracia moi najdrożsi, że wyciąłem wasze imiona z listów, które od was otrzymałem; imiona zapisane przez was własnoręcznie, i złożyłem je razem ze słowami moich ślubów zakonnych. Ku pociesze, jaką z nich czerpię, noszę je zawsze na sercu". List, jaki otrzymał po czterech latach od Ignacego Loyoli, czytał na kolanach. Odpowiedział nań: „Mój prawdziwy Ojcze, pośród tak wielu krzepiących i świętych słów zawartych w twym liście przeczytałem na końcu: »Cały twój i zawsze o tobie pamiętający Ignacy«. Piszę o tym ze łzami, tak jak ze łzami te słowa czytałem... Żyliśmy na ziemi oddzieleni od siebie nawzajem dla Jego [Chrystusa] miłości...".

Samotność wśród ludzi całkowicie innej kultury ma wyjątkowy smak. Franciszek Ksawery był misjonarzem, czyli kimś, kto spalał się w miłości do Boga i do ludzi, w każdym zakątku olbrzymiego dalekowschodniego świata. „Czuł się posłany zarówno do niewykształconych pogan, którzy oddawali cześć bożkom, do ubogich niewolników pozbawionych nadziei, do zamożnych i wpływowych muzułmanów, jak i do portugalskich katolików, za których się wstydził, bo ich haniebne postępowanie było przerażającym »antyświadectwem« dla jego nauczania", pisze jego biograf. Żeby nawracać wyznawców fałszywych religii uczył się nieustannie nowych języków i dialektów; zabierało mu to mnóstwo czasu. Do Japonii dotarł „na pokładzie dżonki dowodzonej przez pirata, który składał ofiary idolom i słuchał jakiejś dziwnej wyroczni". Napisał potem, że w czasie tej podróży czuł się „igraszką diabła".

Obserwując wyszukane maniery Japończyków, ich snobizm, żarliwy kult nauki, pogardę dla posłańców, których wygląd nie nosił śladów zewnętrznego splendoru, Franciszek na ziemi japońskiej zatroszczył się od razu o przesłanie mu z Indii akcesoriów stanowiących dla wyspiarzy oznaki dostojeństwa i powagi. „Ubrany w jedwabne szaty godne księcia, przywożąc ze sobą cenne przedmioty, między innymi zegar wybijający godziny, rusznicę, szpinet, kilka par okularów, przybył do miasta [Yamaguchi] w lektyce i w otoczeniu świty, jak poważny i szanowany ambasador... Pojął, że czas wykorzystać wszystko, czego się nauczył w czasach paryskich. Zaczął rozprawiać o kometach, o zjawiskach niebieskich, o mądrości...". Japończycy cenili „»mistrzostwo w sztuce« (to znaczy w filozofii i naukach ścisłych)", uwielbiali uczone dysputy z misjonarzem, czuli się jednak uzależnieni kulturowo od pobliskich potężnych Chin i wpatrzeni w nie z odcieniem podziwu i zazdrości. Nawrócenia w Japonii były nieliczne i wymagały ogromnego wysiłku. Przedstawiciele tutejszych elit pogrążeni byli w nałogach, które, jak zwięźle określał Franciszek, czyniły ich „bardziej brudnymi od świni i gorszymi od złych psów".

„Jeśli to, co mówisz, jest prawdą – słyszał nieraz od Japończyków – to dlaczego nic o tym nie wiedzą w Chinach?". To pytanie wystarczyło, by rozpoczął organizowanie kolejnej wyprawy. Choć siły jego wyraźnie słabły, nie zawahał się przed perspektywą podjęcia jeszcze większego wysiłku i jeszcze większych trudów, prowadzony niezawodną zasadą św. Ignacego: „Ci, którzy chcą przynależeć do naszego Towarzystwa, muszą odpędzić od siebie wszystkie lęki, mogące stać się przeszkodą dla wiary, nadziei i zawierzenia Bogu".

Jakże się zdziwisz, królu!

Jednak największym konfliktem, w jakim przyszło mu osobiście wziąć udział, nie były zmagania z przedstawicielami dzikich ludów czy potyczki intelektualne z wyrafinowanymi pyszałkami z Dalekiego Wschodu. Było nim starcie z królem Portugalii, który, mimo deklarowanej wiary w Chrystusa, nie troszczył się o swoje ziemie (część Indii była kolonią portugalską). Pozwalał, by szerzyły się tu nieuczciwości wszelkiego rodzaju, podsycane dziką żądzą zysku. Król Portugalii dawał antyświadectwo Ewangelii, której św. Franciszek tak gorliwie nauczał. On, który osobiście dopilnowywał, by po przyjęciu chrztu przez mieszkańców ziem, na które przybywał, palone były natychmiast pagody i posągi bożków, nie był w stanie pogodzić się z tym, że pod panowaniem chrześcijańskiego państwa pozwala się na ordynarne kradzieże i przemoc.

„Kiedy Bóg będzie Cię za to sądził, królu, nie wytłumaczysz się, że nic o tym nie wiedziałeś, bo moje listy będą świadczyć przeciwko tobie" – oświadczył twardo w korespondencji do europejskiego władcy. Oczekiwał od króla Portugalii roli obrońcy cywilizacji chrześcijańskiej, jaką wyznaczał jego status, jaką określały jego obowiązki stanu. „Miej się na baczności, królu" – pisał dalej obdarty misjonarz, którego cały majątek stanowił bre-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

wiarz, przybory mszalne i to, co miał na grzbiecie – „bo królestwa przemijają, rządy się kończą. Jakże się zdziwisz, gdy w godzinie śmierci przekonasz się, że nie masz już królestwa ani władzy i stałeś się poddanym innego Króla, w innym królestwie, i odtąd będziesz musiał słuchać rozkazów, ty, który tyle razy rozkazywałeś, obyś tylko nie został skazany – Boże nie dopuść! – na wygnanie z raju" (Antonio Sicari).

Z taką mocą przemawiać może tylko głosiciel Ewangelii. A zarazem człowiek gruntownie wykształcony, świadomy, że jest obrońcą prawdy i cywilizacji chrześcijańskiej. Franciszek Ksawery, wyznawca Chrystusa, wysłannik papieża do specjalnych zadań, występował oficjalnie w obronie nierozerwalnego sojuszu ołtarza i tronu. Takich ludzi potrzebowała wtedy Azja, by ewangelizacja mogła tu się naprawdę dokonać. Takich potrzebuje dziś Polska i Europa, by uchronić się przed ostateczną zagładą. Wyjaśnijmy: „Rzeczą najbardziej charakterystyczną dla cywilizacji chrześcijańskiej było współdziałanie Kościoła i państwa, władzy duchowej i świeckiej, w umacnianiu w danym narodzie Królestwa Bożego i w strzeżeniu go przed wrogami" – pisze jeden ze współczesnych kapłanów. „Pomijam [...] zagadnienie supremacji władzy papieskiej (papież namiestnikiem Jezusa Króla) nad władzą cesarską lub królewską i tylko odwołam się do egzemplarnego modelu funkcjonowania tej dwuwładzy w cywilizacji chrześcijańskiej, by ukazać niezbywalność wynikającego z niej sojuszu (wspólnoty) tronu i ołtarza, czyli ścisłego współdziałania władzy państwowej z władzą kościelną.

Współdziałanie państwa i Kościoła w obronie religii chrześcijańskiej i w normowaniu życia obywateli według jej zasad, zaistniałe na przełomie IV i V w., w następnych wiekach było nieustannie pogłębiane nie tylko praktycznie, ale też teoretycznie przez rozwój myśli teologicznej. [...] W roku 800 miało miejsce doniosłe wydarzenie: Król frankoński Karol Wielki, mieniąc się władcą chrześcijańskim, przyjął w Rzymie z rąk papieża Leona III koronę cesarską. Tak powstałe w Europie cesarstwo chrześcijańskie, związane ściśle z papieską władzą, było ukoronowaniem długoletniego wysiłku Kościoła, którego celem była konsolidacja i organizacja wspólnoty państw chrześcijańskich na nowych podstawach. Cesarz Karol Wielki, w nawiązaniu do chrześcijańskich cesarzy cesarstwa rzymskiego, stał się obrońcą Kościoła w tym zakresie, jaki należał do kompetencji władzy świeckiej.

W ten sposób idea udziału w misji Jezusa władców świeckich zaprowadzała w Europie Królestwo Boże (*Respublica Christiana*) na ostatecznych zasadach. Cesarz jako pomazaniec Boży miał kierować w sprawach doczesnych całą chrześcijańską społecznością (*Christianus populus*) w nierozerwalnej wspólnocie z władzą duchową, papieską. [...] od nienaruszalności tej wspólnoty uzależniony był cały nowo ustanowiony porządek chrześcijańskiej Europy, stanowiący zarazem fundament cywilizacji chrześcijańskiej z dwóch racji. Po pierwsze, przy modelu dwuwładzy w państwach chrześcijańskich jest rzeczą absolutnie niemożliwą, by któraś z tych władz znalazła się w duchowej opozycji do drugiej... Po drugie, władza duchowa, by nie była zmuszona przekraczać swych kompetencji, musi mieć wiernego sojusznika w zarządzie rzeczami doczesnymi. Państwo i Kościół muszą wzajemnie i całkowicie na sobie polegać i się uzupełniać we wspólnym budowaniu i strzeżeniu Królestwa Bożego na tym świecie".

▶ Bycie jezuitą to „przeznaczenie zobowiązujące"

Czy dzisiejsi jezuici, „uwikłani w najbardziej karkołomne »uroczyste otwarcia« nie tylko w sferze kultury, lecz także polityki", jak podkreśla Vittorio Messori, zaangażowani w ekumenizm, który (poza bardzo nielicznymi wyjątkami) jest dziś zaprzeczeniem nawracania, rozumieją tę zasadę? Czy rozumieją postawę współbrata z XVI wieku, świętego, patrona misjonarzy, walczącego o zachowanie chrześcijańskich zasad cywilizacyjnych królestwa Portugalii z tej właśnie racji, że był katolikiem, kapłanem, jezuitą i wysłannikiem papieża?

Wspólnoty chrześcijańskie, które założył Franciszek Ksawery i jego następcy w Japonii, przetrwały, pomimo prześladowań i konieczności ukrywania się. Kontynuatorzy misji Franciszka Ksawerego, wśród nich Polak Wojciech Męciński TJ (1598–1643), zginęli zamęczeni w okrutny sposób przez miejscowych rządców, zwanych shogunami. Trzysta lat po śmierci pierwszego Misjonarza Dalekiego Wschodu przybyli do Japonii franciszkanie i ku swemu zdumieniu zastali w pewnym regionie nieskażoną wiarę katolicką, przekazywaną z pokolenia na pokolenie przez ludzi świeckich. Zobaczyli rodziny odmawiające Różaniec i modlące się do Matki Bożej, choć przez trzysta lat nie było tam żadnego katolickiego kapłana! Mieszkańcy kilku wiosek znali Ewangelię, katechizm, a w ich sercach utrwalony był obraz świętego z dalekiej Europy, o imieniu Franciszek, który naucza, uzdrawia i wskrzesza zmarłych.

„Zacznijcie czynić cuda, tak jak święty ojciec Franciszek, a potem zobaczymy!" – oświadczył jeden z azjatyckich władców, gdy holenderscy protestanci próbowali oderwać go i jego lud od katolicyzmu. Przypominał wówczas fakty wskrzeszania zmarłych przez Misjonarza Japonii. Było to w roku 1650, dwa lata przed śmiercią hiszpańskiego jezuity. Zaledwie 46-letni św. Franciszek Ksawery zmarł na początku zimy na wysepce Sancian, na której oczekiwał na statek handlowy, mający go zabrać do upragnionych Chin. Przygotowując starannie swoją podróż, pod formalnym patronatem ambasady królestwa Portugalii, zadbał, by wykorzystać wszelkie swoje prerogatywy, które posiadał jako nuncjusz apostolski

eprasa.pl 1fdc7c8e16

– po raz pierwszy i ostatni podczas swojej azjatyckiej misji. Statek znajomego kupca nigdy jednak nie dotarł do brzegu wyspy, na której oczekiwał go Franciszek. Misjonarz przez wiele dni leżał w szałasie ze słomy, wycieńczony z zimna i głodu, wpatrując się w daleki horyzont, na którym majaczyło pasemko chińskiej ziemi. Opiekował się nim prosty człowiek, Malabarczyk, oraz jego tłumacz, nawrócony chiński chłopiec.

Prawdziwy jezuita, z tych żarliwych apostołów, który rozumiał doskonale zasadę św. Ignacego (zawartą także w jego ćwiczeniach duchowych), że w działalności misyjnej „najważniejszy jest nie program, choćby najszlachetniejszy; że warunkiem wstępnym uświęcenia świata jest uświęcenie osobiste, że nie ma zbawienia dla wszystkich bez troski nade wszystko o własne zbawienie; że nie możemy przekazywać Ewangelii naszym braciom, jeśli najpierw nie uczynimy jej naszym ciałem i krwią" (Vittorio Messori). Po śmierci Franciszka Ksawerego znaleziono przy nim sakiewkę, którą miał zawsze na szyi, a w niej „skrawki papieru z ich [współbraci] podpisami i z podpisem Ignacego oraz kartkę z wypisaną formułą ślubów zakonnych".

„W istocie nie ma chyba zakątka na Ziemi", pisze Vittorio Messori, „gdzie wcześniej czy później nie widziano by pracy jakiegoś jezuity: albo działającego w pojedynkę, albo włączonego w projekt wspólnotowy; to pogardzanego i prześladowanego, to potężnego doradcy wielkich tego świata; zawsze jednak wytrwałego i zdeterminowanego". Być jezuitą to w zamyśle św. Ignacego, „przeznaczenie straszliwie zobowiązujące, być może zbieżne naprawdę z losem Jezusa. Podobnie jak On, uczniowie odwołujący się bezpośrednio do Jego Imienia byli – i są – kochani i nienawidzeni, wychwalani i zniesławiani, przyzywani i wypędzani. Doświadczyli każdego losu, z wyjątkiem obojętności".

▶ Nie wytłumaczysz się, królu...

„Jezus Król, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego, wstępując do nieba, by zasiąść na królewskim tronie po prawicy Ojca, daje Apostołom rozkaz zaprowadzenia na całym świecie Królestwa Bożego. Misja ta polega na poddaniu królewskiej władzy Jezusa wszystkich narodów" – pisze cytowany wyżej kapłan. Niewielu dziś to rozumie. Brakuje takich misjonarzy jak Franciszek Ksawery.

Jest rzeczą zadziwiającą, że pojęła to bez cienia wątpliwości XX-wieczna polska pielęgniarka, góralka pracująca całe życie w szpitalu dla wenerycznie chorych, Rozalia Celakówna (1901–1944). W listopadzie 1996 roku został otwarty proces beatyfikacyjny tej dziewczyny z podkrakowskiej wsi, a wkrótce potem oficjalnie ujawniono jej niesłychaną misję związaną z żądaniem Chrystusa, by w Polsce przeprowadzona została Intronizacja Jezusa Chrystusa na Króla Polski. Dlaczego właśnie tu? Dlaczego dziś, w czasach republik, demokracji i „praw człowieka"? Pytanie, na które zdają się odpowiadać także wydarzenia polityczne, toczące się w naszym kraju, począwszy od kwietnia 2010 roku. Pasmo wyjątkowych, tragicznych i podniosłych zdarzeń, które są znakiem, ale i zapowiedzią oraz ostrzeżeniem. Te zdarzenia rozgrywają się na oczach świata, jak na scenie. Rzekoma tajemnica jest tajemnicą poliszynela. Jednak wobec nieszczęścia, a potem sukcesu naszego narodu, zadowolony z siebie, tryskający energią wielki świat polityki i biznesu – jak nieraz już w dziejach Polski, samotnie walczącej o zachowanie cywilizacji chrześcijańskiej i zasad katolickiej wiary – ma tylko zimny uśmieszek i wzruszenie ramion. Demonstracyjnie odwraca wzrok, zmienia temat, by nie widzieć sensu i właściwego wymiaru tego, przed czym ucieka.

Wypadki, o których mowa, mają wymiar i polityczny, i duchowy. Są znakiem i przestrogą dla świata pochłoniętego przez pychę politycznych i gospodarczych przywódców. „Jakże się zdziwisz, królu, gdy w godzinie swej śmierci przekonasz się, że nie masz już królestwa, ani żadnej władzy i stałeś się poddanym"... Choć dziś władcy polityczni, jak prezydent Putin, nie budują piramid, ale tak jak faraonowie nie chcą umierać, sporządzając wielokilometrowe miasta podziemnych bunkrów i wystawiając armie, jakich potęgi dotąd nie widziano. („Kto nie chce umierać, nosi jakieś znamię odrzucenia" – mówił św. Augustyn). Chcą też być przez całe życie „piękni" (prezydent Macron wydaje co miesiąc fortunę na kosmetyki i specjalistów od wizażu). Chcą zagarnąć wszystkie bogactwa ziemi. Świadomie lub nie zmierzają do tego, by zniszczyć całkowicie duchowe życie. Także życie swoich „poddanych", czyli wszystkich zależnych w taki czy inny sposób od ich władzy. Nie chcą pamiętać o tym, co głosił Franciszek Ksawery, że święta bojaźń Boża jest początkiem mądrości i zawsze towarzyszyła życiu chrześcijan.

Rozalia Celakówna tak jak św. Franciszek Ksawery rozumiała, że bez prymatu służenia Bogu przez przywódców politycznych Europy zginie ona i zamieni się ponownie w obszar pustyni, pełnej odrażających posągów pogańskich bóstw, zasiedlony przez tłum niewolników. Żadne z tych dwojga ludzi nie było ślepym narzędziem, byli doskonale świadomi istoty swego posłannictwa. Jak wszystko, co przekracza rozumienie ludzi pysznych i z powodu swej pychy ciasnych, nowość tego posłannictwa na początku była gniewnie odrzucana, negowana i wyśmiewana. Zbyt krzycząca, a więc usilnie zatupywana, a wręcz nawet zaorywana. Zarówno w Japonii, jak i w Polsce. Zaorywana tak starannie jak dom Rozalii w małej podgórskiej wiosce Jachówce, w którym się urodziła, pospiesznie rozebrany przed kilkunastoma laty... ■

Wszystkie cytaty dotyczące św. Franciszka Ksawerego za: Antonio Sicari, „Nowe portrety świętych", tłum. Joanna Dyga, Warszawa 2010.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

eprasa.pl 11067c8e16

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Ci rycerze nie chodzą za byle kim

Nie są fanami robiących ostatnio karierę w naszym kraju wielkich wieczorów uwielbieniowych. Nie zobaczy się ich także na katolickich spotkaniach eventowych. Ani podczas koncernów rockowych katolickich kapeli. Udać się to może na Przystanku Jezus, gdy kilkunastu mężczyzn bez ciężkiego sprzętu stawiać będzie samodzielnie gigantyczny namiot i scenę. Albo gdy jakaś uboga emerytka będzie potrzebować wózka inwalidzkiego i kilku tajemniczych, ubranych na czarno panów pewnego dnia przyjdzie z wyczekiwanym przez nią podarunkiem. Wreszcie gdy polscy mężczyźni skrzykną się na wspólne odmawianie różańca. Wtedy będą i oni.

FOT. BARTLOMIEJ NIEMIRSKI

Zwykle widać ich stojących blisko ołtarza. Otaczają go szczelnym kordonem w swoich charakterystycznych czarnych szatach. – To mantulle – tłumaczy mi brat Adam, korpulentnych kształtów gigant, jeden z braci zakonnych. – Kiedyś nazywaliśmy je mucetami. Ale po mojej interwencji u generała zakonu wyszedł dekret o zaniechaniu starej nazwy. Średniowieczni rycerze ubierali się bowiem nie w mucety, ale właśnie w mantulle – dodaje z uśmiechem i bez skrywanej satysfakcji.

Te rycerskie płaszcze faktycznie są tym, co wyróżnia ich spośród tłumu. Czarne, sięgające łydek. Z żółtym herbem papieża Jana Pawła II na piersi. I wiszącym nań pektorałem. Do tego głębokie kaptury, białe rękawiczki. Większość w garniturowych spodniach, eleganckich ciemnych butach. Niektórzy z naszywkami na ramienicach świadczących o stopniu w zakonie.

Są skupieni i skoncentrowani. I przede wszystkim bardzo głośni. To kolejny ich znak rozpoznawczy. – Chcemy, aby ksiądz nas słyszał. I czuł, że w kościele nie jest jedynym mężczyzną – opowiada z szerokim uśmiechem brat Krzysztof, generał zakonu. – Z całym szacunkiem do kobiet, chcemy je w kościele po prostu zakrzyczeć. Aby na nowo odzyskać kościół na mężczyzn. Żeby nie był już tylko żeńsko-katolicki, ale po prostu rzymski. Z wyraźnym miejscem dla mężczyzn. Najlepiej modlących się możliwie blisko ołtarza.

I faktycznie. Podczas Mszy świętych z ich udziałem bardzo wyraźnie słychać basy. I to już od samego wejścia. Gdy jeszcze sprowokowany przez rycerzy organista zaintonuje na wejście „Bogurodzicę", wierni będą mogli odnieść wrażenie, że mury świątyni zaraz zaczną po prostu pękać. Męski śpiew oddający część Maryi. Bez cienia wstydu. Po męsku. Na kolejne słowa sprawującego Mszę świętą celebransa odpowiadają chóralnym krzykiem. Zawołaniami z pasją i po żołniersku. Zgromadzeni w kościele od początku wypatrują z ciekawością okolic ołtarza. Obserwują tajemniczych zakonników odwróconych do wiernych placami. Kim są?

Modlitwa działająca cuda

– Moja rada dla wszystkich kobiet w kościele? Trzymajcie waszych facetów krótko. Jak mąż będzie blisko ołtarza, a nie gdzieś tam daleko z tyłu kościoła, będziesz go miała na oku – dodaje z szerokim uśmiechem brat Krzysztof, generał zakonu Rycerzy Jana Pawła II. – A jak dodatkowo ubierze się jeszcze w naszą czarną rycerską mantullę, to już na pewno będzie widoczny. To bowiem ważne, żeby kobieta wiedziała, gdzie jest jej mężczyzna. Zwłaszcza na Mszy świętej. Najważniejszym momencie dnia.

Dziś są już w całej Polsce. Kolejne chorągwie powstają niczym grzyby po deszczu. Warszawa, Kraków, Poznań, Łódź, Koszalin, Słupsk, Suwałki, Lidzbark Warmiński... Długo by wymieniać. Przywiązani do tradycji i Kościoła. Z różańcami w ręku, o których zwykli mówić jako o swoich „mieczach do walki z szatanem". Żyjący w dobie kolejnych wojen i światowych zbrojeń ludzie słysząc takie słowa, do tej pory tylko pobłażliwie się uśmiechali. „Różaniec bronią? Wolne żarty" – drwili. Dziś robią to coraz rzadziej. Przekonują się bowiem o skuteczności tej walki. Skuteczności walki u boku Maryi. Bronią, którą sama przekazała na nasze dłonie. – Modlitwa działa cuda. Sam przekonałem się o tym wielokrotnie – opowiada wyraźnie wzruszony brat Marek. – Modlimy się w naszym zakonie praktycznie nieustannie. Za nasze żony, za nasze dzieci, za naszych rodziców. Wreszcie za nas samych. Gdy tylko któremuś z nas dzieje się krzywda, trafia do szpitala czy dotyka go inne nieszczęście, od razu uruchamiamy rycerską akcję modlitewną. Łapiemy za różańce i po prostu się modlimy. Dziś mogę świadczyć o tym, jak wielką moc ma ta modlitwa. Również na podstawie mojego życia. Działa prawdziwe cuda. Cały czas. Również teraz.

Dla kogo

Idą w zwartym szyku. Sami mężczyźni. Idą młodzi, idą starzy. Każdy z jakimś talentem. Z reguły niejednym. Gdy dodamy to wszystko do siebie, razem we wspólnocie stanowią naprawdę pokaźną armię Pana Boga. – Do rycerstwa nie możemy przyjąć kobiet. To męska formacja. Za to wszystkie żony naszych nowych braci uznajemy za swoje bratowe. Czy taka kobieta może sobie wymarzyć lepszy prezent? Tylu facetów gotowych na skinienie palca przyjechać z dnia na dzień, by przenieść meble, pomóc przy chorym ojcu bądź zwyczajnie pomodlić się w beznadziejnej sprawie? – dodaje brat Krzysztof, generał Zakonu Rycerzy Jana Pawła II. – A jakie są zasady przyjęcia? Przede wszystkim trzeba być praktykującym katolikiem. I spełniać trzy warunki: być mężczyzną, mieć sakramenty stosownie do wieku i je praktykować. To wszystko. Z początku wydawało nam się, że te warunki są naprawdę bardzo proste. Myliliśmy się. Okazuje się, że dziś jest bardzo wielu mężczyzn, którzy nie potrafią ich spełnić...

Po chwili zadumy brat Krzysztof delikatnie się uśmiecha. – Chyba nie odkryję Ameryki, gdy powiem, że jesteśmy dziś świadkami strasznego kryzysu mężczyzny jako lidera. Jako tego, który miałby prowadzić swoją rodzinę do Pana Boga. W zakonie nazywamy to żartobliwie „teologią miękkiego siusiaka". My zaś chcemy pójść za „teologią twardego siu-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

FOT. BARTŁOMIEJ NIEMIRSKI

siaka". Mężczyzna ma być twardy, ciągle gotowy do akcji i przede wszystkim nie skupiony na sobie. Prawda jest bowiem taka, że przebywając wyłącznie wśród kobiet, facet będzie się ciągle rozmiękczał. A nie ukrywajmy, że w obecnych wspólnotach katolickich ogromną ich część stanowią właśnie panie.

A to dopiero początek

Rycerze Jana Pawła II – tak się nazywają. Wspomniane czarne płaszcze z żółtym herbem papieskim na piersi to właśnie nawiązanie do ich patrona. – Chcemy oddawać Mu należną pamięć. Jako najwybitniejszemu z ojców naszej ziemi. Żaden z naszych braci nie może być obojętny na Jego nauki. Dla nas to prawdziwy wzór. Jestem przekonany, że gdyby był mężem, byłby perfekcyjnym mężem. Gdyby został ojcem, nie byłoby lepszego wychowawcy. A gdyby miało się zdarzyć, że zostałby piłkarzem na przykład Wigry Suwałki, byłby bez wątpienia najlepszym skrzydłowym ligi – brat Krzysztof wyraźnie się ożywia, gdy mówi o patronie zakonu. – Nie możemy jako Polacy zapomnieć o Jego niesamowitym świadectwie. Stąd nasza lektura patronalna. Stąd zgłębianie Jego encyklik. Stąd ciągłe studiowanie głoszonego przez Niego słowa.

Historia powstania zakonu Rycerzy Jana Pawła II to właśnie ewidentny znak z Nieba. Znak dziejący się za sprawą wielkiego papieża z Polski. – Szukaliśmy wraz z przyjaciółmi patrona. Kogoś, kto poprowadzi nas za wymagającym facetem, jakim bez wątpienia jest Jezus Chrystus – wraca do początków zakonu jeden z jego współzałożycieli, brat Krzysztof. – I wtedy z pomocą przyszedł nam ówczesny papież Benedykt XVI. Który to w styczniu 2011 roku ogłosił datę beatyfikacji Jana Pawła II. Nie trzeba nam było więcej powtarzać. Już wiedzieliśmy, że to jest to. Absolutny strzał w dziesiątkę. Ufaliśmy, że właśnie Jan Paweł II będzie tym, który poprowadzi nas drogą, której celem będzie Niebo. Dziś wiemy, że dobrze odczytaliśmy ten znak.

Są bez wątpienia młodym zakonem. – Najmłodszym – poprawia moje głośne wyliczenia brat generał. – Stanowimy najmłodszy rycerski zakon na świecie. Mamy przecież dopiero 7 lat. Jesteśmy więc blisko 900 lat młodsi od najstarszego zakonu na świecie, zakonu maltańskiego. Mamy jednak przeczucie, że to początek czegoś naprawdę wielkiego.

Przeciwko nowemu, a za Tradycją

Podobnego entuzjazmu nie sposób nie zauważyć u reszty rycerzy. Gdy są razem, bije z nich niezwykły optymizm. Wręcz niepohamowana radość. Właśnie wtedy są najgroźniejsi dla diabła. Ta radość bowiem może ich zaprowadzić bardzo daleko. Z tą radością podejmują kolejne inicjatywy charytatywne. Z tą radością walczą o kolejne powołania zakonne. Wreszcie z tą radością klękają codziennie do różańca. Razem. Bez względu na to, gdzie kto się znajduje. Bo

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Rycerze Jana Pawła II to przede wszystkim wspólnota. Jedna z nielicznych prawdziwie konserwatywnych męskich wspólnot polskiego Kościoła. Przywiązana do tradycji i doceniająca jej wkład we współczesny jego stan.

– Gdy tylko przytrafia mi się kilkanaście dni bez rycerstwa, najzwyczajniej w życiu tęsknię. I wracam do braci jak ryba do wody. Facet potrzebuje męskiego towarzystwa. Męskiej rozmowy. Męskiego wsparcia – po twarzy brata Marka widać, że mówi najzupełniej poważnie. – Kiedy widzisz świadectwo wiary, wtedy się umacniasz. A szatan robi wszystko, abyś te wątpliwości miał. Cały czas. Jest od nas sprytniejszy, więc czasem po prostu poddajesz się tym wątpliwościom. Ale właśnie wtedy, kiedy widzisz klęczącego obok faceta, który nie pęka, który idzie tam, gdzie ty, wtedy i ty sam czujesz się silniejszy. Tak to działa. W dobie protestanytzacji Kościoła katolickiego przywiązanie Rycerzy do tradycji aż bije po oczach. Chcą być niezmienni. Pragną przyjmować Komunię Świętą na kolanach. Chcą modlić się na różańcu. Na Matkę Bożą mówią „nasza Hetmanka", a na widok księdza wstają i oddają mu ukłon.

Ironiczne uśmieszki zwolenników „nowego Kościoła" na takie zachowania brat Krzysztof spokojnie punktuje. – Prawda jest taka, że nie ma dziś bardziej „testosteronowego" źródła, bardziej bojowego, wojowniczego, bardziej odpowiadającego męskiej duszy niż Ewangelia, Pismo Święte i Tradycja Kościoła. Nie ma. Po prostu nie ma – mówi. – I nasz zakon ma być właśnie narzędziem do przywrócenia mężczyzn temu Kościołowi. Z tą tradycją i z tą Ewangelią – przychodzi mu w sukurs brat Marek, jego pierwszy zastępca w zakonie.

Modlitwa za lewicę

W zakonie panuje hierarcha. I to widać bardzo wyraźnie. W ustawieniu braci podczas ceremonii, podczas musztry. Ale także w całościowej strukturze rycerstwa. Jest generał odpowiedzialny za cały zakon. Są prowincje, komandorie, chorągwie. Są oficerzy generalni, są prefekci, komandorzy, wielcy rycerze. Niektórym to nie w smak. Sugerują budowanie struktur na pokaz. – Mężczyzna powinien żyć w dyscyplinie. Powinien mieć jakieś ramy. Stąd hierarchia wewnętrzna w naszej strukturze rycerskiej – odpowiada na podobne zarzuty brat Krzysztof.

Im bardziej wgryzam się w zakonną strukturę, tym bardziej wpadam w coraz większe zdumienie. Wszystko jest tu doprawdy przemyślane i poukładane. Zadbali o to liczni w rycerstwie prawnicy oraz ludzie zajmujący się zakonnymi ceremoniałami. Odpowiednie dokumenty, pieczęcie od biskupów. Listy uwierzytelniające i akta. Reguła nazywana przez niektórych rycerzy konstytucją, jasne zasady. Wszystko spisane. Wszystko zachowane. Wszystko dostępne.

A wrogów nieco już się dochowali. Począwszy od „Newsweeka" nazywającego ich „Rycerzami posłów PiS" po „Gazetę Wyborczą", której nie podobała się rycerska obrona abp. Henryka Hosera oskarżanego przez lewicę o konszachty z reżimem odpowiedzialnym za ludobójstwo w Rwandzie. Po rycerzach nie było widać, aby przejmowali się falami hejtu. Można było odnieść wrażenie, że raczej ich to bawiło. – Muszę przyznać, że bardzo raduje mnie budowana przez lewicowe media czarna, spowita tajemnicami i niedostępnością legenda naszego zakonu. Jest to doprawdy budujące. Codziennie modlimy się za tych ludzi.

Piwo po katolicku

– Pamiętam, jak któregoś razu do jednego z naszych braci ze Słupska podeszła dziennikarka z zapytaniem, dlaczego my to wszystko robimy? Dlaczego akurat Jan Paweł II? – wspomina brat generał. – Wtedy jeden z naszych odpowiedział jej zupełnie wprost, bez dłuższego zastanawiania się i kalkulacji: „Szanowna pani redaktor, bo my po prostu nie chcemy chodzić za byle kim". Ta myśl momentalnie stała się swoistym przewodnim spiritus movens dla całej naszej działalności w polskim i z czasem, o czym jestem przekonany, także światowym Kościele.

Większość Rycerzy Jana Pawła II to mężowie. Są jednak także dziadkowie, wdowcy. Łączy ich miłość do Kościoła i niezwykła troska o spadek dziedzictwa po jednym z największych świętych naszych czasów. Więcej motywacji już nie było trzeba. To wystarczyło, aby założyć tak potrzebne w Kościele męskie bractwo katolików. „A jak się do was dostać?" – po jednej z mszy świętych z udziałem świeckich zakonników widzę kobietę, która podbiega do maszerujących w szpalerze panów. „Proszę, oto ulotka. Wszystko znajdzie pani na stronie" – jeden z rycerzy jest już najwidoczniej przygotowany na taki „atak". „Bo muszę swojego starego do was wysłać. Cały czas tylko siedzi przed tym telewizorem. Może wreszcie się ruszy. A i ja będę wówczas spokojna".

Wiadomo. Nawet jeśli pójdą z nim po Mszy na wspólne piwo, to jednak piwo w katolickim towarzystwie prawdziwych, świadomych swej wiary facetów będzie smakować inaczej. I raczej nikt tu nie przeholuje z ilością. W końcu od czegoś ma się tych braci. Ale i przyjaciół. Pozostających przy tym wszystkim zwykłymi facetami. Takimi do pośmiania się i pogadania. To w zupełności wystarcza. Więc przychodzą następni. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Marek Kalinowski

Zaczarować publiczność

Marcin Wasilewski Trio to jeden z naszych najlepszych muzycznych hitów eksportowych. Obok Macieja Obary są jedynym polskim zespołem, który nagrywa dla prestiżowej wytwórni ECM. O ich obecność zabiegają festiwale jazzowe z całego świata. W jaki sposób na koncertach czarują wielotysięczną publiczność, możemy się przekonać na najnowszym albumie „Live".

Poznali się w koszalińskim liceum. Od 1993 roku grają w tym samym składzie: Marcin Wasilewski (fortepian), Sławomir Kurkiewicz (kontrabas) i Michał Miśkiewicz (perkusja). Jeszcze jako Simple Acoustic Trio nagrali płytę z kompozycjami Krzysztofa Komedy, która przyniosła spore uznanie publiczności i krytyki. Najważniejsze jednak, że zwróciła również uwagę gwiazdy polskiego jazzu Tomasza Stańki. Szukał wówczas zespołu do realizacji własnych pomysłów i zaproponował grupie Wasilewskiego luźną współpracę. Odtąd wszystko potoczyło się lawinowo. Zaczęła się dla nich nowa ścieżka nauki, być może nawet znacznie ważniejsza od tej akademickiej, bo w bezpośredniej styczności z absolutnym guru. Razem ze Stańką mogli nagrywać dla jednej z najważniejszych wytwórni jazzowych świata ECM. Tej samej, dla której nagrywają Keith Jarrett, John Scofield czy Pat Metheny. Wspólnie ze Stańką wydali trzy fantastyczne płyty, po czym rozpoczęli działalność na własne konto, pod nowym szyldem Marcin Wasilewski Trio.

Marcin Wasilewski Trio, LIVE, ECM

Ich najnowsza płyta „Live" powstała, jak twierdzą, trochę przez przypadek. Po czterech albumach studyjnych chcieli wprawdzie nagrać krążek koncertowy, ale grając w Antwerpii, nie mieli pojęcia, że występ został zapisany. I całe szczęście, bo tego wieczoru dopisały zarówno forma, jak i publiczność. Koncert otwiera „Sudovian Dance", tym razem bez saksofonu Joakima Mildera, który towarzyszył muzykom na studyjnej płycie „Spark Of Life". Jego łagodny początek znacznie przyspiesza w drugiej części utworu. „Message In A Bottle" wprowadza nas z kolei w świat pierwszych szkolnych muzycznych fascynacji tria i staje się okazją do zapierających dech w piersiach improwizacji. Publiczność jest już zdobyta. Piosenka z repertuaru The Police nie jest zresztą wyjątkiem w czerpaniu inspiracji z muzyki popowej. Już wcześniej muzycy chętnie sięgali po utwory Prince'a, Björk, a nawet polskiego zespołu Hey.

Po intensywnych, głośnych dźwiękach „Night Train To You" przychodzi czas na ukojenie. Delikatne brzmienie fortepianu Wasilewskiego rozpoczyna nastrojowe „Austin". Przestrzeń się otwiera, a wyobraźnia ledwo nadąża za magicznymi dźwiękami tej przepięknej ballady. Po chwili dołączają kontrabas i perkusja, a dzieło nabiera zwiewnej lekkości, która delikatnym, tanecznym rytmem kołysze już publiczność. Utwór musi się podobać. Jeszcze nie milkną ostatnie dźwięki, gdy słychać pierwsze brawa. Wreszcie przychodzi fantastyczna owacja. A to wcale nie koniec tego niezwykłego koncertu. Płytę zamyka znany z repertuaru Herbiego Hancocka „Actual Proof". Wystarczy przypomnieć sobie klasyczny album „Thrust", aby zrozumieć, jak wiele zyskuje ten utwór, nawet w zestawieniu z wykonaniem mistrza.

Muzycy Tria rozchwytywani są przez festiwale i sale koncertowe całego świata. Trasa promująca album „Live" rozciąga się od Berlina po Luksemburg, Zagrzeb i Bari. Na szczęście zagrają także w Polsce. Najbliższy koncert już 16 października, w warszawskim teatrze Roma. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Sylwia Krasnodębska

„Kamerdyner" – polska superprodukcja

Ten film jest jak smutna baśń. Plenery, scenografia, kostiumy dają nadzieję na piękne kino sentymentalne. Realia lat 1900–1945 jednak na pieszczotliwości nie pozwalają. Ale Filip Bajon potrafił zrobić kino mroczne i zachwycające jednocześnie. I mimo że odnoszące się do historii sprzed wieku – frapujące i aktualne.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Nie rozmawiałem wcześniej z aktorami, nie urządzaliśmy nawet castingu. Pewnego dnia po prostu podyktowałem, kto kogo zagra. Miałem w głowie pewną wizję. Wiedziałem na przykład, że Adam Woronowicz i Anna Radwan stworzą świetny duet. Ale to była intuicja, bo wcześniej z nimi nie współpracowałem. Nikt nie odmówił współpracy – mówił Filip Bajon w rozmowie z „Gazetą Polską Codziennie".

Z precyzją chirurga

I nie ma wątpliwości, że dzieło Bajona to twór kompletny i zamknięty, z którego nie można nic ująć i do którego nie można już nic dodać. Każda minuta 2,5-godzinnego filmu jest skrupulatnie przygotowana, każda sylwetka bohatera jest niezwykle spójna, każda scena przeprowadzona jest z precyzją chirurga. Znakomita realizacja idzie w parze ze świetnym scenariuszem Mirosława Piepki, Michała Pruskiego i Marka Klata. O filmie na niemal każdej płaszczyźnie można mówić, że jest superprodukcją. Na planie znalazła się plejada gwiazd: Sebastian Fabijański, Janusz Gajos, Adam Woronowicz, Anna Radwan, Borys Szyc, Kamilla Baar, Marcel Sabat, Łukasz Simlat. Ale same nazwiska nie gwarantują sukcesu. To Bajon czyni ich tu świetnymi aktorami. Prowadzi ich konsekwentnie i pewną ręką. Każdy z nich kreuje bohatera z krwi i kości. Żaden z bohaterów nie jest przerysowany. Gajos czy Woronowicz to uznani aktorzy, ale Bajon daje im pole do pokazania aktorskiej klasy, przydziela im role w sposób, który uruchamia w aktorach umiejętności, jakich wcześniej nie znaliśmy. To kreacje z najwyższej półki. Rola Sebastiana Fabijańskiego z pewnością jest dla aktora siedmiomilowym krokiem w jego karierze. Fabijański zasługuje na każdą uznaną nagrodę przemysłu filmowego w naszym kraju i nie tylko. Całość sprawia wrażenie znakomicie skonstruowanej maszyny, w której każdy element jest potrzebny, a całość nie działałaby bez choćby najdrobniejszego trybiku.

Kamerdyner to taki kundel

Początek XX wieku. Mateusz, kaszubska sierota, trafia pod opiekę baronowej mieszkającej w pobliskim dworze. Jego wzrastanie odbywa się w atmosferze napięć między Polakami, Kaszubami a Niemcami. Wybucha II wojna światowa. Bohaterowie filmu dzielą się na tych, którzy znają swoją tożsamość i przywiązani są do niej, będą jej bronić do ostatniej kropli krwi, i tych, którzy z łatwością porzucają poczucie przynależności lub pod wpływem wojennej zawieruchy wchodzą z łatwością na drogę przemocy. W lesie w Piaśnicy hitlerowcy dokonują mordów. Zbrodnia przypomina nam sceny katyńskie.

– Mateusz to taki kundel – mówił o swoim bohaterze Sebastian Fabijański. Jego życie to ciągłe poszukiwanie. Zarówno swojej tożsamości, jak i odnajdywania siebie w trudnych czasach i zależnościach, w których funkcjonuje. Jednocześnie wraz z wątkami historycznymi i nadciągającą wojną rozwija się wątek romansu. Kamerdyner zakochuje się w córce baronowej. Ich miłość nie ma racji bytu...

Film wpisuje się w obchody 100-lecia odzyskania niepodległości. Bajon w wywiadzie dla „GPC" podkreślał, że bardzo go to cieszy, jak i fakt, iż nie obawia się posądzenia o koniunkturalizm, bo kino historyczne jest dzisiaj w cenie. – Absolutnie nie boję się tego zarzutu, głównie dlatego, że wiele moich poprzednich filmów to produkcje natury historycznej. A że „Kamerdyner", którego fabuła obejmuje aż 45 lat polskich dziejów [od 1900 do 1945 roku – przyp. red.], wpisuje się w obchody tak zacnej rocznicy, to tylko dla mnie powód do radości – tłumaczył w rozmowie z Magdaleną Fijołek.

Fabijański inaczej

Można zaryzykować stwierdzenie, że aktorstwo Sebastiana Fabijańskiego liczy się do filmu „Kamerdyner" i od niego. To, co zaprezentował aktor, nazwać można pełną identyfikacją z rolą. Jego styl gry jest bardzo naturalny i pozbawiony egzaltacji. Zachowanie Fabijańskiego jest pełne zaangażowania emocjonalnego. Można tu użyć podręcznikowych określeń na temat kreacji graniczącej z improwizacją. W żargonie filmowym to tzw. metoda, którą stosują m.in. Robert de Niro czy Al Pacino. Diagnoza ta w pełni koresponduje z tym, o czym autor mówił w magazynie „Niecodzienna Gazeta Polska", dołączonego do weekendowego wydania „Gazety Polskiej Codziennie" 22–23 września. Fabijański o swojej postaci i sobie na planie opowiadał: „Mateusz stał z boku i widział więcej. Zresztą, co ciekawe, ja też czułem się na planie jakoś niekomfortowo i trzymałem się z boku. [...] Wydawało mi się, że jestem niepotrzebny. Byłem jakoś spłoszony, zaszczuty, ale nie wiem dlaczego. Miałem też masę niepewności, która dawała poczucie, że podejmuję złe decyzje na planie, że źle gram itd. Czułem jedynie smutek. Być może wykształciłem sobie taki stan emocjonalny po to, by wejść w tę rolę kamerdynera. Znowu nie wiem. Nie zajrzę do swojej podświadomości. [...] Robienie filmu to może być piękny, czasem niebezpieczny lot, jeśli pozostaniesz otwarty na spotkanie i porzucisz kontrolę nad tym, jak wypadniesz. Wchodzisz w temat i cię coś rwie albo przychodzisz po zachwyt i jesteś odtwórcą". ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Kamil Goral

Czy wyciągnęliśmy wnioski z kryzysu?

Minęło już 10 lat od niesławnego upadku banku Lehman Brothers. To właśnie wydarzenie uznaje się dziś za symboliczny początek światowego kryzysu finansowego. Wielki bank inwestycyjny z tradycjami upadł praktycznie z dnia na dzień, nie pomogły nawet najlepsze ratingi i wieloletnia historia tej instytucji. Świat finansów wstrzymał oddech. Co było potem, wiemy wszyscy aż za dobrze – kryzys! To słowo, którego przedstawiciele świata finansów i realnej gospodarki używali chyba najczęściej w ciągu ostatnich 10 lat. Obecnie nie brak głosów wieszczących kolejne załamanie. Jedni widzą je tuż za rogiem, inni oczekują go w perspektywie kilku lat. Niemal wszyscy są pewni, że nadejdzie. Bo nadejść musi, gospodarka funkcjonuje w cyklach – raz jest lepiej, a innym razem gorzej. Podobnie z giełdą. Okresy hossy przeplatają się z bolesną dla inwestorów bessą. I tak w kółko. Problem tkwi gdzie indziej. Fenomen ostatniego krachu polegał na jego skali. Gdyby nie wielomiliardowe interwencje amerykańskiego rządu, niczym muchy popadałyby wielkie instytucje finansowe. Uzmysłowiliśmy sobie także, jak wielki wpływ mają wydarzenia na giełdzie na realną gospodarkę. Makroekonomiczne wskaźniki w wielu państwach stały się zmorą polityków, były bowiem fatalne. Przekonali się o tym obywatele USA i zachodniej Europy. A w istocie – cały świat. Do dziś trwają spory o to, co było przyczyną tych wydarzeń. Czy była to błędna polityka pieniężna FED-u, a może zawiniły interwencjonizm państwowy i narracja o mieszkaniu dla każdego, której hołdowali politycy w Stanach? Czy faktycznie kluczowy był czynnik ludzki, niepojęta chciwość, gra cudzymi pieniędzmi i brak jakiejkolwiek empatii? A może jakaś kombinacja tych czynników? Spór pewnie nigdy nie zostanie rozstrzygnięty. Osobiście najbliżej mi do postawienia na przyczynę związaną z niskim poziomem etyki. Ten kryzys miał swoje źródło w zaniku fundamentów moralnych na rynku finansowym. Pieniądze stały się jedynym celem dla wielkich instytucji finansowych, aby osiągać niebotyczne zyski, stosowały one narzędzia niezwykle wysublimowanej inżynierii finansowej, zaprzęgając do boju skomplikowane modele statystyczne. Brak podstaw etycznych plus zagmatwane modele wywróciły światową gospodarkę do góry nogami. Czy wyciągnęliśmy z tego wnioski? Chciałbym wierzyć, że wielka finansjera stawia teraz na wartości moralne i na nich się opiera. Ale jakoś nie mogę. Wątpię także, czy system finansowy jest prostszy niż przed kryzysem. Mój niepokój budzi również pogląd, że niebawem na światowych giełdach ludzi zastąpią algorytmy zdolne do analizowania potężnych zbiorów danych. Rynek finansowy ma swój określony cel, jest nim pośredniczenie między dostawcami a biorcami kapitału, tak aby rozwijała się cała gospodarka. Tymczasem zamienia się on w pole bitwy, na którym decyzje podejmuje maszyna, a nie człowiek. Należy się tego obawiać. Na światowych giełdach obraca się gigantycznymi sumami, sama liczba zawartych w nich zer mogłaby zawrócić w głowie. To nie obszar do eksperymentów z technologią, ta zresztą, wbrew przekonaniu fascynatów, jest bardzo zawodna i daleko jej do możliwości, jakimi dysponuje umysł ludzi. Tak, mamy jako ludzie ograniczenia, nie możemy przerabiać co sekundę miliardów informacji. Ale to w świecie finansów wcale nie musi być tak bardzo potrzebne. Chyba że chcemy, aby były one już całkowicie zdominowane przez drapieżną spekulację, w której realna gospodarka nie ma żadnego znaczenia. Szkoda tylko, że w ostateczności to zwykli ludzie będą musieli zapłacić za błędy spekulantów. Trudno zatem przewidzieć, kiedy nastąpi następny kryzys, w świetle powyższego zasadnym jednak pozostaje pytanie: czy wyciągnęliśmy wnioski z ostatniego? ■

www.radagospodarcza-sws.pl

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

1991
rok założenia

6,5 mld zł
wartość aktywów

280 osób
zatrudnienie

100% udziałów
Skarb Państwa

GŁÓWNE OBSZARY DZIAŁALNOŚCI

Finansowanie przedsiębiorstw
Finansujemy inwestycje, działania rozwojowe i kapitał obrotowy polskich przedsiębiorstw

Obsługa inwestorów w SSE
Udostępniamy tereny inwestycyjne i obiekty przemysłowe przedsiębiorcom

Wspieranie rozwoju wybranych branż
Wspieramy wybrane branże ze Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju

Nadzór korporacyjny
Budujemy wartość powierzonego majątku (spółek i nieruchomości)

Nasze obszary działalności wzajemnie się przenikają, tworząc unikatowy wachlarz możliwości

Restrukturyzacja rozwojowa
Finansujemy procesy restrukturyzacji i współtworzymy plany restrukturyzacji

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.
ul. Nowy Świat 6/12, 00-400 Warszawa
Centrum Bankowo Finansowe - wejście „C"
+48 22 695 36 00, +48 22 695 37 01
www.arp.pl

Polski Fundusz Rozwoju S.A.
pełna informacja na temat oferty dostępna jest na stronie www.pfr.pl
oraz pod bezpłatnym numerem infolinii +48 800 800 120

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Antoni Rybczyński

Prawdziwy koniec zimnej wojny

Coraz wyraźniej kształtuje się nowy układ sił w Europie. Z jednej strony Rosja, Niemcy, część eurokratów i parę krajów „starej" Europy, z drugiej: USA, Polska, Ukraina, większość krajów Europy Środkowej i Skandynawii plus Londyn. Rozpada się układ Zachód kontra Rosja, w kryzysie są sojusz euroatlantycki i sama UE. I nie wydaje się, by z tej drogi dało się jeszcze światowi zachodniemu wrócić. Dlatego Polska musi już ustawiać się w nowo powstającym geopolitycznym świecie – opartym raczej na bilateralnych układach niż zbiorowych traktatach ograniczających większości ich sygnatariuszy swobodę w polityce zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej.

epresa.pl 1fdc7c8e16

FOT. TASOS KATOPODIS /PAP/ADMEDIA.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Geopolityczny świat Zachodu rozbija od wewnątrz polityka Niemiec. To Berlin swoją polityką imigracyjną sprowokował jeden z najgłębszych kryzysów UE, to Berlin nie chce pogodzić się z częściową utratą wpływów w Europie Środkowej – czego najlepszym przykładem jest bezprecedensowa kampania przeciwko Polsce i Węgrom (nie można mieć złudzeń, że Bruksela by sobie na to pozwalała bez decyzji Niemiec). To Berlin buduje wspólnie z Rosją gazociąg mający uzależnić na dobre całą Europę Środkową i Wschodnią od gazowego dyktatu rosyjsko-niemieckiego. To Berlin nie potrafi (nie chce?) zrobić czegokolwiek w sprawie rozwiązania konfliktu Rosji z Ukrainą. To Berlin walnie przyczynił się do zwycięstwa zwolenników Brexitu na Wyspach, a teraz robi dużo, by proces rozwodu Wielkiej Brytanii z Unią nie przeszedł szybko i gładko. Na koniec, i to jest najważniejsze: to Berlin jest teraz głównym europejskim wrogiem obecnej administracji amerykańskiej – co musi przekładać się na coraz głębszy konflikt na linii USA–UE.

Na naszych oczach trzeszczą szwy sojuszu Ameryki z Europą rozumianą jako UE. W samej Unii pogłębia się podział między dwoma obozami. Z jednej strony mamy wrogów Trumpa, USA, zwolenników tego, co było przed 2016 r. Z drugiej: kraje chcące zacieśniać dwustronne relacje z USA, właśnie z powodu kryzysu UE, która nie jest żadnym gwarantem bezpieczeństwa (za to ciągle wtrąca się w sprawy wewnętrzne). Trudno się w tej sytuacji dziwić głosom, że lepszą i realniejszą gwarancją bezpieczeństwa jest posiadanie na swym terytorium bazy US Army (nawet jeśli trzeba za to słono zapłacić) niż liczenie na art. 5 traktatu północnoatlantyckiego.

Stary podział na Zachód i Wschód (Rosja plus część postsowieckich republik) powoli odchodzi do historii. Nie położył mu kresu koniec zimnej wojny, a wydarzenia 2014 roku wydawały się go pogłębić. Teraz okazuje się, że nic podobnego. Dziś tworzą się linie podziału biegnące w zupełnie innych kierunkach. I co ważne, niepokrywające się już ze starym głównym podziałem sięgającym jeszcze zimnej wojny. Co więcej, te linie podziałów czasem się krzyżują i rozmywają. Mamy więc niemiecko-rosyjski sojusz gazowy wymierzony także w USA. W tej batalii pewnym sojusznikiem USA jest Polska. Ale już nie Węgry, które z kolei łączy z Warszawą problem z presją wywieraną przez Brukselę. Ale dzieli stosunek do Rosji. Podobnych sytuacji będzie tylko przybywało. Wchodzimy bowiem w erę dominacji relacji dwustronnych. Zrozumiał to szybko obecny polski rząd. Stąd choćby determinacja w dążeniu do zacieśnienia sojuszu z USA. Nawet za cenę krytyki, jaka w związku z nim spada ze strony totalnej opozycji i części mediów.

▶ Fort Trump na tapecie

Połowa lipca 2018 roku. Szczyt NATO, potem spotkanie Donalda Trumpa z Władimirem Putinem w Helsinkach. Dla amerykańskiego prezydenta – porażka. Ale nie zwycięstwo dla prezydenta Rosji. Początkowe obawy, a w przypadku niektórych wręcz histeria, nie znalazły pokrycia w rzeczywistości. Szczyt w Helsinkach nie ocieplił relacji amerykańsko-rosyjskich. Wręcz przeciwnie. Żenująca momentami postawa Trumpa tylko jeszcze mocniej zmobilizowała krytyków Rosji w USA i w efekcie przyniosła kolejne pakiety sankcji. Coraz cięższych dla Moskwy. Szczyt osłabił Trumpa i wzmocnił przeciwników Moskwy w USA. Jednym z jego efektów jest wzrost presji Kongresu na prezydenta, aby zaaprobował i wprowadzał w życie antyrosyjskie instrumenty: od ustawy CAATSA [akt o przeciwstawianiu się przeciwnikom Ameryki poprzez sankcje – przyp. red.] i „prawa Magnitskiego" [zakaz wjazdu do kraju dla obcokrajowców podejrzanych o korupcję i łamanie praw człowieka – przyp. red.] po uznanie Rosji „państwem-sponsorem terroryzmu". Powtarzane przez rosyjską propagandę próby przedstawienia Trumpa jako przyjaciela Rosji przyniosły odwrotny skutek. Teraz Trump znów musi udowadniać, że to nieprawda. Co widać mniej więcej od końca lipca. Nie tylko chodzi o sankcje, lecz także o politykę USA w Syrii, na Ukrainie i w sprawie wzmacniania wschodniej flanki NATO. W takiej właśnie bardzo sprzyjającej sytuacji za ocean poleciał Andrzej Duda. Okazało się, że krótkotrwały kryzys na linii Warszawa–Waszyngton z początku roku to już przeszłość. Im bowiem gorsze relacje USA z Niemcami, tym bardziej Amerykanie doceniają sojusznika z Polski.

W Waszyngtonie 18 września prezydenci obu państw podpisali deklarację o partnerstwie strategicznym. Poprzednia podpisana była dekadę temu. Ta nowa idzie dużo dalej i jest wielowymiarowa. Już w samym tytule wskazuje, że jednym z powodów jej przyjęcia jest wspólne zagrożenie (domyślnie: rosyjskie): „Obrona wolności i budowanie dobrobytu poprzez polsko-amerykańskie partnerstwo strategiczne". Deklaracja przewiduje przede wszystkim zacieśnienie współpracy woj-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

skowej. Oba kraje zobowiązały się również do pogłębienia współpracy w zakresie bezpieczeństwa energetycznego. Jest też oczywiście sporo o współpracy biznesowej. Zarówno ta deklaracja, jak i całokształt wyników wizyty Dudy w USA pokazują, że wbrew obawom, forsowanym głównie przez wrogów Trumpa (a w Polsce totalną opozycję), Ameryka nie porzuca naszego regionu Europy. Wręcz przeciwnie, coraz mocniej się angażuje, a po 18 września można przyjąć, że za lidera państw regionu, z którymi chcą współpracować, Stany Zjednoczone ostatecznie uznały właśnie Polskę.

Strategicznym celem Polski jest obecnie zacieśnienie sojuszu z USA na wszelkich możliwych płaszczyznach. Najważniejsza jest, rzecz jasna, ta militarna, ale nie mniej istotna jest choćby energetyka (i tutaj chyba w największym stopniu interesy Polski i USA się zbiegają, te niemieckie zaś – sprzeczne z polskimi i amerykańskimi – są tożsame z rosyjskimi). Jeśli chodzi o sojusz wojskowy, to pierwszym etapem było wprowadzenie w życie postanowień szczytu NATO w Warszawie w 2016 roku. Dzięki nim dziś w Polsce stacjonuje grupa bojowa Sojuszu Północnoatlantyckiego, ale też dominującą grupą w siłach sojuszniczych w Polsce są właśnie Amerykanie. Ważnym elementem jest modernizacja armii m.in. opierająca się na uzbrojeniu kupowanym od USA. – Kontrakt na zakup amerykańskiego systemu antyrakietowego Patriot jest największą umową zbrojeniową w historii polskiego wojska – podkreślał za oceanem prezydent Duda. Podczas jego wizyty i wspólnej z Trumpem konferencji prasowej padło kilka deklaracji szczególnie świadczących o wzmacnianiu sojuszu polsko-amerykańskiego. Trump bez wahania zgodził się z Dudą, że Rosja działa agresywnie i najlepszym sposobem na jej powstrzymywanie jest demonstracja siły. Rolę takiego instrumentu odstraszania najlepiej odegrałaby amerykańska baza wojskowa w Polsce. I Trump powiedział, że „poważnie rozważa lokalizację baz amerykańskich w Polsce". Co ważne w tym kontekście, padły słowa, że zapewniając bezpieczeństwo Polsce, USA nie tylko gwarantują spokój Europie, lecz także sobie. Po wizycie Dudy w Białym Domu wiadomo, że zrobiono duży krok w stronę zainstalowania sił amerykańskich w Polsce. Co ważne, wielkim orędownikiem takiego rozwiązania wydaje się Kongres. Na jego zlecenie Pentagon przygotowuje studium wykonalności. Nie mniej ważne, a bardziej naglące, jest jednak współdziałanie w polityce energetycznej. Obaj prezydenci postanowili ustanowić stały dialog w dziedzinie energii pomiędzy Polską a USA. To forum, na którym oba rządy co pewien określony czas będą rozważać bieżące kwestie i sprawy dotyczące bezpieczeństwa energetycznego. We wspólnej deklaracji podpisanej 18 września w Waszyngtonie strony zapewniły, że będą nadal koordynowały działania mające na celu przeciwdziałanie projektom energetycznym zagrażającym wspólnemu bezpieczeństwu, takim jak Nord Stream 2.

▶ Stara dobra Ostpolitik

Oczywiście z największą uwagą spotkaniu Dudy z Trumpem przyglądano się na Kremlu. Ale chyba tylko odrobinkę mniej – w Berlinie. Bo coraz mocniejszy sojusz polsko-amerykański to zagrożenie nie tylko dla Rosji, lecz także Niemiec. Podwójnie. Bo z jednej strony wzrost amerykańskiej obecności szkodzi niemieckim ambicjom w regionie i w całej Europie, z drugiej zaś coraz lepsze relacje z USA wzmacniają obecny obóz rządzący Polską, już niemal otwarcie zwalczany przez Berlin. Jak bowiem inaczej postrzegać demonstracyjne zaproszenie do Bundestagu na dyskusję o wewnętrznych sprawach Polski osobę, której polskie służby specjalne wydały „wilczy bilet" na teren całej UE? Ludmiła Kozłowska, bo o niej mowa, została przyjęta przez Niemców w sposób wręcz urągający i prowokujący Warszawę. Przy takiej niechęci (a czasem wrogości) Niemców do Polski nie dziwi sposób, w jaki Berlin postrzega zbliżenie polsko-amerykańskie. Warto tu zacytować „Die Welt", który z jednej strony podziwia zręczność polskiej dyplomacji, z drugiej ostrzegając, jak niebezpieczne jest to dla Niemiec. „Duda nalegał u prezydenta USA na wysłanie większej liczby amerykańskich żołnierzy do Polski i wykazał się przy tym chłopskim sprytem, proponując, by ewentualna stała amerykańska baza nazywała się Fort Trump. [...] W Warszawie najwyraźniej zrozumiano, na jakich zasadach działa gospodarz Białego Domu i jak można go włączyć w realizację własnych interesów". Gazeta dodaje, że Niemcy powinny baczniej przyjrzeć się porozumieniu, jakie Duda i Trump podpisali 18 września, bo „nowy polsko-amerykański sojusz tworzy front przeciw Nord Stream 2". „Ustawiczne ostrzeżenia Polski dotąd nie zrobiły wrażenia na nikim w Berlinie i Moskwie, ale jeśli teraz Trump, który najchętniej eksportowałby amerykański skroplony gaz ziemny, włączy się w ten konflikt, układ sił przesunie się na korzyść War-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

szawy" – konkluduje „Die Welt". Niemcy zaczęli też dostrzegać, jakim zagrożeniem dla ich interesów w Europie Środkowej i Wschodniej staje się inicjatywa Trójmorza, w której pierwsze skrzypce gra Warszawa, a która ma też coraz silniejsze poparcie USA. Kiedy Duda gościł w Białym Domu, w Bukareszcie kończył się dwudniowy – trzeci już – szczyt Trójmorza, służący współpracy 12 państw położonych między Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym (Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Węgry). Przyjechał nań szef niemieckiego MSZ. Heiko Maas musiał wysłuchać, jak Polska ponownie krytykuje Nord Stream 2, wskazując, że projekt ten pozbawi kraje tranzytowe opłat za przesył gazu i zwiększy podatność na szantaże Moskwy. Niemców zaniepokoiła jeszcze bardziej obecność ministra energetyki USA. Jak krytycznie napisał „Frankfurter Allgemeine Zeitung", Rick Perry wykorzystał okazję, by „podgrzać temperaturę wewnątrzeuropejskiego sporu za pomocą interesów energetycznych własnego kraju". A konkretnie chodziło o uwagę Perry'ego, że z powodu agresywnej postawy Rosji Europa musi postarać się o alternatywne źródła dostaw, w tym przede wszystkich o skroplony gaz ziemny z USA.

W tym samym dniu, 18 września, w Linzu odbyło się nieformalne spotkanie ministrów energii UE. Polska złożyła tam wniosek, by jak najszybciej przyjąć nowelizację dyrektywy o Nord Stream 2. Polski wniosek poparło 10 państw (Słowacja, Rumunia, Chorwacja, Litwa, Łotwa, Estonia, Wielka Brytania, Dania, Szwecja i Irlandia). Sprawa regulacji dotyczących gazociągu od miesięcy nie może ruszyć z miejsca. Wejście w życie nowej dyrektywy może bowiem wpłynąć na opłacalność gazociągu, który ma połączyć Rosję z Niemcami przez Morze Bałtyckie. Dlatego blokują przyjęcie dyrektywy Niemcy. I to właśnie Niemcy opowiedziały się w Linzu przeciwko wnioskowi Polski. Choć wiadomo, że głównym celem Nord Stream 2 jest nie tyle przerwanie tranzytu gazu przez Ukrainę, ile uzależnienie Niemiec, które stając się głównym dystrybutorem gazu z Rosji, będą zmuszone do liczenia się z Moskwą, Merkel powtarza, że to tylko projekt ekonomiczny. Mówiła o tym niedawno i w Gruzji, i na Litwie.

W połowie sierpnia kanclerz Niemiec przerwała swoje letnie wakacje, by przyjąć w podberlińskim pałacu Putina. Rozmowy w Mesebergu 18 sierpnia były drugim spotkaniem obojga przywódców w ciągu zaledwie trzech miesięcy. To spotkanie w Soczi w połowie maja uruchomiło proces bardzo intensywnych rozmów Berlina z Moskwą. Choć to Putin wraz z początkiem nowej kadencji rozpoczął politykę odwilży w relacjach z Europą, zwłaszcza Berlinem (symboliczne uhonorowanie obecnych na zaprzysiężeniu Schrödera i Warniga), nie byłoby obecnego zbliżenia niemiecko-rosyjskiego bez głębokiego przeświadczenia w niemieckim rządzie i kołach biznesowych, że Niemcy powinny szukać resetu w stosunkach z Rosją jako recepty na politykę Trumpa. W Berlinie dominuje dziś przekonanie, że współpraca ze strony Moskwy jest niezbędna do osiągnięcia pewnych priorytetowych celów Niemiec: zakończenia wojny w Syrii (postrzeganej jako motor napędowy masowej imigracji do Europy), politycznego zakończenia „kryzysu ukraińskiego" (postrzeganego jako źródło dzielących sankcji ekonomicznych) i last but not least długoterminowych pewnych dostaw węglowodorów do Niemiec. Wyraźnie w tym duecie to właśnie Berlin jest bardziej aktywny w poszukiwaniu i proponowaniu rozwiązań. Moskwa zajmuje wciąż postawę wyczekującą, wychodząc z założenia, że skoro to Niemcom bardziej zależy i są w słabszej pozycji negocjacyjnej, to warto jeszcze poczekać, bo czas gra na korzyść Moskwy – i zapewne następne propozycje niemieckie będą coraz bardziej korzystne dla Kremla. Póki co Rosja – choć wciąż jeszcze nieoficjalnie – przywróciła Niemcom status „najbardziej uprzywilejowanego partnera" w Europie.

Poparcie dla Nord Stream 2 i jednocześnie sprzeciw wobec koncepcji potocznie już określanej Fort Trump stają się dwoma fundamentami współpracy niemiecko-rosyjskiej. Jak powiedział jeden z najbardziej znanych adwokatów Rosji w Niemczech, dyrektor naukowy Forum Niemiecko-Rosyjskiego Alexander Rahr, „niektóre państwa europejskie wzywają NATO do zbrojeń, rozmieszczania nowych wojsk na wschodniej granicy UE, gdyż uważają, że Rosja to nowe zagrożenie dla Europy. Przede wszystkim to Wielka Brytania, Polska, kraje bałtyckie. Ale Niemcy, jak się wydaje, tym spotkaniem pokazały, że widzą dla Europy nową drogę – spróbować wrócić z normalizacją stosunków z Rosją". Będzie to o tyle łatwe dla Berlina, że nie licząc sprawy sankcji związanych z konfliktem rosyjsko-ukraińskim, UE nie prowadzi jednej czy choćby spójnej polityki wobec Rosji. Najbardziej widać to w polityce energetycznej. Berlin sabotuje unijne rynkowe prawodawstwo oparte na tzw. trzecim pakiecie UE

eprasa.pl 1fdc7c8e16

– woli działać samodzielnie. Nic dziwnego, że podobnie czyni szereg innych krajów. Także stawiając na Rosję. Tyle że gazowa współpraca z Putinem chociażby Węgier wywołuje, nie wiedzieć czemu, nieporównanie większą krytykę niż gazowy sojusz niemiecko-rosyjski.

▶ Chłopcy (nie) do bicia

Kiedy Trump przyjmował Dudę, na Kremlu Putin gościł Viktora Orbána. Jak komentowały niektóre media, „dwóch najsilniejszych przywódców politycznych świata" spotkało się tego samego dnia z dwoma „opornymi" przywódcami państw UE. To właśnie Polsce i Węgrom eurokraci grożą art. 7 traktatu UE. Nie ma wątpliwości, że nie byłoby antywęgierskiej hucpy w Parlamencie Europejskim czy też antypolskiej krucjaty Timmermansa, gdyby nie cicha zgoda, a najpewniej inicjatywa Berlina. W przypadku Polski te pohukiwania płynące z Brukseli mobilizują jedynie Warszawę do zacieśniania sojuszu z USA i wzmacniania więzi regionalnych. W przypadku Węgier jednak mogą mieć fatalne rezultaty, bo dają Orbánowi pretekst do zacieśniania współpracy z Putinem. Dzięki spotkaniu w Moskwie Putin mógł pokazać, że nadal jest popierany przez państwo członkowskie UE i NATO, chociaż pojawia się coraz więcej szczegółów dotyczących zamachu na Siergieja Skripala. Orbán mógł zaś – po batalii na unijnym polu – pokazać rodakom, że cieszy się poparciem dyplomatycznym mocarstwa. Na Kremlu była też mowa o gazie. Putin nie wykluczył, że odcinek rurociągu stanowiącego przedłużenie Tureckiego Potoku mógłby biec przez Węgry. Prorządowy dziennik „Magyar Idoek" przytaczał słowa Orbána, że w interesie narodowym Węgier leży, by współpraca dwustronna była jak najlepsza.

Kreml może to tylko cieszyć, bo w ten sposób rozbija wspólne stanowisko UE w sprawie sankcji nałożonych na Rosję. Przy rosnących w siłę w paru krajach europejskich (Włochy, Austria) obozach prorosyjskich Kreml może mieć nadzieję, że w końcu powstanie w UE tak silna grupa krajów, że zablokuje ona przedłużanie sankcji. Orbán może być z punktu widzenia Moskwy najlepszym kandydatem na lidera takiego obozu. Najbardziej niepokoi, że kurs Budapesztu na zbliżenie z Moskwą trudno już traktować wyłącznie jako taktyczny wybieg i argument w sporach z Brukselą. Widać coraz więcej coraz bardziej niepokojących sygnałów, jak choćby (wstrzymany już co prawda) węgierski program oferowania wizy w zamian za zakup obligacji państwowych, w ramach którego wizy dostali na przykład bliscy krewni szefa rosyjskiego wywiadu Siergieja Naryszkina. Orbán jest też użyteczny dla Moskwy w walce z Ukrainą. Węgry jako jedyne państwo UE blokują obecnie euroatlantycką integrację Ukrainy. Interesujące, że gdy Orbán gościł w Moskwie, doszło do kolejnego ostrego konfliktu na linii Budapszet–Kijów. Na Ukrainie ujawniono nagrania z ukrytej kamery w Konsulacie Węgierskim w Berehowem na Zakarpaciu (żyje tutaj około 150 tys. Węgrów). Po opublikowaniu przez media filmu z uroczystości wręczania węgierskich paszportów lokalnym Węgrom szef MSZ Ukrainy Pawło Klimkin nie wykluczył wydalenia konsula Węgier, którego widać na tym nagraniu, władze Ukrainy uznają bowiem tylko jedno obywatelstwo i nie tolerują posiadania dwóch paszportów. Ostro zareagował szef węgierskiej dyplomacji Peter Szijjarto. Ostrzegł, że rząd węgierski uznałby za nieprzyjazny i ryzykowny krok wydalenie konsula. „Przeniosłoby to na inną płaszczyznę" stosunki między dwoma krajami i nie pozostałoby bez odpowiedzi – powiedział Szijjarto. Rosję konflikty na linii Węgry–Ukraina mogą tylko cieszyć... ■

STRATEGICZNYM CELEM POLSKI JEST OBECNIE ZACIEŚNIENIE SOJUSZU Z USA NA WSZELKICH MOŻLIWYCH PŁASZCZYZNACH. NAJWAŻNIEJSZA JEST, RZECZ JASNA, TA MILITARNA, ALE NIE MNIEJ ISTOTNA JEST CHOĆBY ENERGETYKA.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Hitler, Syryjczycy, reparacje i niemiecka droga do gwiazd

Olga Doleśniak-Harczuk

A jednak Niemcy osiągnęły sukces. Z garbem winy za zbrodnie III Rzeszy, z fasadową denazyfikacją i nie do końca „odgruzowaną głową" udało im się po II wojnie światowej nie tylko dołączyć do ekskluzywnego klubu zachodnioeuropejskich graczy, lecz także przejąć bar. Wypromować niemieckość jako symbol niezawodności i jakości, w końcu – wspólnie z Francją – położyć fundament pod konstrukt europejski. Czy Josef Joffe odkrył Amerykę, pisząc o historii powojennych Niemiec w rytmie „od wyrzutka do Wunderkinda"?

epras 1fdc7c8e16

Niech pani spojrzy, to musi być w Kolonii, tam na horyzoncie widać dwie wieże, wypisz wymaluj Katedra Kolońska. Oni nie bombardowali świątyń... – siwy antykwariusz (na oko około 65 lat) podsuwa mi pod nos magazyn „Geo Epoche" zatytułowany „Niemcy po wojnie 1945–1955". Na okładce zdjęcie dziewczyny z psem i całym dobytkiem siedzącej pośród ruin, w tle majaczą dwie kościelne wieże. – Berliński Kościół Pamięci nie przetrwał – zauważam. – No tak, zbombardowali go, pewnie przez przypadek, ale już Bramy Brandenburskiej nie udało im się rozwalić, zabezpieczono ją sprytnie betonowymi blokami – odpowiada ściszonym głosem. Widać, że pasjonuje się historią, niespokojnie przekłada jakieś książki, pomaga mu w tym dzielnie młody chłopak jako żywo przypominający pokazywanych w mediach imigrantów z Afryki Północnej. Pomocnik słabo posługuje się niemieckim, ale widać, że ma chęć do pracy, zdezorientowany stara się pomóc swojemu pracodawcy w poszukiwaniu bliżej niesprecyzowanych ksiąg.

Kosmiczna istota Chamberlaina

Rozmowa o wieżach trwa jeszcze dobre dziesięć minut, stragan z książkami przy Unter den Linden na chwilę zamienia się w kółko historyczne, dołączają kolejni dyskutanci, też amatorzy zakurzonych książek i magazynów, pomocnik antykwariusza przygląda się temu z widocznym zaciekawieniem. Jest tu wszystko – od pożółkłych i zawilgotniałych albumów pamiętających lepsze czasy przez kieszonkowe wydania lektur szkolnych po rządowe publikacje o zjednoczeniu Niemiec. – Nie, to musi być Katedra Kolońska! – wykrzykuje rozemocjonowany sprzedawca. Zabieram już moje „Geo" i odchodzę. – Niech pani koniecznie sprawdzi to zdjęcie w Internecie i wpadnie powiedzieć, czy miałem rację – rzuca na pożegnanie. Wpadnę za jakiś czas, te stare kartony kryją niejedną ciekawostkę, tak jak chociażby upolowane kilka dobrych lat temu „Zasady XIX wieku" Houstona Stewarta Chamberlaina, wydane w 1909 roku w Monachium, dwadzieścia lat od wydania pierwszego. „Hitler się nim inspirował, czytał Chamberlaina pasjami, to niebezpieczne książki" – ostrzegała gorliwie sprzedawczyni. Cóż, Chamberlain, wielbiciel rasy teutońskiej, jeden z najwierniejszych fanów Ryszarda Wagnera i mąż jego córki Ewy, stworzył 1200-stronicowe „Zasady XIX wieku" w 19 miesięcy, stając się od tej chwili bożyszczem piewców „religii germańskiej", takich jak Arthur Bonus czy Paul de Lagarde. W 1923 roku – jak podawał w swojej książce „Metapolitics: From Wagner and the German Romantics to Hitler" (1941 r., A.A. Knopf, New York) amerykański konserwatysta Peter Viereck – Chamberlain napisał do Hitlera list, w którym porównywał siebie do Jana Chrzciciela, który „teraz może spokojnie zamknąć oczy, ponieważ odnalazł wybawcę, którego tak długo wyczekiwał". Pisarz nazywał też przyszłego dyktatora III Rzeszy „kosmiczną istotą", przypisywał mu zdolność „budzenia dusz". Dla Chamberlaina i ogromnej części zafascynowanych Hitlerem elit niemieckich niespełniony malarz z Austrii był ziszczeniem wagnerowskich snów o Zygfrydzie-Barbarossie, bohaterskiej hybrydzie, która miała wyzwolić niemiecki lud od „demokracji, kapitalizmu i Żydów". Czy warto dziś czytać Chamberlaina? Nie warto go nie znać. Pomaga zrozumieć naciąganą mitologię, na której wyniesiono do władzy syna Aloisa i Klary Hitlerów.

Umysły w gruzach albo gruzy w głowach

Wracamy na Unter den Linden. Czarno-biała fotografia faktycznie powstała w Kolonii, w marcu 1945 roku. Autor zdjęcia, „Johnny" John Florea (1916–2000), amerykański fotograf i reżyser, który towarzyszył US Army w Europie od 1941 roku, dokumentował wojenną i powojenną rzeczywistość. Był z aliantami w Paryżu, w kwietniu 1945 roku dotarł z amerykańską armią do Turyngii, do obozu koncentracyjnego Mittelbau-Dora, założonego przez Niemców w celu dostarczenia niewolniczej siły roboczej dla pobliskiej podziemnej fabryki rakiet V2 Mittelwerk. W obozie „Johnny" robił fotografie ocalonym więźniom, uwiecznił też szczątki tych, którzy nie dożyli wyzwolenia. Po wojnie Florea zasłynął sesjami z udziałem Marilyn Monroe, publikował w magazynach „Life" i „San Francisco Examiner", nakręcił kilka mniej lub bardziej udanych filmów. We wrześniu 2018 roku to jednak nie portrety ponętnej Marilyn, lecz ujęcia ze zbombardowanej Kolonii wzbudzają emocje na Unter den Linden. Ale nie tylko zdjęcia są ciekawe. Archiwalny numer „Geo" oferuje wycieczkę w głąb powojennych Niemiec.

„Odgruzowywanie miast wymagało gigantycznego wysiłku, ale usuwanie gruzów z głów było jeszcze trudniejsze. I udało się połowicznie. Duchowa hipoteka Hitlera pokrywała kraj niczym warstwa mułu. W Niemczech nigdy nie doszło do wewnętrznego, politycznego rozliczenia. Włos z głowy nie spadł gauleiterom, żaden kapuś nie dostał lania. »Denazyfikacja« stała się jedynie powierzchowną czystką w administracji i służbie publicznej. Konformizm nie przynosił nikomu ujmy. Zbyt wielu nosiło w klapie swastykę, zbyt wielu w tym uczestniczyło [...] »Mordercy są pośród nas« – brzmiał tytuł filmu Wolfganga Staudte. Film ten skruszył mur milczenia i został entuzjastycznie przyjęty przez krytyków, nie zdołał jednak zmienić nic w temacie kolektywnego wypie-

fot. arch.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

rania [winy]. Masy nie chciały już nic więcej wiedzieć o wojnie i wszystkim, co się z nią wiązało. Liczył się spokój, a nie konfrontacja z nieprzyjemnymi pytaniami, ani we własnym sumieniu, ani przed publicznymi trybunałami" – czytamy w jednym z otwierających wydanie magazynu artykułów.

Moralne supermocarstwo

A jednak Niemcy osiągnęły sukces. Z garbem wypieranej winy za zbrodnie III Rzeszy, z fasadową denazyfikacją i nie do końca „odgruzowaną głową" udało im się po II wojnie światowej nie tylko dołączyć do ekskluzywnego klubu zachodnioeuropejskich graczy, lecz także przejąć bar. Wypromować niemieckość jako symbol niezawodności i jakości, w końcu – wspólnie z Francją – położyć fundament pod konstrukt europejski, w którym jeszcze póki co, pomijając ostatnie turbulencje, w większości spraw mają często decydujące słowo. Jak to się stało? W jaki sposób najczarniejsze karty swojej historii, ale i rolę w dzisiejszej Europie, postrzegają dziś sami Niemcy? Jak to było możliwe? W ciekawy i dynamiczny sposób tę niemiecką ewolucję od „uginającego się pod winą pariasa" po „cudowne dziecko Europy" nakreślił ostatnio publicysta Josef Joffe. W opublikowanej ponad miesiąc temu książce „Der gute Deutsche. Die Karriere einer moralischen Supermacht" („Dobry Niemiec. Kariera moralnego supermocarstwa", C. Bertelsmann, 2018 r.) Joffe opowiada historię Niemiec jako moralnego bankruta, któremu w kilkadziesiąt lat od zakończenia II wojny światowej udało się wybić na pozycję lidera, nie tylko gospodarczego, lecz przede wszystkim „moralnego" (w tym punkcie jednak ewidentnie puszcza oko do czytelnika). Autor swoje miejscami karkołomne tezy przetyka nawiązaniami do niemieckiego Bildungsromanu, czyli powieści o formowaniu, w której autor etap po etapie analizuje psychologiczno-moralne i społeczne kształtowanie się osobowości głównego bohatera. Joffe sporo miejsca poświęca literackiemu archetypowi „paskudnego Niemca" (tu powołuje się na powieść „Poddany" Henryka Manna), aby pod koniec ogłosić, że współczesne Niemcy nie mają już nic wspólnego z „paskudnym Niemcem", powinny rozwijać się w kierunku republikańskiego patriotyzmu, a poczucie winy za niechlubną przeszłość najlepiej przekuć w poczucie odpowiedzialności. Co istotne, Joffe diagnozując stan moralny dzisiejszych Niemiec, przygląda się przy okazji kondycji Unii Europejskiej i dochodzi do wniosku, że „UE nieszybko pozbędzie się państw narodowych – z pewnością nie w czasach, gdy od Portugalii po Polskę rośnie sprzeciw wobec zbytniego zacieśnienia wspólnoty". Ta książka jest pozycją obowiązkową dla wszystkich zainteresowanych tokiem myślenia współczesnych niemieckich elit. Jak również tym, na jakim gruncie zrodziła się charakterystyczna dla niemieckich polityków tendencja do forsowania interesów narodowych pod pretekstem dbania o bliżej niezdefiniowane ponadnarodowe dobro wspólne, przejmowania odpowiedzialności za Europę, świat etc. Joffe pisze bowiem bardzo precyzyjnie o „pozornym odnarodowieniu interesów państwa", mechanizmie stosowanym już przez Konrada Adenauera, a doprowadzonym do perfekcji przez Angelę Merkel, twarz dzisiejszych „dobrych Niemiec". Książka Joffego to w sumie zapis procesu resocjalizacji, wychodzenia Niemiec z depresji, pozbywania się „złych manier", jakie miała „poprzedniczka Republiki Federalnej Niemiec" pod czujnym okiem alianckich mentorów, następnie deklarowanie chęci nie tylko do nauki, lecz także prześcignięcia amerykańskich, brytyjskich, francuskich belfrów w dziedzinie człowieczeństwa. Aż do kumulacji – forsowania polityki niemieckiej pod sztandarem „wartości europejskich". Joffe pisze wprost: w oficjalnej retoryce coś takiego jak nagi, niemiecki interes nie istnieje, nie ma tu miejsca na „niemieckiego Trumpa" dążącego do tego, by „Niemcy były znowu wielkie". Trudno nie przyznać mu racji, ponieważ to nie Niemcy, a Europa „ma być wielka" i coraz bardziej zjednoczona (*vide*: tezy szefa niemieckiego MSZ-etu Heiko Maasa odnośnie do „budowania przeciwwagi dla Ameryki Donalda Trumpa"). Wniosek: Niemcy najzwyczajniej nie potrzebują niemieckiego Trumpa, nie jest im do niczego potrzebny.

Ordnung na opak

Salon prasowy na dworcu Friedrichstrasse. Klientów wita dobrze wyeksponowany komiks „Hitler Hipster", z okładki patrzy na niemiecką stolicę zblazowany Führer z jedną ręką wsadzoną w kieszeń spodni. Na fali sukcesu powieści Timura Vermesa „Er ist wieder da" („On powrócił") o Hitlerze, który po 70 latach od zakończenia wojny nagle budzi się na jednym z berlińskich osiedli i podbija serca współczesnych Niemców, wszelkie alternatywne wizje Hitlera świetnie się sprzedają. Sukces powieści Vermesa przerósł oczekiwania samego autora, powieść i nakręcony na jej kanwie film zrobiły furorę, nie dziwi, że najnowsza powieść „Die Hungrigen und die Satten" („Głodni i syci") jest reklamowana jako „książka autora po-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

wieści o Hitlerze". Reklama działa. „Głodni i syci" już są w koszyku. Podobnie jak powieść Vladimira Kaminera, berlińskiego Rosjanina, imigranta, pisarza i inicjatora słynnych na całe Niemcy imprez tanecznych „Russendisco", który tym razem zamiast imprez i Rosjan wziął na warsztat kryzys imigracyjny, opisując perypetie z syryjską rodziną, która zamieszkała w jego okolicy. Najnowsza książka Kaminera „Ausgerechnet Deutschland: Geschichten unserer neuen Nachbarn" („Akurat Niemcy: historie naszych nowych sąsiadów") pokazuje Niemców zagubionych mentalnie w kryzysie imigracyjnym, ale i zagubionych w nim nowych przybyszów, którzy czują się w nowym miejscu trochę jak na innej planecie, wrzuceni w matnię, która daje cukierki, ale w zamian oczekuje jakiejś zagadkowej integracji. W powieści imigranci występują pod zbiorowym pojęciem „Syryjczyków". I tak dowiadujemy się, że „Syryjczycy" mają zwyczaj odpakowywać przesyłki kurierskie, które doręczyciel zostawia u nich na tzw. przechowanie, kiedy sąsiada obok nie ma w domu, i potem mali „Syryjczycy" paradują w nowiutkich ubrankach przed niemiecką rodziną skrajnych przeciwników napływu imigrantów do ich kraju... I konflikt gotowy. Poza tym typowi „Syryjczycy" nigdy nie dopuszczą do swoich żon lekarza mężczyzny, ale jak zorientują się, że w szpitalu dyżuruje „pani doktor", będą ją wzywać do domu choćby o północy, nawet gdy żeńska część rodziny zapadnie na katar. Poza tym nie do końca mówią prawdę o miejscu swego pochodzenia i o stopniu pokrewieństwa, lubią dużo gotować i gościom zawsze sadzają na kolanach najmłodsze dziecko „dla zmiękczenia serca". Tyle „Syryjczycy". A co z Niemcami? Niemcy są uczynni, chcą pomagać, ba – sami domagają się w urzędach przydzielenia im „młodego Syryjczyka", którym mogliby się z potrzeby serca zajmować, ale w momencie, gdy wybucha afera z molestowaniem przez imigrantów niemieckich kobiet, nagle zapał do niesienia pomocy topnieje. Niemcy też bardzo by chcieli, by „Syryjczycy" brali numerki, ustawiali się w kolejkach etc., a przybysze nie biorą numerków, nie stoją w kolejkach i generalnie przejawiają wielopoziomową awersję do Ordnungu. Są jeszcze inni Niemcy, tacy, którym obecność „Syryjczyków" kojarzy się wyłącznie z najazdem, i nie ma mowy ani o pomocy, ani o numerkach. Dla nich rozwiązaniem każdej krzyżówki migracyjnej jest hasło „deportacja". Książka Kaminera, jak prawie wszystko, co pisze, jest lekka i szybko się czyta, ale to krzywe zwierciadło nie oddaje w pełni atmosfery miast i miasteczek niemieckich, z ich buntem wobec polityki otwartych drzwi i ze szczególnym postulatem wschodnich Niemców: „Najpierw nas zintegrujcie, a potem całą resztę". Tak czy inaczej książki o Hitlerze i imigrantach są dziś w Niemczech na topie, a największym wzięciem cieszą się te o imigrantach napisane przez autorów mających w dorobku książki o Hitlerze. Chyba że jeszcze dorzucimy do tego pozycje o imigrantach pisane przez samych imigrantów (bardzo ciekawy dział) oraz nieśmiertelne dzieła Thilo Sarrazina, ale o nich kolejnym razem.

Książki o Hitlerze i imigrantach są dziś w Niemczech na topie, a największym wzięciem cieszą się te o imigrantach napisane przez autorów mających w dorobku książki o Hitlerze.

Rząd nie działa w interesie „zwykłych Niemców"

Pan X ma około 60 lat i sympatyczną twarz z podkręconym wąsem, stoi przy kasie, w ręku ściska pismo „Compact". Magazyn jest uważany za tubę Alternatywy dla Niemiec i Pegidy, wydaje go środowisko Jürgena Elsässera, publicysty znanego ze swoich prokremlowskich sympatii. – Coś ciekawego w tym numerze? – zaczepiam X. – Wszystko jest ciekawe, znajdzie tu pani rzetelne relacje, żadnego upiększania rzeczywistości. Tutaj na przykład jest artykuł o tym terroryście, ochroniarzu Osamy bin Ladena. Najpierw Niemcy go wydaliły, a teraz sądownie nakazano, by go znowu sprowadzono, przecież to woła o pomstę do nieba! – mówi mój rozmówca i wodząc palcem po następnych tytułach,

eprasa.pl 1fdc7c8e16

wyjaśnia mi w telegraficznym skrócie najważniejsze zagadnienia z leadów. Od słowa do słowa już wiem, że X jest berlińczykiem i zdecydowanym przeciwnikiem polityki imigracyjnej kanclerz Merkel, twierdzi, że rząd nie działa w interesie „zwykłych Niemców", a prasa notorycznie kłamie. Poza tym „Hitlera finansowały Stany Zjednoczone i historia wcale nie była taka, jak ją nam przedstawiają". Odsyła mnie też do wcześniejszego wydania „Compact", gdzie rzeczowo sprawę omówiono. Potem temat schodzi na Polskę. – Dobrze, że nie zgodziliście się na imigrantów, tak jak Węgry. Ale jeżeli chodzi o wojnę, to nie zachowaliście się rozsądnie. Było trzymać z nami. Już Franciszek Józef mówił, że Czarny Orzeł zawsze stanie w obronie Białego Orła, było się tego trzymać. Niedobrze się stało, a teraz to w ogóle wszędzie same problemy, a u nas największe – kończy. Rozchodzimy się do swoich zajęć i światów, Pan X z rulonem „Compact" w dłoni niknie przy wejściu ze stacji, tym, przed którym dziesięć lat temu postawiono pomnik upamiętniający Kindertransporty – „Pociągi do życia, pociągi do śmierci". Na torach dwie grupy dzieci czekających na odjazd w przeciwnych kierunkach: jedna grupa ocalona dzięki Kindertransportom do Wielkiej Brytanii, druga skazana na pewną śmierć w niemieckich, nazistowskich obozach zagłady. Przechodnie rzadko kiedy zatrzymują się przy figurach z brązu, jakiś turysta zrobi zdjęcie, zabiegani berlińczycy mają swoje problemy.

Porozmawiajmy o reparacjach

Warszawa, wrzesień 2018 roku. Konferencja „Sprawa odszkodowań za II wojnę światową i stosunki polsko-niemieckie" zorganizowana przez Instytut Zachodni. Sala wypełniona po brzegi, wśród prelegentów jest dr Karl-Heinz Roth z Berlina, współautor (wraz z Hartmutem Rübnerem) wydanej w ubiegłym roku książki „Reparationsschuld Hypotheken der deutschen Besatzungsherrschaft in Griechenland und Europa" („Odszkodowania. Niespłacone długi okupacji niemieckiej w Grecji i w Europie"). Historyk nie przebiera w słowach, przypomina, że w traktacie „2+4", który otworzył drogę do Zjednoczenia Niemiec, nie pojawiła się kwestia reparacji, mówi o naciskach dyplomacji niemieckiej na stronę polską i szantażowaniu ewentualnym sprzeciwem Niemców wobec uznania granicy na Odrze i Nysie. Fakt, że wykluczono sprawę polskich roszczeń z traktatu, można spokojnie uznać za jeden z największych sukcesów bońskiej dyplomacji, od tego momentu bowiem Niemcy nieprzerwanie stoją na stanowisku, że problem reparacji i odszkodowań za II wojnę światową został definitywnie zamknięty. Zdaniem Rotha Polska mimo wszystko powinna domagać się zadośćuczynienia od Niemiec i doradza nawet, jak się za to zabrać (więcej na ten temat w rozmowie z prof. Rothem na stronie 79).

Zajmujący się roszczeniami włoskimi wobec Niemiec prof. Lutz Klinkhammer, dyrektor Niemieckiego Instytutu Historycznego w Rzymie, odniósł się natomiast do 500 mln marek „dobrowolnej wypłaty", na jaką po upadku muru zgodził się względem 600 tys. wybranych, polskich ofiar III Rzeszy kanclerz Helmut Kohl . Biorąc pod uwagę wysokość tej kwoty, nawet nie sposób nazwać jej jałmużną – stwierdził Klinkhammer. Konferencja wywołała sporo emocji, publiczność żywo reagowała na niektóre wypowiedzi panelistów, zwłaszcza prof. Stephana Lehnstaedta z Touro College w Berlinie, który z jednej strony postulował stworzenie muzeum polsko-niemieckiego (co *notabene* wcale nie jest złym pomysłem), lecz z drugiej podważał sens dochodzenia przez Polskę reparacji wojennych, proponując w zamian skupienie się na pomocy żyjącym jeszcze ofiarom II wojny światowej. Ta propozycja nie spotkała się z entuzjazmem większości polskiej publiki. Z sali padło pytanie m.in. o to, kiedy państwo niemieckie zwróci Polsce zagrabione podczas II wojny światowej dzieła sztuki. Obecny na sali prof. Zdzisław Krasnodębski, wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego, przypomniał, że kiedy Instytut Zachodni organizował debatę poświęconą reparacjom wojennym w Brukseli (w lutym br.), wiele osób odmówiło w niej udziału, chodziło głównie o referentów z Niemiec. Fakt, że w Warszawie udało się zorganizować trzy panele poświęcone sprawie i nie zabrakło na nich ekspertów niemieckich, jest więc bez wątpienia postępem. Przynajmniej zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. W Berlinie na postęp zareagowano błyskawicznie. Nazajutrz po konferencji na łamach „Faktu" minister gospodarki i energetyki Niemiec Peter Altmaier zakomunikował, że stanowisko rządu federalnego w sprawie reparacji wojennych jest jasne, że temat jest zamknięty pod względem politycznym i prawnym. Jeżeli wszystko już pozamykano, to po co ten komentarz? A może nadszedł czas na to, by niemieckie elity zamiast wyłącznie przepraszać w oficjalnych przemówieniach za zbrodnie III Rzeszy (co też oczywiście jest cenne i pożądane), dokonały poważnego rozrachunku z jej dziedzictwem i „odgruzowały" głowy i sumienia? Tak na serio, ze wszystkimi konsekwencjami procesu. Jak na końcowy produkt Bildungsromanu przystało. ■

_____

W artykule wykorzystałam fragmenty wrześniowych korespondencji z Niemiec dla „Gazety Polskiej Codziennie".

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Reparacje nie ulegają przedawnieniu

Niemcy wciąż mają względem Polski zobowiązania dotyczące reparacji wojennych. Wynika to jednoznacznie z prawa międzynarodowego – mówi dr Karl Heinz Roth, historyk, ekspert fundacji „Stiftung für Sozialgeschichte des 20. Jahrhunderts" w rozmowie z Olgą Doleśniak-Harczuk.

▶ Niemieccy eksperci, historycy, politycy stale podkreślają, że temat reparacji wojennych dla Polski został raz na zawsze zamknięty. Podziela Pan ten pogląd?

W przeciwieństwie do większości moich kolegów historyków jestem zdania, że Niemcy wciąż mają wobec Polski zobowiązania dotyczące reparacji wojennych. Wynika to jednoznacznie z prawa międzynarodowego. Republika Federalna Niemiec powinna niezwłocznie się do tego przyznać i zaproponować rządowi w Warszawie negocjacje. Przy czym rozmowy powinny się wpisywać w szerszy, wielostronny kontekst, ponieważ Niemcy nie uregulowały swoich zobowiązań nie tylko wobec Polski, lecz także wobec kilku innych państw.

▶ Jednym z nich jest na przykład Grecja. To ciekawe, że w 1974 roku RFN zadośćuczyniła finansowo Grekom za zatopienie statków handlowych w początkowym okresie I wojny światowej, reparacje nie ulegają więc, jak widać, przedawnieniu. Dla Polski postanowiono uczynić wyjątek?

Zgodnie z prawem międzynarodowym roszczenia odszkodowawcze się nie przedawniają. Przywołany przez panią przykład jest jednym z wielu. Inny to chociażby tzw. pożyczki Dawesa i Younga z lat 20. XX wieku udzielone Niemcom na spłatę reparacji wojennych za I wojnę światową. Niemieckie rządy od 1954 roku na bieżąco to zadłużenie spłacały, ostatnie raty na rzecz międzynarodowych wierzycieli zostały wypłacone dopiero w 2010 roku. Polska nie może w tym sensie stanowić wyjątku.

▶ Jak najskuteczniej moglibyśmy dochodzić swoich praw w kwestii reparacji?

Najlepszym wyjściem byłoby uzupełnienie traktatu „2+4" z 1990 roku, który *de facto* jest traktatem pokojowym, o konferencję poświęconą tematowi reparacji.

▶ Chcemy uniknąć traktatu pokojowego, ponieważ mógłby on uruchomić reakcję łańcuchową w kwestii reparacji – stwierdzono w lutym 1990 roku w dokumencie roboczym grupy eksperckiej planującej ramy zjednoczenia Niemiec. Dziś, blisko trzy dekady od zjednoczenia, mimo oficjalnie braku traktatu pokojowego – o co tak usilnie zabiegało Bonn – sprawa reparacji wróciła na polityczną agendę. Sądzi Pan, że zarówno republika bońska, jak i kolejne rządy zjednoczonych Niemiec nieco się przeliczyły, uznając sprawę za zamkniętą?

Owszem, uważam, że się przeliczyli. Dziś, 28 lat od zjednoczenia Niemiec, kwestia reparacji pozostała wciąż paląca. Jeżeli obecny rząd niemiecki będzie się wzbraniał przed wzięciem udziału w konferencji mającej na celu uzupełnienie zapisów traktatu „2+4" o właściwe punkty, rządy państw zgłaszające roszczenia względem Niemiec powinny się skrzyknąć i wspólnie, na forum Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), wymusić powołanie komisji arbitrażowej poświęconej reparacjom. W ostatnich latach swoje roszczenia w kwestii reparacji za II wojnę światową na nowo postawiły Grecja i Polska, teraz jako inicjatorzy postępowania arbitrażowego państwa te mogłyby się zaangażować w przygotowania jego prac. ■

Plan Dawesa (od nazwiska amerykańskiego bankiera Charlesa Gatesa Dawesa) – historyczny plan gospodarczy rozłożenia na wiele lat niemieckich reparacji wojennych po I wojnie światowej oraz udzielenia Niemcom pożyczek w wysokości 200 mln dolarów na ich spłatę. Opracowany został w celu stabilizacji niemieckiej gospodarki powojennej przez zespół ekspertów pod kierownictwem Charlesa Dawesa i przyjęty 16 sierpnia 1924 r. podczas obrad tzw. konferencji londyńskiej, uchwalony jako obowiązujący przez Reichstag 30 sierpnia 1924 r.

Plan Younga – plan spłat reparacji niemieckich opracowany w 1929 r. przez międzynarodową komisję rzeczoznawców pod przewodnictwem Owena Younga, który stał się podstawą do rokowań nad sprawą reparacji niemieckich na pierwszej i drugiej konferencji w Hadze. Po przeprowadzeniu zmian mocarstwa przedstawiły plan Younga Niemcom, których parlament przyjął go uchwałą z 12 marca 1930 r. Plan Younga zastąpił plan Dawesa. Na mocy planu Younga Niemcy zobowiązały się do spłat reparacji w ciągu 59 lat (do 1988 r.), w ogólnej sumie 115 447 000 000 RM. Sumą tą objęto odszkodowania wojenne dla ententy i Stanów Zjednoczonych, koszty odbudowy oraz oprocentowanie i spłatę pożyczki Dawesa.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Hanna Shen

Dobra zmiana wkroczyła do Malezji

Mahathir Mohamad w wieku 92 lat wrócił do polityki w Malezji. W maju tego roku stanął do wyborów i je wygrał. Najstarszy premier na świecie od razu rozpoczął walkę z korupcją i ograniczył współpracę z Chinami w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku, aby powstrzymać zadłużenie jego kraju i jeszcze większą korupcję.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

„Tak, wciąż żyję" – tymi słowami rozpoczął konferencję prasową po ogłoszeniu wyniku wyborów parlamentarnych w maju tego roku Mahathir Mohamed, 92-letni polityk stojący na czele opozycyjnej wobec rządu koalicji Sojusz Nadziei. W trakcie konferencji po wyborach żartował, że pewnie nikt go nie pamięta. Ale Malezyjczycy, którzy pozwoli mu znowu wrócić do władzy, z pewnością mają w pamięci jego rządy w latach 1981–2003. To wtedy Malezja stała się jednym z azjatyckich tygrysów. Mohamad sam przyznaje, że rządził twardo. „Byłem dyktatorem" – mówi. Kiedy jego najbliższy współpracownik, wicepremier Anwar Ibrahim, zażądał reform, premier Mohamad oskarżył go o korupcję i sodomię. Anwar został skazany na dziewięć lat, z których odsiedział cztery.

Odchodząc na emeryturę, Mohamad wskazywał na swojego następcę Najiba Razaka. Ten ostatecznie został premierem w 2009 r. Niestety, jego rządy okazały się klęską dla Malezji. Rosła korupcja, a Razak zacieśniał współpracę z Chinami. Zawierane m.in. w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS) umowy oznaczały długi, napływ chińskiej siły roboczej i wzrost wpływów ChRL. Razak, jak w przeszłości Mohamad, uwięził Anwara Ibrahima, który jako założyciel Sojuszu Nadziei był dla niego największym zagrożeniem. Anwar usłyszał w 2015 roku zarzut sodomii, ale dla obrońców praw człowieka jego proces był stricte polityczny.

Na to, co działo się w kraju, nie mógł spokojnie patrzeć były premier Mahathir Mohamad i postanowił wrócić z emerytury. Najiba Razaka, którego kiedyś promował, nazwał „największym błędem swojego życia" i stanął do walki wyborczej przeciwko niemu. Wygrał i szybko zaczął wprowadzać dobrą zmianę w swoim kraju.

Nowy premier tylko na chwilę

Jeszcze w trakcie wyborów Mohamad obiecał, że jeśli wygra, będzie rządzić tylko przez dwa lata i że ułaskawi Anwara Ibrahima. 16 maja tego roku, czyli sześć dni po zaprzysiężeniu premiera Mohamada, Ibrahim opuścił więzienie. Tego samego dnia został także ułaskawiony przez króla Muhammada V Farisa Petra. Zaraz potem nowy premier Malezji zapowiedział, że to właśnie Anwar Ibrahim przejmie od niego ster rządów po dwóch latach.

Widać, że relacje nowego premiera z Ibrahimem układają się bardzo dobrze. W wywiadzie z 17 września dla singapurskiej stacji Channel News Asia Ibrahim mówił o bardzo dobrej komunikacji i zrozumieniu między oboma politykami, którzy przecież w przeszłości też byli w ogromnym konflikcie. Ibrahim nie szczędził też pochwał obecnemu szefowi rządu w Malezji. „Mahathir radzi sobie nad wyraz dobrze [...]. Jest bardzo konsekwentny" – mówił. Stwierdził też, że jego obowiązkiem jest wspieranie Mohamada tak, by jego rządy były jak najbardziej efektywne. Zapewnił, że chciałby, aby obecny premier mógł nadal doradzać rządowi, gdy go opuści za dwa lata. Mahathir Mohamad będzie miał wtedy prawie 95 lat, ale jak uważa Ibrahim, będzie bardzo „pomocny w nawiązywaniu kontaktów w kraju i za granicą". Dziennikarka stacji Channel News Asia przekornie zapytała, czy Anwar Ibrahim wierzy, że Mahathir naprawdę odejdzie na emeryturę. Namaszczony na przyszłego szefa rządu polityk odpowiedział, że jeśli chodzi o poświęcenie dla kraju, to w przypadku Mohamada trudno mówić o emeryturze, ale z pewnością zrezygnuje ze stanowiska premiera i nie przyjmie już żadnych oficjalnych funkcji.

Były premier z zarzutami

Do emerytury Mohamad ma jeszcze dwa lata i jeśli będzie działał w takim tempie jak dotąd, to zostawi po sobie odmieniony kraj. Zapowiedział walkę z korupcją, a to oznaczało, że trzeba zacząć od samej góry. Od Najiba Razaka. Jeszcze w czasie rządów Razaka pojawiły się wobec niego podejrzenia o przywłaszczenie olbrzymich sum z 2,6-miliardowego rządowego funduszu rozwoju strategicznego 1MDB (1Malaysia Development Berhad). Powstał on w 2009 r., zaraz po dojściu Razaka do władzy. Miał służyć inwestycjom w energetykę, nieruchomości, agrobiznes i turystykę. W 2015 roku na jaw wyszły informacje, że 700 mln dolarów z funduszu trafiło na prywatne konto ówczesnego premiera i do ludzi z jego otoczenia. Media pisały także o zakupie dla żony Razaka, Rosmah Mansor, szlachetnych kamieni i diamentów za dziesiątki milionów dolarów. Jeden z diamentów miał być wart 27 mln dolarów.

Po przegranych wyborach Razak wraz z żoną chciał wyjechać z Malezji na „krótkie wakacje". Podobno wybierali się do Indonezji. 12 maja, czyli dwa dni po zaprzysiężeniu premiera Mahathira Mohamada, wydano zakaz opuszczania kraju dla Najiba Razaka i jego żony. W lipcu, czyli dwa miesiące po dojściu Mohamada do władzy, byłemu premierowi postawiono zarzut sprzeniewierzenia pieniędzy pochodzących m.in. z funduszu 1MDB. Amerykański Departament Sprawiedliwości podejrzewa, że całkowita kwota, którą przywłaszczyli Razak, jego bliscy i współpracownicy, to co najmniej 4,5 mld dolarów. Razak, który konsekwentnie twierdzi, że jest niewinny, został zatrzymany na początku lipca. Na terenie nieruchomości należących do byłego premiera policja zabezpieczyła kosztowności warte co najmniej 273 mln dolarów. Wśród

fot. HOW HWEE YOUNG/PAP/EPA

eprasa.pl 1fdc7c8e16

nich było 567 torebek, 2200 pierścionków i 14 tiar. Ostatecznie sąd wyznaczył kaucję w wysokości 337 tys. dolarów i Razak opuścił więzienie. Trafił do niego ponownie 18 września, tuż przed rozpoczęciem procesu. W sprawie domniemanych malwersacji i prania pieniędzy przelanych z 1MDB toczą się już śledztwa w kilku krajach, w tym w USA, Szwajcarii i Singapurze.

W ramach walki z korupcją premier Mohamad wprowadził też rozporządzenie, które wymaga publikacji w internecie deklaracji majątkowych od członków rządu. Nowy premier chce także, by tak samo uczynili parlamentarzyści z Sojuszu Nadziei, czyli koalicji, z ramienia której startował do wyborów w maju.

Malezja a Nowy Jedwabny Szlak

Już w kampanii wyborczej Mohamad mówił dużo o Chinach, zwłaszcza o niebezpiecznych chińskich inwestycjach. Malezja zajmuje strategiczne miejsce między Morzem Południowochińskim a Oceanem Indyjskim. Nic więc dziwnego, że Pekin widzi ten kraj jako ważny element Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS). Od momentu ogłoszenia przez prezydenta Xi Jinpinga inicjatywy NJS, Chiny zaangażowały się w Malezji w projekty o wartości 34 mld dolarów, na przykład w budowę gazociągu Trans Sabah czy konstrukcję linii kolejowej East Coast Rail Link (ECRL), której koszty szacowano na ponad 17 mld dolarów (ale wydatki na tę budowę cały czas rosły). W latach 2012–2016 chińskie inwestycje w nieruchomości w Malezji wyniosły około 2,3 mld dolarów.

Wszystkie te projekty wspierał odchodzący premier Malezji Najib Razak, a wśród samych Malezyjczyków pojawiało się coraz więcej głosów przeciwnych chińskim inwestycjom. Rosły obawy, że Malezja stała się tak zależna od zastrzyków kapitału inwestycyjnego z Państwa Środka, że mogłoby to doprowadzić do ograniczenia suwerenności finansowej tego państwa.

Kolejnym powodem niezadowolenia z chińskiej obecności w Malezjii było to, że inwestując, Chiny korzystają ze swoich robotników, maszyn i materiałów. Obecność swoich robotników strona chińska argumentuje chęcią uniknięcia problemów ze względu na różnice językowe i nie słucha drugiej strony mówiącej, że nie jest to korzystne dla lokalnego biznesu i rynku pracy.

O wszystkich tych zagrożeniach ze strony Chin mówił w czasie kampanii Mahathir Mohamad. To też przyczyniło się do jego zwycięstwa. Po wygranej zabrał się szybko za chińskie biznesy. I tak zapytany na konferencji prasowej o NJS powiedział, że najpierw zostaną dokładnie przejrzane umowy podpisane z Chinami przez poprzedni rząd i możliwe, że będą renegocjowane, bo poprzednicy za bardzo zadłużyli Malezję. „Nie mamy nic przeciwko NJS, ale nie chcemy zobaczyć w regionie więcej okrętów wojennych" – powiedział Mohamad.

Pod koniec sierpnia Mohamad udał się do Pekinu. Jeszcze przed wyjazdem zapowiedział, że będzie dążył do anulowania wielomiliardowych chińskich projektów infrastrukturalnych w ramach NJS podpisanych przez jego poprzednika. Dodał, że chce utrzymywać dobre stosunki z Chinami i nie jest przeciwko chińskim inwestycjom, o ile projekty te przynoszą korzyści Malezji. Po rozmowach z chińskimi przywódcami w Pekinie premier Malezji oficjalnie poinformował, że jego kraj wycofał się z projektów inwestycyjnych o wartości 22 mld dolarów finansowanych przez Chiny i że zarówno prezydent Chin Xi Jinping, jak i premier Li Keqiang rozumieją powody, dla których strona malezyjska zdecydowała się na takie posunięcie, i „je akceptują".

Pod koniec sierpnia Mohamad zajął się także innym chińskim projektem powstającym w kraju w ramach NJS – budową przez dewelopera z ChRL sztucznej wyspy-osiedla o nazwie Leśne Miasto, a znajdującej się niedaleko miasta Johor Bahru na południowym wybrzeżu Półwyspu Malajskiego. Najpierw minister gospodarki Malezji Mohamed Azmin Ali ujawnił, że w projekcje oferowane są lokale mieszkalne na wyspie w zamian za inwestycje w Chinach – inwestycje głównie Chińczyków. „Chiny planują sprowadzić 700 tys. swoich obywateli z Chin jako właścicieli nieruchomości w Leśnym Mieście. Oczywiście nie możemy na to pozwolić" – mówił minister gospodarki. Zaraz potem premier Mohamad zlecił utworzenie komitetu, który dokona ponownej oceny umów i transakcji związanych ze sprzedażą lokali mieszkalnych na wyspie. Jednocześnie premier Malezji zapowiedział, że jego kraj podejmie kroki, które zabronią obcokrajowcom kupowania nieruchomości na sztucznej wyspie budowanej przez chińskiego dewelopera. „Nie zamierzamy wydawać wiz, aby ludzie mogli tu zamieszkać. Sprzeciwiamy się temu projektowi. bo powstał on dla obcokrajowców, a nie dla Malezyjczyków. Większość Malezyjczyków nie jest w stanie kupić tych mieszkań" – argumentował swoje stanowisko. Mieszkańcy miasta Johor Bahru od dawna skarżyli się na dużą liczbę Chińczyków wykupujących nieruchomości w Leśnym Mieście, alarmowali też w sprawie szkód ekologicznych, jakie przynosi konstrukcja, oraz zgubnego wpływu rekultywacji gruntów na rybołówstwo.

Zdecydowane kroki Mahathira wobec ChRL podobają się obywatelom Malezji zwłaszcza tym chińskiego pochodzenia, a w prasie do nowego premiera przylgnął już przydomek: „ten, który odważył się powiedzieć Chinom NIE". ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Ryszard Czarnecki

Polacy w Kazachstanie i... polityka imigracyjna Putina

Stoimy w budynku parlamentu Kazachstanu i rozmawiamy o repatriacji. Wiceprzewodniczący izby niższej Włodzimierz Bozko ma pretensje do Polski – że ściąga „swoich" do siebie, a do miejscowych Polaków – że wyjeżdżają. Dodaje od razu, że nas rozumie. No, myślę! Kazachstan robi to samo – Kazachowie z Mongolii i po części z Chin zasiedlają właśnie wsie opuszczone przez kazachskich Niemców. Wiceszef miejscowego parlamentu ma słowiańskie nazwisko i pewnie korzenie polskie albo ukraińskie, albo jedne i drugie. Takich ludzi jest tu więcej.

A że nasi rzeczywiście wyjeżdżają – to fakt. Po upadku Związku Sowieckiego w spisie ludności około 60 tys. przyznawało się do polskości (zapewne więc liczba naszych rodaków była sporo wyższa – część bała przyznać się do polskich korzeni: strach odziedziczony tam w spadku po komunizmie trwał jeszcze przez lata). Teraz za Polaków uważa się 35–38 tys. obywateli Kazachstanu. Repatriacja do Rzeczypospolitej przyspieszyła po 2015 roku i zmianie władzy w Warszawie, ale i tak mogłaby być większa. Ale ani ja, ani wicemarszałek Bozko nie mówimy o temacie tabu, jakim jest emigracja Polaków z Kazachstanu do... Rosji. Tak, to nie pomyłka. Uciekali przed „kazachizacją", a na wiejskich posiołkach także przed brakiem perspektyw ekonomicznych. Matka Polska była daleko, a ponadto była mało energiczna, mało zabiegająca o „swoich". A Putin wręcz przeciwnie. W sytuacji kryzysu demograficznego w Rosji (mała dzietność, olbrzymia ilość aborcji, dużo samobójstw) Moskwa zaczęła prowadzić nową politykę imigracyjną. Zaproponowano wszystkim (!) obywatelom ZSRS i ich potomkom mieszkających poza terytorium Federacji Rosyjskiej osiedlenie się w Rosji i zaoferowano „wędkę" gospodarczą. Rodziny (lub pojedyncze osoby), które się na to zdecydowały, otrzymywały mieszkania w mieście i półroczne uposażenie lub dom na wsi wraz z roczną „pensją" (przy okazji Kreml słusznie chciał zapełniać wyludnione wsie). Taka rosyjska oferta nie była skierowana tylko do „rodowitych" Rosjan, lecz do wszystkich eksobywateli sowieckich czy ich dzieci. Jednocześnie za tym poszły atrakcyjne oferty studiów w Rosji dla uzdolnionych studentów z Kazachstanu, niebędących jednak Kazachami. Wiem, że niektórzy młodzi Polacy z takiego „awansu" korzystali.

Cóż, na Rosjan trzeba uważać, ale można też czasami wyciągać wnioski z tego, co robią. Taka polityka imigracyjna, wyciąganie z dawnych azjatyckich republik Związku Sowieckiego „białej" ludności wymaga po naszej stronie co najmniej analizy.

Ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Astanie – nowej stolicy Kazachstanu (w 1997 r. zastąpiła Ałmaty, niegdyś funkcjonujące jako Ałma-Ata) – jest profesor Selim Chazbijewicz. To polski Tatar, muzułmanin, gdańszczanin z urodzenia, choć doktorat robił w Poznaniu, na Uniwersytecie Adama Mickiewicza (jego temat to: „Ideologie muzułmanów polskich XX wieku"). Ten redaktor wielu polskich-islamskich (w tym zwłaszcza tatarskich) periodyków, a dziś dyplomata w kraju, w którym 70 proc. stanowią wyznawcy Allaha, jest w jakiejś mierze żywym przypomnieniem I Rzeczypospolitej – mozaiki obywateli różnych wyznań, połączonych lojalnością wobec tej samej Ojczyzny. Ale też jest Chazbijewicz zupełnie inną twarzą islamu niż ta, którą znamy z ostatnich lat w Europie (agresji, nietolerancji, terroru). Dziś ambasador-poeta i naukowiec jest, wraz ze swoimi konsulami, opiekunem Polaków mieszkających na terytorium dziewiątego (sic!) co do wielkości państwa świata. Polaków będących głównie potomkami zarówno tych wywiezionych podczas „operacji polskiej" w latach 30. XX wieku z terenów ZSRS, oderwanych od Macierzy jeszcze podczas II rozbioru, jak i ofiar wywózek z Kresów Wschodnich II RP. Polaków, rzec można, z I i II Rzeczypospolitej, połączonych sowiecką antypolską obsesją. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Krzysztof Karnkowski

Pocztówka z kraju wina, koniaku i... Polaków

Mołdawia to kraj, o którym w Polsce mówi się mało i wie się niewiele. Trochę szkoda, bo jest to miejsce bardzo ciekawe zarówno z punktu widzenia geopolityki, jak i turystyki. Wreszcie takie, w którym wciąż żyje wiele polskich społeczności, po latach budujących na nowo swoje więzi z ojczyzną.

Z Rosją zwykłym obywatelom raczej nie jest po drodze. Chyba że można z niej trochę pożartować...

Pierwsze skojarzenia z Mołdawią? Dla większości ludzi to wino. W filmiku reklamowym podkiszyniowskiej winnicy Cricova kształt mołdawskich granic porównywany jest do kiści winogron. I faktycznie – wino jest tu wszędzie, to najważniejszy produkt eksportowy i filar gospodarki. Tuż obok plasuje się koniak, który szeroką rzeką płynie w świat ze zbuntowanej republiki Naddniestrza. I tu pojawia się drugie skojarzenie – separatystyczna republika o nieuregulowanym statusie.

▶ (Nie)oficjalny byt

Ziemie dzisiejszej Mołdawii to w przeważającej większości dawna Besarabia. Historia tej krainy pełna jest zwrotów i zmian politycznych. Poza okresem samodzielności w XV wieku stanowiła część Rusi Kijowskiej, Węgier, Polski, imperium osmańskiego, Rosji, Rumunii, w końcu – Związku Sowieckiego. Dzisiejsza Mołdawia zorientowana jest jednoznacznie na Rumunię, choć nie brak w niej wpływowych polityków odwołujących się do posowieckich sentymentów. Zalicza się do nich również obecny prezydent kraju, socjalista i dawny komunista Igor Dodon. Kierunek zmian jest jednak nieodwracalny. Dzięki masowemu wręcz posiadaniu przez Mołdawian rumuńskich paszportów korzystają oni z pozytywów obecności swojego sąsiada w UE, nie musząc należeć do Wspólnoty. Z przestrzeni publicznej znika stopniowo język rosyjski. 31 sierpnia 1989 roku, w dniu uczczonym państwowym świętem, przywrócono alfabet łaciński. Przez kolejne lata kraj był *de facto* dwujęzyczny. Do dziś część prasy czy programów telewizyjnych rozpowszechnianych jest w rosyjskiej wersji językowej, jednak język ten zniknął już praktycznie z miejskich reklam i szyldów. Jedynie napisy „Nie parkować" na kiszyniowskich bramach wciąż atakują kierowców zarówno w alfabecie łacińskim, jak i cyrylicą. W młodym pokoleniu coraz więcej osób rosyjskiego nie zna, nie rozumie lub nie chce używać, co jeszcze 15 lat temu było nie do pomyślenia.

Jednak wzdłuż północno-wschodniej granicy kraju ciągnie się pas, który historycznie nie miał żadnych związków z Rumunią, pozostając pod wpływem Rusi, Litwy (więc Rzeczypospolitej), w końcu Rosji. I żywioł rosyjski okazał się tu silny do tego stopnia, że gdy Mołdawia ogłosiła niepodległość, Naddniestrze wypowiedziało posłuszeństwo wobec Kiszyniowa, by pozostać w ZSRS. Skutkiem tego była wojna z udziałem armii Rosji i Mołdawii na początku lat 90. Od tamtej pory Naddniestrze funkcjonuje jako państwo autonomiczne, nieuznające zwierzchnic-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Rzeźba Józefa Piłsudskiego to jeden z wielu polskich akcentów w naddniestrzańskich parafiach zamieszkałych przez naszych rodaków

twa Kiszyniowa i nieuznawane przez jakikolwiek kraj na świecie, po cichu jednak wspierane przez Rosję. Działają tu wszystkie instytucje władzy państwowej, kraj ma zaś swój własny, niepowtarzalny klimat autorytarnego porządku – z czystymi ulicami, domami kultury i innymi instytucjami użyteczności publicznej, jakby żywcem przeniesionymi z czasów radzieckich i malowanymi na złoto pomnikami Lenina w praktycznie każdej miejscowości.

▶ Polskie enklawy

Naddniestrze zamieszkuje bardzo wielu Polaków. Ostatnio jako członek grupy, która wybrała się tam z pomocą humanitarną, miałem okazję odwiedzić trzy naddniestrzańskie parafie – w Rybnicy, Kolonii Raszków i Raszkowie, znanym z kart powieści Sienkiewicza. Poza raszkowskim kościołem św. Kajetana – zbudowanym w XVIII wieku, będącym najstarszą świątynią katolicką w Mołdawii – pozostałe to obiekty nowe, wzniesione staraniem lokalnych społeczności i księży, na ogół z Polski lub wykształconych w Polsce. W Rybnicy przy parafii działa świetlica, ale nie tylko dla polskich dzieci, wszystko zaś powstało dzięki praktycznie jednemu człowiekowi – księdzu Tadeuszowi Magierowskiemu.

Na cmentarzu w Raszkowie powoli, lecz konsekwentnie odnawianym dzięki polskim środkom, leżą obok siebie Polacy, polscy masoni, Ukraińcy, a nawet Turcy. W samej miejscowości znajdziemy malownicze ruiny cerkwi i synagogi. Tu jednak najważniejszy z punktu widzenia podróżnika z Polski jest Dom Polski „Wołodyjowski", bardzo gościnna przystań stworzona przez działaczkę z Naddniestrza, Natalię Siniawską-Krzyżanowską, prezes Towarzystwa Polskiej Kultury „Jasna Góra". Raszków to miejsce bardzo malownicze, z pięknym widokiem na Dniestr.

Nieodległa Swoboda Raszków to dla odmiany spora, częściowo odcięta od świata wieś, w której kilkuset Polaków modli się w polskim kościele pod wezwaniem św. Marty i posyła dzieci do nowo wyremontowanej polskiej szkoły. Historia obu obiektów jest bardzo ciekawa. Kościół wybudowano na skrawku ziemi ofiarowanym przez prawosławną gospodynię, która takie polecenie otrzymała w zesłanej w trakcie snu wizji. Patronkę zawdzięcza... Gorbaczowowi, który właśnie w dniu św. Marty przyjął delegację mieszkańców i wyraził zgodę na stworzenie tam, po wielu latach przerwy, parafii. Szkoła ma wyposażone dzięki pomocy z Polski nowoczesne pracownie i świetlicę, w salach panuje rustykalno-socre-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Pod wekami z regionalnymi przysmakami półki dosłownie się uginają

alistyczny klimat, na ścianach zaś widać dekoracje i z czasów ZSRS, i współczesne. Na miejscu działa też oddział przedszkolny, wszystkiego pilnują natomiast polska nauczycielka i rosyjski, lecz życzliwy sprawie polskiej dyrektor. Państwo nie miesza się w funkcjonowanie szkoły (tak jak nie przeszkadza innym polskim inicjatywom), lecz nie udziela też finansowego wsparcia. Jednak samą determinacją i życzliwością wielu ludzi zdziałać można cuda – i polska szkoła w Swobodzie Raszków jest tego wspaniałym przykładem.

Miasto kontrastów

Mołdawia wciąż stanowi jeden z biedniejszych regionów Europy, młodzież zaś marzy o emigracji i plany te w dramatycznym procencie realizuje. Z drugiej strony w Kiszyniowie coraz więcej punktów miasta to już właściwie Zachód, a miejska moda dogoniła dziś co najmniej tę warszawską. Zniknęły wszechobecne dresy, a na ogół bardzo ładnym i eleganckim dziewczynom towarzyszą chłopcy i mężczyźni, którzy wyzwolili się już z posowieckiego, smutnego i groźnego zarazem wizerunku. Żyją oni jednak w świecie kontrastów, znanych chyba każdemu z dawnych demoludów. Kiszyniów 20 lat temu przypominał polską prowincję z lat 60., dziś natomiast podobny jest do jej współczesnej wersji. Na obrzeżach nowe bloki przeplatają się ze starymi, sypiącymi się sowieckimi mrówkowcami. W centrum jednopiętrowa, klasyczna zabudowa miesza się z nowoczesnymi, światowymi plombami. Największy kontrast widać między reprezentacyjną ulicą Stefan Cel Mare – zawdzięczającą nazwę największemu narodowemu bohaterowi, XV-wiecznemu przywódcy Stefanowi Wielkiemu, przy której mieszczą się najważniejsze państwowe urzędy i eleganckie lokale, a także główna cerkiew i dwa piękne parki – a przecinającą ją jakby trochę azjatycką ulicą Ismail. Tu zobaczymy sypiące się bloki, tajemnicze budynki, które wyglądają tak, jakby znajdowały się w stadium pośrednim między budową a rozbiórką, brud, wykoślawiony bruk i wszystko, co składa się na brzydszą twarz stolicy Mołdawii.

Po spacerze warto coś zjeść

Mołdawia to kraj trochę cieplejszy od Polski, więc inna, bujniejsza, bardziej dzika jest miejska zieleń. W Kiszyniowie znajdziemy kilka pięknych parków, w tym (płatne) Dendrarium będące czymś w rodzaju ogrodu botanicznego. Oprócz pięknych i egzotycznych kwiatów napotkamy tam również staw. Znacznie większym zbiornikiem wodnym jest jezioro, jeszcze kilka lat temu nazywane Konsomolskim, a dziś raczej Doliną Młynów. Nad nim podziwiać możemy pięknie odnowione schody i ciekawy, współczesny pomnik pary

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Sacrum swobodnie przeplata się z profanum

skejtów z pieskiem. Można też zjeść coś w jednej z budek serwujących przekąski i zobaczyć pozostałości jakby wyjętego z horroru wesołego miasteczka. A skoro pojawił się temat jedzenia, to warto zaznaczyć, że w Mołdawii jest dziś bardzo dobre zaopatrzenie, sama żywność, zwłaszcza lokalna, zaskakuje zaś smakiem i jakością. Jako ciekawostkę można tu przywołać kiełbasę o znajomej nazwie „Cracovia", która co prawda nie przypomina w smaku naszej „krakowskiej", lecz jest równie smaczna. Produkują ją zakłady w Bielcach, największym w „oficjalnej" części Mołdawii skupisku Polaków. Dobrze karmią kiszyniowskie restauracje, oferując zarówno potrawy lokalne – rozmaite pierogi, grillowane warzywa czy mamałygę – jak i typowe klasyczne menu. Specjalizuje się w nich m.in. restauracja Rota Vremii, na terenie której znajdują się również skansen i pokaźny zbiór starych aut. Jeśli ktoś nie potrzebuje kulinarnych eksperymentów, zjeść może choćby w lokalnej sieci Andy's Pizza, założonej przez reemigranta ze Stanów, pochodzącego z Naddniestrza. Co ciekawe, oprócz drużyn piłki nożnej, grających w mołdawskiej lidze, Andy's Pizza jest jednym z elementów łączących obie części podzielonej republiki.

▶ Sprawić im radość

Mołdawia ma do zaoferowania sporo turystycznych atrakcji. Polaków z pewnością ucieszą zarówno ulica Lecha Kaczyńskiego czy pomnik Piłsudskiego w Kiszyniowie, jak i ślady dawnych bitew z czasów, gdy Rzeczpospolita walczyła tu o swoje wpływy (jak choćby o twierdzę w Sorokach). Wiele osób przyznaje się tu do polskich korzeni, Polacy są lubiani, a po polsku można nawet próbować się dogadać. W okolicy Kiszyniowa warto zobaczyć wspomnianą już winnicę w Cricovej, podziemne miasto pełne składów butelek (jest nawet półka win Tuska, bo przechowuje się tu prywatne kolekcje wielu możnych tego świata), linii produkcyjnych i pamiątek. Kilkugodzinne zwiedzanie można za dodatkową opłatą zakończyć degustacją wina i lokalnej kuchni. Trochę dalej od stolicy znajduje się Park Narodowy Orchei (Orgiejów) z pięknymi skałami, kamieniołomami, a przede wszystkim dawnym monastyrem i samotniami prawosławnych mnichów. Droga do tego miejsca wiedzie przez niezwykle malowniczą skarpę.

Do Kiszyniowa można dziś dolecieć w dwie godziny. Odważniejsi mogą zaryzykować również wyprawę do Naddniestrza, gdzie jednak pamiętać trzeba o paszporcie i naprawdę rygorystycznym przestrzeganiu przepisów. Warto wtedy odwiedzić Polaków witających radośnie każdego gościa z kraju. Można też odnaleźć ich w Internecie i próbować jakoś ich wspomóc – każda pomoc i oznaka pamięci z ojczyzny będą dla nich na wagę złota. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Olga Doleśniak-Harczuk

Alternatywny Oktoberfest

Od zamieszek w Chemnitz eksperci prześcigają się w analizach źródeł niechęci do imigrantów na wschodzie Niemiec, zapominając, że program zdecydowanie antyimigranckiej Alternatywy dla Niemiec (AfD) regularnie zyskuje w sondażach w skali całego kraju. Jak poinformowało 21 września ARD, Alternatywni mogą dziś liczyć na 18 proc. poparcia – to o jeden punkt procentowy więcej niż SPD, czerwony koalicjant CDU/CSU. Tym samym AfD wyrasta na drugą siłę polityczną w Niemczech, od partii Angeli Merkel dzieli ją już tylko 10 punktów procentowych. Ostry policzek.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Wyniki AfD ucieszyły Aleksandra Gaulanda, zaalarmowały zaś Berlin i Brukselę. Po Chemnitz można było z góry założyć, że kolejne wstrząsy są nieuniknione, ruchy oddolne domagają się zmian, i to wcale nie kosmetycznych. Jednak wstrząsy przestały być domeną dołów. Oliwy do ognia dodali sami politycy koalicji. I to dwukrotnie. Najpierw dymisjonując niezgadzającego się z Angelą Merkel co do istoty wydarzeń w Chemnitz szefa niemieckiego kontrwywiadu, Hansa-Georga Maassena, a następnie nominując go na stanowisko sekretarza stanu w dowodzonym przez Horsta Seehofera Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Tarcia wschód–zachód to nie wszystko

Sytuacja z nową mocą podzieliła społeczeństwo i samych koalicjantów. Pogłoski o możliwym rozpadzie koalicji rządowej są obecne od lewa do prawa. Nazajutrz po ogłoszeniu wyników ostatnich sondaży, wiceszef CDU i zarazem premier Hesji Volker Bouffier w wywiadzie dla portalu Morgenpost.de zasygnalizował, że koalicja nie może sobie pozwolić na kolejne spory, i wprost ostrzegł przed rozpadem aktualnego układu politycznego. Iskra, która wyszła z Chemnitz, okazała się większa i groźniejsza dla stabilności Wielkiej Koalicji, niż początkowo sądzono, i nie sposób już nawet winić za ten stan rzeczy podziałów ideologicznych biegnących wzdłuż dawnej granicy landów zachodnich i wschodnich, chociaż argument braku pewnego rodzaju mentalnej kompatybilności między Ossis i Wessis w dalszym ciągu jest przywoływany przez komentatorów jako główny regulator temperatury politycznego sporu.

Zwarcie obliczone na „złamanie systemu"?

W Niemczech otwarcie mówi się o „środku, który przesuwa się niebezpiecznie na prawo" i o zwykłych obywatelach oczarowanych brunatną ideologią lub poddających się antyimigranckim nastrojom. Profesor Ines Geipel, dziś wykładowca jednej z berlińskich uczelni, a za czasów NRD lekkoatletka, ma swoją teorię na temat źródeł tego trendu na wschodzie Niemiec: „Brunatne barwy dotarły do samego środka wschodnioniemieckiego społeczeństwa. Ci ludzie mówią o tym, że nie ma już państwa prawa, że oni sami nie mają udziału w ogólnonarodowej debacie, że im się tego udziału odmawia. Chodzi im jednak o coś więcej – o złamanie systemu i o drugi »rok 1989«. Odrażające instrumentalizowanie historii. Oczywiście irytacja jest obecna również na zachodzie Niemiec, nie ogranicza się ona do wschodnich landów. Tyle że to właśnie na wschodzie dochodzi do aktów przemocy i masowego sprzeciwu, wschód staje się tym samym głównym graczem na tym polu. Bardzo długo wschodu nie dostrzegano, nie zwracano uwagi na jego problemy. Musimy się teraz szczególnie pilnować, by nie roztrwonić historycznego kapitału, jaki udało nam się zgromadzić w 1989 roku. Mam wrażenie, jakby wschodnie landy przeżywały coś na kształt swojej własnej rewolty #68, ale nie tak jak to sobie my wyobrażamy" – stwierdza Geipel.

Casus Maasena a praworządność

Wracając do afery w sprawie przesunięcia szefa kontrwywiadu na pozycję sekretarza stanu w MSW, ponieważ to ta kwestia od połowy września najbardziej rozgrzała debatę w Niemczech, warto odnotować stanowisko AfD. Jeden z liderów partii, Jörg Meuthen, stwierdza: „Przyjęta procedura w całej rozciągłości ukazuje godny pożałowania stosunek kanclerz Angeli Merkel i jej rządu do praworządności. Szef tak ważnej instytucji, jaką jest Urząd Ochrony Konstytucji, zostaje przesunięty przez panią kanclerz wedle upodobania niczym figura na szachownicy i jest politycznie instrumentalizowany. A przecież pan Maassen nie ma służyć ani pani kanclerz, ani SPD czy polityce generalnie jako takiej, ale jako szef urzędu służy wyłącznie prawu i pozostaje w służbie obywateli naszego kraju. I z tych obowiązków wywiązywał się w sposób wzorowy. Przecież gdyby można mu było cokolwiek zarzucić, trudno by było usprawiedliwić jego natychmiastowe powołanie na stanowisko sekretarza stanu MSW. [...] Cóż to za niegodny teatrzyk. I wszyscy w nim grają, nawet Horst Seehofer po raz kolejny się poddał". Oczywiście wbicie szpilki Seehoferowi w świetle październikowych wyborów do bawarskiego landtagu ma swoje jak najbardziej realpolityczne uzasadnienie. Już 14 października Bawarczycy ruszą do urn, stawka jest wysoka. Jak wynika z ostatnich sondaży, tylko 35 proc. Bawarczyków chce zagłosować na CSU, to najgorszy wynik sondażowy od 1998 roku, a dla Seehofera i jego kolegów poważne ostrzeżenie. AfD nie ma litości dla siostrzanej partii Merkel, prowadzi bardzo agresywną kampanię w ojczyźnie Oktoberfestu, wypominając CSU jej brak konsekwencji w forsowaniu własnej wizji polityki imigracyjnej. Dodatkowo każde potknięcie koalicji rządowej na szczeblu federalnym i działania świadczące o słabnącej pozycji Seehofera rzutują na akcje Alternatywnych w Bayern. Wybory co prawda odbędą się już po Oktoberfeście, ale piwa nie zabraknie. Ktoś je będzie musiał wypić. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Indie–USA

6 września podczas zagranicznej wizyty sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo i sekretarza obrony Jamesa Mattisa w Indiach zatwierdzono amerykańsko-indyjskie porozumienie w sprawie współpracy obronnej i komunikacji strategicznej. Jedną z głównych konsekwencji umowy będzie strategiczna komunikacja satelitarna oraz wymiana danych operacyjnych pozyskiwanych z użyciem szyfrowanych kanałów łączności, systemów nawigacji i orbitalnych konstelacji wczesnego ostrzegania. W trakcie wizyty strony uzgodniły też otwarcie „gorącej linii" między szefami dyplomacji obu krajów, a także przeprowadzenie w 2019 roku wspólnych ćwiczeń wojskowych u wschodnich wybrzeży Indii z udziałem lotnictwa, marynarki wojennej i wojsk lądowych.

Pogłębienie współpracy pomiędzy USA a Indiami postrzegane jest jako odpowiedź na zagrożenie ze strony Chin.

Donald Trump od momentu dojścia do władzy mówi o potrzebie zacieśniania współpracy w regionie Indo-Pacyfiku. Celowo używa tego określenia (a nie jak jego poprzednicy Azja–Pacyfik), chcąc podkreślić znaczenie, jakie w tym regionalnym bloku powinny mieć Indie.

W listopadzie ubiegłego roku w czasie Szczytu Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) Trump wygłosił mowę programową dotyczącą współpracy właśnie w regionie Indo-Pacyfiku. Była to jednocześnie krytyka Chin. Prezydent USA stwierdził, że przyszedł czas na budowę relacji opartych na uczciwości i wzajemności oraz że należy zaprzestać takich praktyk, jak kradzież własności intelektualnej, zmuszanie zagranicznych firm do oddawania technologii państwu oraz tworzenia joint venture (z ang. wspólne przedsięwzięcie) w zamian za dostęp do rynku. Trump mówił także, że trzeba zaprzestać wprowadzania produktów po cenach dumpingowych, manipulowania walutą i drapieżnej polityki przemysłowej.

Tajwan

Według tajwańskiego Ministerstwa Gospodarki co najmniej 20 tajwańskich firm zamierza przenieść swoją produkcję z Chin na Tajwan ze względu na nasilający się konflikt handlowy między Waszyngtonem a Pekinem. Według ankiety przeprowadzonej przez resort wśród tych, którzy sygnalizują gotowość takiego posunięcia, są producenci elektroniki i rowerów. Tajwańskie firmy tekstylne zamierzają ograniczać produkcję w Chinach na rzecz swoich zakładów w Azji Południowo-Wschodniej. Według ekonomistów firmy i kapitał wycofują się z Chin nie tylko ze względu spór handlowy, lecz także z powodu trudności biznesowych, rosnących kosztów pracy i podatków.

Co ciekawe, nie tylko zagraniczne firmy decydują się przenosić swoją produkcję poza Chiny. Podobne kroki zapowiadają też chińskie firmy. W sierpniu HL Corp., chiński producent rowerów i części rowerowych, ogłosił inwestorom, że planuje przenieść produkcję do Wietnamu.

Chiny

13 września w mieście Mishui, części aglomeracji Hengyang, w chińskiej prowincji Hunan, samochód wjechał w tłum ludzi zebranych wieczorem na placu. Zginęło 9 osób, a 46 zostało rannych.. Sprawca, 54-letni Yang Zanyuna, był wcześniej wielokrotnie karany, m.in. za handel narkotykami. Według władz motywem działania była chęć „zemsty na społeczeństwie" za wcześniejsze wyroki. W rzekomo „stabilnym" państwie chińskim to już kolejny w ostatnich miesiącach atak, w którym sprawcą jest osoba czująca niepokój z powodu wyalienowania ze społeczeństwa lub wyrażająca chęć rozliczenia rachunków. 6 czerwca w mieście Tangshan w prowincj Hebei auto wjechało na chodnik; ofiary to 4 zabitych i 11 rannych. 20 sierpnia w mieście Liuzhou w prowincji Guangxi do-

eprasa.pl 1fdc7c8e16

szło do ataku na moście Wenchang. Podejrzany o zabicie swojej partnerki i trzech członków rodziny wjechał autem w przechodnia, a następnie nożem zaatakował innych spacerujących. Zabił 6 i ranił 12 osób. 29 sierpnia w prowincji Guizhou w powiecie Zhijin w trakcie przymusowych wyburzeń nieruchomości doszło do ostrego konfliktu między mieszkańcami a przedstawicielami władz. W sporze protestujący użyli samochodów, w wyniku czego zginęły 3 osoby, a 10 zostało rannych. 30 sierpnia w mieście Nanning w prowincji Guangxi furgonetka uderzyła w grupę motocyklistów oczekujących na zmianę świateł. Ofiary to 7 zabitych i 19 rannych.

Korea Południowa

Jak podaje gazeta „The Chosun Ilbo", dzietność w Korei Płd. spadła poniżej jednego dziecka i jest tak niska jak w czasie wojny. Według Lee Chulhee, profesora Uniwersytetu Narodowego w Seulu, z powodu tak niskiej liczby urodzeń Korea Płd. będzie miała poważne problemy z utrzymaniem służby zdrowia i systemu emerytalnego. Niska dzietność spowoduje także trudności w rozbudowie armii, co w obliczu stałego zagrożenia ze strony Korei Płn. stanowi poważny problem.

Powodem zapaści demograficznej są pogarszające się perspektywy zawodowe dla młodych ludzi oraz rosnące ceny nieruchomości. Co więcej, Koreanki z Południa odkładają macierzyństwo, bo obawiają się przeszkód w rozwoju kariery zawodowej.

Japonia

W trakcie Wschodniego Forum Ekonomicznego we Władywostoku Japonia i Rosja podpisały protokół ustaleń (MOU) dotyczący projektu bałtyckiego LNG. Inwestycja ta służąca do skraplania gazu ziemnego ma być konkurencją dla polskiego terminala LNG w Świnoujściu. Na razie MOU mówi tylko, że obie strony (Gazprom i japońska firma Mitsui & Co) zbadają możliwości współpracy w ramach projektu. Pierwotnie Instalacja Baltic LNG miała powstać w tym roku, ale jeszcze w 2017 r. Gazprom poinformował, że produkcja będzie mogła być prowadzona dopiero w 2022–2023 r.

Także w trakcie forum we Władywostoku, prezydent Rosji Władimir Putin zaproponował premierowi Japonii Shinzo Abemu, by do końca bieżącego roku został zawarty bez warunków wstępnych traktat pokojowy pomiędzy oboma krajami.

Brak pokoju po II wojnie światowej jest spowodowany pretensjami obu państw do wysp, które są blisko wybrzeża rosyjskiego oraz japońskiego. Japonia powołuje się na traktakt o handlu i granicach z 1855 roku i zgłasza pretensje do wysp Kunaszyr, Szykotan, Iturup i Habomai (Wyspy Kurylskie). Tokio chce przyłączenia tych czterech wysp do swoich granic i stawia to jako warunek do podpisania pokoju.

Propozycja Putina zaskoczyła Japończyków, ale i wywołała kontrowersje. Jeszcze tego samego dnia rzecznik rządu Japonii Yoshihide Suga poinformował, że Tokio nadal stoi na stonowisku, iż przed podpisaniem pokoju musi być rozwiązana kwestia spornych wysp. Już po powrocie do Japonii premier Abe w programie telewizyjnym wezwał do spokojnej dyskusji w kwestii „nieoczekiwanej" porpozycji Putina.

„Powtarzyłem (przyp.: podczas spotkania z Putinem), że Japonia utrzymuje podstawowe stanowisko, by najpierw rozwiązać kwestie terytorialne, a następnie zawrzeć traktat pokojowy (...) Nie powinniśmy okazywać zdezorientowania tylko z powodu jakichś uwag" – dodał Shinzo Abe.

Wietnam

Jak podaje francuska agencja AFP, 11 września br. władze stolicy Wietnamu Hanoi wezwały mieszkańców tego miasta, aby zaprzestali jedzenia potraw przyrządzanych z mięsa psów i kotów. Władze miasta podkreśliły, że jedzenie i sprzedaż psiego i kociego mięsa szkodzi wizerunkowi miasta jako „cywilizowanego i nowoczesnego" i stwarza niebezpieczeństwo rozprzestrzeniania się wścieklizny oraz innych chorób zwierzęcych.

Pieczone, parzone lub gotowane psie mięso jest w Hanoi ogólnodostępne na targowiskach i w sklepach.

Apel władz spotkał się z pozytywną reakcją wietnamskich internautów, ale niektórzy twierdzili, że jedzenie psiego mięsa to tradycja, z której wielu Wietnamczyków nie może z łatwością zrezygnować.

Konsumpcja psiego mięsa jest także przedstawiana w Chinach jako część tradycji, z którą trudno zerwać. Co roku odbywa się w mieście Yulin w prowincji Shaanxi w Państwie Środka Festiwal Psiego Mięsa. Można na nim obejrzeć okrutne sceny. Żywe psy wrzuca się do wrzątku, zdziera się z nich też skórę. Niektóre z czworonogów są rażone prądem. „Impreza" spotyka się z protestem milionów miłośników czworonogów na świecie. Co roku aktywiści próbują zablokować festiwal, a także wykupić zwierzęta przeznaczone na ubój.

Jednak w Azji są państwa, takie jak choćby Tajwan, w których także jedzono psie mięso i argumentowano to tradycją, lecz w końcu podjęto walkę z tym zwyczajem. Władze i organizacje broniące praw zwierząt przeprowadziły kampanie edukacyjne, a w 1998 r. uchwalono na Tajwanie prawo zakazujące uboju psów i kotów pod konsumpcję. W zeszłym roku wyspa wprowadziła kary za jedzenie psów i kotów. Także w Hongkongu i Singapurze proceder konsumpcji psiego mięsa został zdelegalizowany w latach 50. ubiegłego wieku. Jedzenie psiego mięsa nie jest też akceptowane w Japonii, gdzie psy uważane są za zwierzęta przynoszące szczęście. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Do politycznej rewolucji jeszcze nie doszło

Andriej Iłłarionow to były doradca prezydenta Władimira Putina, od lat na emigracji. 1 września 2018 roku wygłosił przemówienie na dorocznym zebraniu Amerykańskiego Towarzystwa Nauk Politycznych (ASPA) w Bostonie. Tezy z wystąpienia na temat „totalitarnego dziedzictwa w obecnym rosyjskim reżimie politycznym" opublikowano na niezależnym portalu Kasparov.ru.

Tematem tej sesji jest „Sowieckie dziedzictwo w putinowskiej Rosji". Zanim przejdę do zasadniczego omówienia tematu, pozwolę sobie uczynić dwa wstępne założenia odnośnie do obu części nazwy tej sesji: „sowieckiego dziedzictwa" i „putinowskiej Rosji".

Słowo „rada" („sowiet") w języku rosyjskim ma trzy podstawowe znaczenia: rekomendacja, instrukcja; osąd; miejsce i – w konsekwencji – kolektywny organ dla prowadzenia dyskusji. Przymiotnik „sowiecki" utworzono od słowa „sowiet" w trzecim znaczeniu. Stał się on określeniem instytucji samorządu powstałych na terytorium byłego Imperium Rosyjskiego w trakcie pierwszej rosyjskiej rewolucji, a następnie instytucji władzy istniejących w latach 1917–1993. Historycznie termin „sowiecki" nie był ideologicznie nacechowany, jedynie charakteryzował nowe organy kolektywnego zarządzania, sformowane przez obywateli na początku XX wieku. Jednak z czasem nastąpiło przesunięcie znaczenia i termin zaczął być wykorzystywany w charakterze synonimu słowa „komunistyczny", przy czym z nieco mniej ostrą ideologiczną konotacją, na przykład: „sowiecki reżim", „republika sowiecka", „Związek Sowiecki", „sowiecka armia". Wyrazem początkowo różnych znaczeń i różnego wykorzystywania terminów „sowiecki" i „komunistyczny" stało się popularne hasło czasów wojny domowej i powstań początku lat 20.: „Za sowietami bez komunistów". Jeszcze raz podkreślmy – w terminach „sowiet" i „sowiecki" początkowo nie było żadnego komunistycznego i ideologicznego podtekstu. Były jedynie oznaczeniami organów demokratycznego samorządu, powstałych początkowo bez jakiegokolwiek udziału bolszewików. Dlatego pierwotne znaczenie terminu „sowiecka Rosja" (do semantycznej zmiany doszło przy aktywnym udziale komunistów) sprowadzało się, mówiąc krótko, do tego, że to mogła być „demokratyczna, samorządna Rosja". Oczywiście, że „sowieckie dziedzictwo" w tytule naszej sesji oznacza nie demokratyczne, a właśnie komunistyczne dziedzictwo poprzedniego politycznego reżimu. Jako że

eprasa.pl 1fdc7c8e16

termin „komunistyczny" ma także duży ideologiczny komponent, w dalszej części zamiast niego wykorzystuje się jego bardziej ogólne źródłowe pojęcie – „totalitarny". „Putinowska Rosja" w tytule naszej sesji to dość obszerne pojęcie. Zamiast niego ograniczę się do zawężającego terminu – „obecny rosyjski reżim polityczny", tj. reżim polityczny istniejący w Rosji od 1991 r. W ten sposób moje poniższe komentarze zyskują tytuł „Totalitarne dziedzictwo obecnego rosyjskiego reżimu politycznego".

Istnieje przynajmniej pięć sfer, w których dziedzictwo reżimu totalitarnego, rządzącego krajem przez ponad siedem dekad, nadal pozostaje najbardziej odczuwalne. To sfery: socjologiczna, instytucjonalna, kadrowa, ideologiczna, polityczno-technologiczna.

▶ 1. Socjologia: trzy źródła i trzy składowe części obecnego reżimu

Głównymi siłami, które doszły do władzy we współczesnej Rosji (od 1991 r.), stały się trzy grupy społeczne, dysponujące na granicy lat 80. i 90. wyraźnymi politycznymi, intelektualnymi, organizacyjnymi przywilejami: korporacja pracowników komunistycznych służb specjalnych (KSSS); systemowi liberałowie wyrastający z komunistycznej biurokracji i komunistycznej inteligencji; zorganizowana przestępczość (mafia w najbardziej bezpośrednim znaczeniu tego słowa), często wspierana przez komunistyczną biurokrację i komunistyczne specsłużby w późno totalitarnym społeczeństwie. Trudno przeprowadzić jednoznaczny podział przedstawicieli tych trzech grup. Niektóre ze znanych postaci należą bowiem jednocześnie do dwóch, a nawet do trzech kategorii. W wyniku rewolucji sierpniowej 1991 roku znacząca część politycznej władzy znalazła się w rękach przede wszystkim systemowych liberałów. Tracąc z czasem polityczne wsparcie rosyjskiego społeczeństwa, w coraz większym stopniu zaczęli się oni opierać na zasobach siłowików, w szczególności pracowników służb specjalnych. Po kryzysie ekonomicznym 1998 roku stało się jasne, że nie tylko polityczna władza, lecz także osobista wolność systemowych liberałów nie mogą być zapewnione bez jakościowej zmiany miejsca i roli służb specjalnych w rosyjskim systemie politycznym. Wówczas pierwszeństwo w politycznym triumwiracie systemowi liberałowie przekazali służbom specjalnym. Innymi słowy, liberałowie przeprowadzili operację wymiany wymykającej się im politycznej władzy na ich osobistą wolność, bezpieczeństwo, dobrobyt, gwarantowane przez przedstawicieli korporacji pracowników komunistycznych służb specjalnych (KSSS).

▶ 2. Instytucje

Po totalitarnej epoce obecny reżim polityczny odziedziczył, chociaż w częściowo zmienionym charakterze, trzy ważne instytucje: policję polityczną; quasi-monopolistyczną partię biurokracji; maszynę ideologii i propagandy. Najważniejszą różnicą w stosunku do czasów komunistycznych stała się zmiana punktu ciężkości w przypadku dwóch czołowych politycznych instytucji w obecnym autorytarnym reżimie. „Partia" zamiast siłą dominującą, stała się „pomocniczą", a „policja polityczna" z całkiem wpływowej, ale pomocniczej organizacji przekształciła się w „dominującą" siłę polityczną. Obecna machina propagandy nie ma bezpośredniej łączności z ideologiczną maszyną działającą w czasach reżimu totalitarnego, ona została stworzona od nowa, przez nowych ludzi, przy wykorzystaniu nowych zasobów, na podstawie nowych technologii. Okazała się ona nie mniej, a możliwe, że nawet bardziej skuteczna od tej ze schyłku totalitarnego reżimu.

▶ 3. Kadry

Niemal wszyscy polityczni liderzy posierpniowej Rosji (osoby piastujące w przeszłości i obecnie stanowiska prezydentów, premierów, wicepremierów, szefów izb parlamentu, w administracji prezydenta), a także wielcy biznesmeni i tzw. liderzy opinii społecznej są byłymi członkami KPZS. Niezależnie od tego, czy wstępowali do partii komunistycznej z czysto ideowych czy też cynicznie pragmatycznych powodów, członkostwo w partii totalitarnego reżimu wpływa na ich światopogląd, styl życia i działania. W odróżnieniu od wielu innych krajów transformacji w Europie ani jeden przedstawiciel niekomunistycznego, demokratycznego ruchu, dysydent czy obrońca praw człowieka nigdy nie otrzymał znaczącego stanowiska w federalnej władzy wykonawczej w Rosji. Z tego punktu widzenia (przejścia władzy państwowej do przedstawicieli spoza partii komunistycznej) do „politycznej rewolucji" w Rosji „jeszcze nie doszło".

eprasa.pl 1fdc7c8e16

4. Światopogląd (ideologia)

Termin „ideologia" wykorzystuję nie w wąskim – partyjnym, lecz w szerokim znaczeniu – jako synonim dominującego światopoglądu. Charakterystycznymi cechami światopoglądu praktycznie wszystkich przedstawicieli obecnego rosyjskiego reżimu politycznego są dziedziczone przez nich co najmniej od czasów reżimu totalitarnego idee: wielkomocarstwowości, imperializmu, totalnego braku wyobrażeń o indywidualnych wolnościach i prawach człowieka, nadrzędności prawa, demokracji, ograniczeń i podziału władzy państwowej.

PO KRYZYSIE EKONOMICZNYM 1998 ROKU STAŁO SIĘ JASNE, ŻE NIE TYLKO POLITYCZNA WŁADZA, LECZ TAKŻE OSOBISTA WOLNOŚĆ SYSTEMOWYCH LIBERAŁÓW NIE MOGĄ BYĆ ZAPEWNIONE BEZ JAKOŚCIOWEJ ZMIANY MIEJSCA I ROLI SŁUŻB SPECJALNYCH W ROSYJSKIM SYSTEMIE POLITYCZNYM.

5. Polityczne technologie

Tym, co wyróżnia obecny reżim (od 1991 r.), jest podrzędna pozycja (a często i zupełny brak) takich instrumentów podejmowania politycznych decyzji, jak: uwzględnienie interesów różnych grup, rozmowy, uzgodnienia, kompromisy, dobrowolnie zawierane i uczciwie wykonywane umowy. Dominującymi sposobami osiągania politycznych decyzji są: specoperacja, wprowadzenie w błąd, dezinformacja, oszustwo, przymuszenie, upokorzenie, przemoc, terror. Szerokie wykorzystanie wskazanych politycznych technologii jest charakterystyczne nie tylko dla putinowskiego, lecz także dla jelcynowskiego (gajdaro-czubajsowskiego) podokresu funkcjonowania obecnego rosyjskiego reżimu politycznego: oszukanie parlamentu podczas specoperacji (podpisanie przez Jelcyna z inicjatywy Czubajsa ustaw prywatyzacyjnych w sierpniu 1992 roku z ominięciem Rady Najwyższej); wspieranie zagranicznych reżimów totalitarnych (finansowanie przez Gajdara reżimu F. Castro w okresie grudzień 1991 – styczeń 1992 r.); przekazanie ogromnych zasobów finansowych komunistycznym służbom specjalnym (wykorzystanie przez Gajdara 1 mld dolarów z pierwszej transzy MFW dla ratowania od bankructwa kagiebowskiego Eurobanku w 1992 r.); zewnętrzna agresja (udział rosyjskich wojskowych pododdziałów w wojnie abchaskiej w 1993 r.); wewnętrzna masowa przemoc (pierwsza wojna czeczeńska 1994–1996); zamach terrorystyczny na lidera nieuznawanego państwa (zabójstwo Dudajewa w 1996 r.); zamach terrorystyczny na politycznego oponenta w Rosji (zabójstwo Lwa Rochlina w 1998 r.); zamachy terrorystyczne przeciwko własnej ludności cywilnej (wybuchy w moskiewskich trolejbusach przed wyborami parlamentarnymi 1995 r.). Wypada zauważyć, że chociaż skala liczbowa użycia wskazanych instrumentów w czasie putinowskiego podokresu istnienia obecnego reżimu politycznego znacząco wzrosła, z jakościowego punktu widzenia wszystko to było już wypróbowane i wykorzystane przez rosyjski polityczny triumwirat jeszcze za czasów jelcynowskich. Zasadniczymi putinowskimi polityczno-technologicznymi nowościami (nieobecnymi w czasie rządów jelcynowskich) są m.in.: otwarta agresja przeciwko innym państwom (rosyjsko-gruzińska wojna); oficjalna aneksja zagranicznych terytoriów (Krym); zamachy na politycznych oponentów za granicą (Litwinienko, Skripal).

Podsumowując wszystkie powyższe wnioski, trzeba powiedzieć, że zmiana sposobu rządzenia w Rosji nie będzie możliwa, dopóki utrzymana zostanie władza obecnego triumwiratu; nie znikną instytucje odziedziczone po totalitarnym reżimie; nie oczyści się rosyjskiej władzy państwowej z kadr o totalitarno-kryminalnym światopoglądzie, wykorzystujących w swojej działalności instrumenty oszustwa, przemocy, terroru. ■

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Gramy Dla Ciebie!

#RDCmuzyka

Sprawdź nas:
facebook.com/radiordc

Posłuchaj nas:

101 FM WWW.RDC.PL/RDCPLAYER

Zeskanuj kod QR

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Ciebie

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Marcin Wolski

Historia alternatywna

Przekrój przez afery PRL-u przypomina wycieczkę w głąb kanionu Colorado, gdzie na ścianach wąwozu widać dokładnie kolejne warstwy następujących po sobie epok geologicznych. Przypomnienie przy okazji ekstradycji Dariusza Przywieczerskiego sprawy FOZZ-u, owej „matki wszelkich afer", zachęca do zaglądania jeszcze głębiej – do politycznego prekambru – i spytanie o rzeczywiste prapoczątki. Dość łatwo obciążyć winą uczestników i biesiad w Magdalence, i Okrągłego Stołu. Chociaż moim zdaniem jeśli miał to być wytrych otwierający Polsce drzwi do wolności, warto było zaryzykować. Rzecz w tym, że rozstrzygające o naszej przyszłości było to, co potem – co miało okazać się ważniejsze niż to, że rokowania prowadzili ze sobą tajni współpracownicy i ich oficerowie prowadzący, nie takie rzeczy w historii się zdarzały. Problem polega na tym, że wśród układających się stron zabrakło patriotów i wizjonerów zdolnych wykorzystać dziejową szansę, którzy kopnęliby okrągły stołek – jeśli nie nazajutrz po wyborach, to wówczas, gdy „jesień ludów" pokazywała, że epoka sowiecka minęła. Pisałem w moich historiach, co stać się mogło i co stać się powinno. I nie chodziło o wieszanie komunistycznych zbrodniarzy, choć paru by się to przydało. Wystarczyłoby uniemożliwić uwłaszczenie się nomenklatury. Potrzebne były dwie decyzje – powszechne uwłaszczenie społeczeństwa poprzez zwrot zagrabionego majątku narodowego i oddanie go w ręce Polaków, co spowodowałoby w szybkim czasie powstanie klasy średniej; oraz prawne uniemożliwienie działalności komunistycznym przestępcom. Otwierając archiwa, uniemożliwiono by trafienie powstających prywatnych telewizji w ręce służb, według swoistego parytetu – cywilnych i wojskowych. Partyjni dygnitarze i ich dzieci nie mogliby przejmować na preferencyjnych warunkach polskiego majątku. Zabrakło woli, świadomości, determinacji. Wałęsa miał w swym ręku złoty klucz, ale zamknął nim szansę paru pokoleń Polaków na normalność. O większości premierów, a zwłaszcza wicepremierów III RP lepiej nie wspominać. Jak mieliśmy się rozwijać bez lustracji zależnych od Moskwy służb wojskowych, bez oczyszczenia sądów, bez niezależnych mediów? Ile rozkradziono naszego narodowego majątku i ile milionów wartościowych obywateli wypchnięto na emigrację? Czy mogło być inaczej? Czy nie było alternatywy dla postkomuny, która w mniejszym lub większym stopniu dotknęła wszystkie narody naszego międzymorza? W jednej z mych książek wymyślałem taką alternatywę. Wykorzystanie Polonii (nawet tej niemówiącej po polsku, lecz patriotycznej) do budowy zrębu odrodzonej Polski. Potrzebne były nasz Piemont, nasza Galicja. Polscy przemysłowcy z Zachodu (jak w Czechach), polscy policjanci z Chicago czy Detroit. Oficerowie polskiego pochodzenia – znaleźliby się i w West Point, i w Quantico, i w Langley. Mogło się udać. A przynajmniej można było spróbować. ■

WAŁĘSA MIAŁ W SWYM RĘKU ZŁOTY KLUCZ, ALE ZAMKNĄŁ NIM SZANSĘ PARU POKOLEŃ POLAKÓW NA NORMALNOŚĆ. JAK MIELIŚMY SIĘ ROZWIJAĆ BEZ LUSTRACJI ZALEŻNYCH OD MOSKWY SŁUŻB WOJSKOWYCH, BEZ OCZYSZCZENIA SĄDÓW, BEZ NIEZALEŻNYCH MEDIÓW?

eprasa.pl 1fdc7c8e16

Tomasz Sakiewicz

Żeby człowieka poznać, trzeba dać mu władzę

Pewnie wielu z Państwa ma to samo nieprzyjemne wrażenie, że niektórzy, nawet spośród naszych znajomych, obdarzeni choćby odrobiną władzy, bardzo się zmieniają. Dotyczy to szczególnie tych, którzy dostali funkcję posła czy prezesa spółki skarbu państwa albo szefa jakiejś instytucji. Zjawisko oderwania się od własnego elektoratu, pogardy dla swoich kolegów widoczne jest po mniej więcej dwóch latach. Prawica bardzo rzadko rządziła tak długo, więc tego nie widzieliśmy. Dzisiaj, ku mojemu zaskoczeniu, są takie miejsca, gdzie tego zjawiska wciąż nie widać, choć można było spodziewać się gorszych zachowań, i jest wiele takich miejsc, gdzie jest ono bardzo wyraźne.

Gorszące sceny zdarzały się nawet wśród naszych byłych i obecnych klubowiczów (członków klubu „GP"). Znam takie przypadki, kiedy były działacz klubu za wszelką cenę chciał udowodnić, że kluby GP nie istnieją albo zagrażają PiS-owi, choć dzięki korzystaniu z ich logo i zaangażowania dostał stanowisko. To rzadkie, ale szczególnie oburzające.

Jest więcej przypadków ludzi znikąd, którzy przykleili się do nowej władzy i deklarując lojalność, równają z ziemią ewentualną konkurencję, czyli ludzi niezdolnych do akceptacji zła, złodziejstwa i zdrady. Z pozostałymi mogą się dogadać. Bezkompromisowi, znaczy konfliktowi. A konfliktowych nikt nie chce. Dlatego mniej więcej w połowie kadencji pojawiają się w każdym obozie władzy procesy patologiczne, spowodowane masowym zasysaniem karierowiczów. Mam z tym ogromny problem, bo czytelnicy „GP" czy „Nowego Państwa" raczej karierowiczami nigdy nie byli. Jest parę wyjątków, o których wspomniałem, ale są to rzeczywiście ewenementy.

Kto zechce wspierać środowisko, które jest z natury ideowe i jeszcze próbuje rozliczać władzę z obietnic? W Polsce niemal wszyscy są demokratami, ale większość polityków wolałaby, żeby jednak wyborcy dobrze wybierali. Dobrze, znaczy popierali ich bez względu na to, co zrobią. Elektorat, który ja znam, odda ostatni grosz, by wesprzeć to, w co wierzy. Jednak nie poprze ludzi, którzy zawiedli jego zaufanie. Mało to pragmatyczne, ale świadczy o tym, że jego odruchy są ludzkie.

Skąd bierze się arogancja nowych członków władzy? Nie przynosi jej sama władza. To prawda, że władza demoralizuje, ale przede wszystkim uwidacznia te cechy, które już człowiek posiadał. Niewielu sprawujących władzę zdaje sobie sprawę z tego, że drobne wady poparte siłą robią się monstrualne. Hodowane stają się problemem na skalę całej społeczności. Naszą rolą jest jednak te wady wytykać. Nie jest to przeciwko żadnej formacji politycznej, jeżeli ta formacja swoje zobowiązania traktuje serio. Leży to w jej najgłębiej pojętym interesie. ■

ZNAM TAKIE PRZYPADKI, KIEDY BYŁY DZIAŁACZ KLUBU ZA WSZELKĄ CENĘ CHCIAŁ UDOWODNIĆ, ŻE KLUBY GP NIE ISTNIEJĄ ALBO ZAGRAŻAJĄ PIS-OWI, CHOĆ DZIĘKI KORZYSTANIU Z ICH LOGO I ZAANGAŻOWANIA DOSTAŁ STANOWISKO.

eprasa.pl 1fdc7c8e16

CYFROWY POLSAT

Wszystkie mecze Ligi Mistrzów UEFA na żywo

W PAKIECIE **POLSAT SPORT PREMIUM**
W CENIE ABONAMENTU!

DO TEGO **169 KANAŁÓW NA START**
NAWET 6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT!

UEFA CHAMPIONS LEAGUE®

Promocja dla nowych Klientów dostępna z ofertą elastyczną Premium MAX Plus + Polsat Sport Premium od 120 zł/mies. przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „6 miesięcy bez opłat" dostępne w Autoryzowanych Punktach Sprzedaży po okazaniu faktury od innego dostawcy usługi telewizyjnej. Zwolnienie z opłat nie dotyczy sprzętu. Liczba kanałów uwzględnia kanały promocyjne oraz kanały niekodowane, niewchodzące w skład pakietu. Kanały TVP 1, TVP 2, TVP 3, Polsat, TVN, TV4, TV Puls są dostępne również w ramach naziemnej telewizji cyfrowej. Szczegóły w Regulaminach Promocji na www.cyfrowypolsat.pl oraz w Warunkach Oferty dostępnych u Sprzedawców.